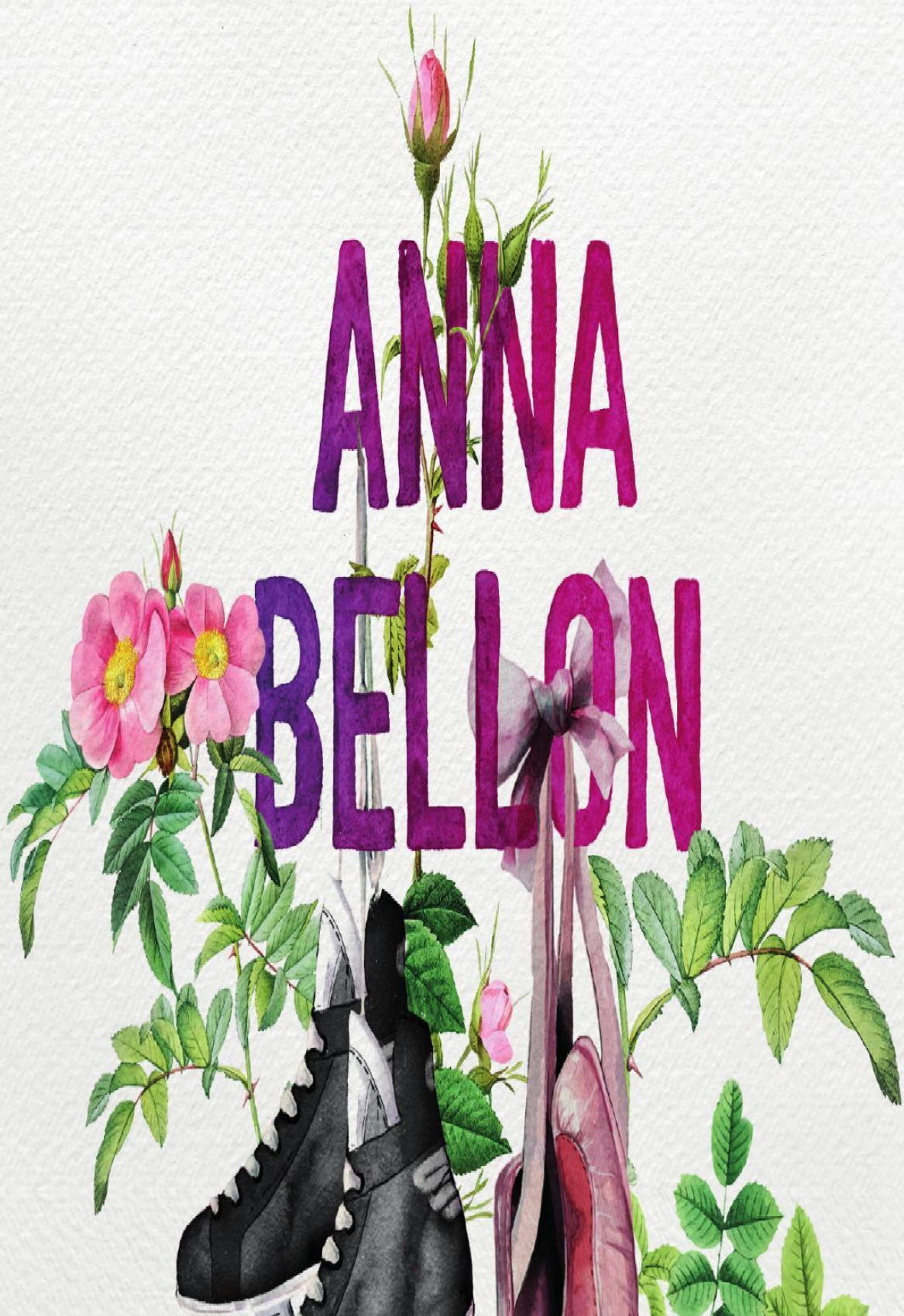


ANNA

BELLON



**ANNA  
BELLON**



**WARTE  
WYBACZENIA**



ENDORFINA

Nie potrafiłem  
znaleźć słów,  
które zmusiłyby ją  
do pozostania przy mnie.  
Nie umiałem też  
pozwolić jej odejść.  
Już wtedy Camryn  
była moim wszystkim.

*Miłość to dwie samotności, które spotykają się*

*i nawzajem wspierają.*

**Rainer Maria Rilke**





## Prolog

### Camryn

W ogrodzie rosły dzikie petunie. Riley Reeda zobaczyłam po raz pierwszy, gdy stojąc wśród tych fioletowych kwiatów, wydobywał piłkę do koszykówki z krzaków róży pielęgnowanych pieczołowicie przez moją mamę. Chowając się w cieniu tarasu, obserwowałam chłopaka, który musiał być mniej więcej w moim wieku. Tydzień wcześniej skończyłam dwanaście lat.

W Harlow rzadko pojawiał się ktoś nowy. Tutaj ludzi prędzej ubywało, niż przybywało. Julian, mój najbliższy przyjaciel powtarzał, że to najnudniejsza miejscina w całej Minnesocie. I coś w tym było. Harlow ożywało tylko latem, gdy pojawiali się turyści żądni odpoczynku od wielkomiejskiego gwaru.

Chłopak nagle syknął i przycisnął palec do ust. Podskoczyłam, wyrwana z zamyślenia, a trzymana w dłoniach książka z hukiem upadła na drewnianą podłogę tarasu. Właśnie wtedy mnie zauważył i zatrzymał na mnie lekko złęczony wzrok, a potem mocniej chwycił piłkę. Miał najbardziej niezwykle oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Mieszanka błękitu i zieleni przypominała wzburzony ocean.

Nigdy wcześniej nie byłam zakochana, nawet zauroczona – aż do czasu, gdy na moim podwórku wśród dzikich petunii nie stanął Riley Reed. A potem zniknął z mojego życia tak szybko, jak się w nim pojawił.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek wróci.

Nie chciałam się w nim zakochać.

Nie wierzyłam, że zostanie.



## Rozdział 1

### Riley

Czułem się tu dziwnie obco. Końcówka sierpnia w Harlow nie należała do najcieplejszych. Po dwóch latach spędzonych na Florydzie mógłbym nawet powiedzieć, że było zwyczajnie zimno. Kusiło mnie, by kolejny raz zapytać mamę, czy powrót tutaj to na pewno dobry pomysł, ale znałem odpowiedź. Ona chciała tu wrócić – do domu, nawet jeśli od dawna już nim dla nas nie był. Na dodatek udało jej się znaleźć pracę w tutejszym szpitalu. Większość lekarzy z okolic wołała dojeżdżać czterdzieści minut do Duluth, aby zarabiać nieco więcej, więc nie okazało się to takie trudne.

Ulica Springvale wyglądała tak samo jak każda inna w okolicy. Identyczne domy, równo przyciężone trawniki i... ciemnofioletowe dzikie petunie pod numerem jedenaście. Gdy przejeżdżaliśmy obok, miałem ochotę poprosić mamę, żeby zatrzymała samochód, szczególnie gdy zobaczyłem światło w pokoju Camryn. Zaraz potem jednak przypomniałem sobie, że zachowałem się jak ostatni krety i po wyprowadzce z Harlow nie utrzymywałem kontaktu ani z nią, ani z nikim innym stąd. Wątpiłem więc, że Cam ucieszyłaby się na mój widok. Może to i lepiej, że mieliśmy teraz mieszkać kilka numerów dalej od Heartów, a nie naprzeciwko jak poprzednio.

Po paru latach od śmierci swojego męża pani O'Sullivan postanowiła resztę starości spędzić u córki w Nowym Meksyku, nie chciała jednak sprzedawać rodzinnego domu. Mama znalazła ogłoszenie w sieci i do niej zadzwoniła. Rozmawiały przez półtorej godziny, choć targu dobiły w zasadzie od razu. Wdowa O'Sullivan była moją ulubioną sąsiadką, gdy mieszkaliśmy w Harlow. Cyniczna staruszka miała w sobie więcej werwy niż większość jej równolatków i sypała ciętymi żartami jak z rękawa, a każdy jeden przyprawiony był zaskakująco ciężkim, irlandzkim akcentem, choć spędziła w Stanach większość dorosłego życia. Pani O'Sullivan pozwoliła nam urządzić dom, jak tylko zechcemy, bylebyśmy zostawili w salonie ulubiony fotel jej męża. Ugryzłem się w język, zanim zdążyłem zapytać, czy w nim umarł. Miałem nadzieję, że nie. Pani O'Sullivan mieszkała już sama, gdy po raz pierwszy przeprowadziliśmy się do Harlow.

Początek roku szkolnego stresował mnie teraz bardziej niż zwykle. To było moje drugie liceum, nie chciałem więc przywiązywać się za bardzo. Rozstanie ze znajomymi z poprzedniego uważałem za wystarczająco dobiegające, bym mógł uczyć się na własnych błędach.

Jednak nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego jak Camryn Heart. Wiedziałem, że będę żałował swojej decyzji, jeszcze zanim ją podjąłem. Nie przewidziałem jednak, że kiedyś tu wrócę. Po wyprowadzce z Harlow niczego nie brałem już za pewnik.

– Wiesz, że nie musiałaś mnie podwozić do szkoły – odezwał się, gdy mama zatrzymała samochód.

– Ale chciałam – odparła. Dopiero po powrocie do tego miasteczka uświadomiłem sobie, jak bardzo się postarzała przez ostatni rok, odkąd rozstała się z ojcem. Wokół jej oczu, identycznych jak moje, pojawiły się głębokie zmarszczki, a wśród ciemnych włosów zaczęły prześwitywać siwe pasma. Wiedziałem jednak, że była teraz szczęśliwsza, nawet jeśli po rozwodzie czasem z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. – A teraz

idź już, nie spóźnij się.

– Jasne... – westchnąłem i wysiadłem z auta.

W sekretariacie odebrałem plan i kod do szafki numer trzysta sześćdziesiąt pięć. Właśnie wrzucałem do niej swoje rzeczy, gdy nagle niemal podskoczyłem na dźwięk swojego imienia.

– Riley? – Usłyszałem za sobą zaskoczony znajomy głos. – Mama nie kłamała!

Julian Hill patrzył na mnie wyczekująco, jakby spodziewał się wyjaśnień. I cóż, pewnie mu się należały. Zakumpłowaliśmy się przez Camryn i razem graliśmy w hokeja w jednej drużynie, aż do czasu mojej wyprowadzki z Harlow.

– Cześć – rzuciłem niepewnie, zamykając z trzaskiem szafkę.

– Camryn wie, że wróciłeś? – zapytał od razu, choć myślałem, że to ja będę musiał zadać mu to pytanie. Mama Juliana była dyrektorką szkoły, więc chłopak z pewnością wiedział o moim powrocie już od kilku dni.

Potrząsnąłem głową.

– Oczywiście, że nie wie – westchnął. – Co masz pierwsze?

– Literaturę – odpowiedziałem, zerknąwszy na swój plan. Julian wyrwał mi kartkę z ręki.

– Mamy razem literaturę, mikroekonomię i... rachunek różniczkowy. Nie tak źle.

Ruszyliśmy w stronę klasy od angielskiego. Według Juliana pan Brunner nie znosił spóznialskich, więc nie było na co czekać. Nie chciałem podpaść nauczycielowi pierwszego dnia.

Rozpoznałem ją od razu, choć odwrócona była tyłem. Stała przed salą i rozmawiała z dziewczyną, której nie kojarzyłem. Swoje blond włosy Camryn zaplotła dzisiaj w niedbały warkocz, który przerzuciła przez ramię. Na moment zaparło mi dech, gdy nagle się odwróciła, zupełnie jakby wyczuła, że ktoś jej się przygląda. Duże brązowe oczy zrobiły się jeszcze większe. Cam zbladła, jakby zobaczyła ducha, a jej palce zaciśnięte wokół paska plecaka zbieleły. Otworzyłem już usta, żeby coś powiedzieć, ale właśnie w tym momencie pan Brunner otworzył drzwi klasy, a Camryn odwróciła się do mnie plecami i weszła do środka.

Z powodu wizyty w sekretariacie przegapiłem poranny apel, więc gdy tylko jako ostatni przekroczyłem próg, poczułem, że kilkanaście par oczu gapi się prosto na mnie. Po sali rozeszły się szepty, zagłuszone szuraniem plecaków i trzaskiem książek lądujących na ławkach. Pan Brunner okazał się postawnym, wysokim mężczyzną około pięćdziesiątki, z bujną brodą przyprószoną siwizną i nieco przydługimi brązowymi włosami. Na nosie miał druciane okulary i wydawał się tak zaabsorbowany opróżnianiem swojego skórzanego neseseru, że zupełnie nie zwrócił na mnie uwagi. Musiałem jednak wręczyć mu notatkę napisaną w pośpiechu przez sekretarkę. Odchrząknąłem i wtedy najpierw spojrział na mnie lekko nieprzytomnie, a potem się uśmiechnął.

– Ty musisz być Riley, pani dyrektor wspominała, że pojawi się dzisiaj ktoś nowy. W poprzedniej szkole też byłeś w zaawansowanej klasie?

– Tak jest, proszę pana – odpowiedziałem, czując, że mój kark robi się coraz bardziej gorący od tych wszystkich spojrzeń.

– Wspaniale. – Pan Brunner wydawał się szczerze uradowany. – Zaczynamy dzisiaj omawiać *Makbeta*, ale nie przejmuj się, jeśli nie czytałeś.

– Omawialiśmy w poprzedniej szkole na koniec zeszłego roku.

– W takim razie będziesz w temacie. Zajmij, proszę, miejsce za panną Heart.

Mój żołądek nagle się skurczył. Miałem nadzieję, że będę mógł usiąść z tyłu, obok Juliana. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak zasiąść we wskazanej ławce, tuż za Camryn. Odetchnąłem głęboko, przechodząc obok niej, i moje nozdrza połaskotał kwiatowy zapach, który kojarzył mi się tylko z jedną osobą. Z Camryn Heart.

Wyraźnie się spięła, gdy usiadłem z tyłu, i zaczęła nerwowo stukać w okładkę wysłużonego egzemplarza *Makbeta*. Jednocześnie podrygiwała nieprzerwanie nogą, w wyniku czego podeszwy jej trampek stale skrzypiały. Brunner mógłby teraz opowiadać o czymkolwiek, nieistotne, bo zupełnie go nie słuchałem. Cały czas nie spuszczałem wzroku z Camryn. Ocknąłem się, dopiero gdy usłyszałem jej głos. Brunner musiał zadać jakieś pytanie, bo odpowiedziała, patrząc na niego:

– Makbet miał wybór, nie musiał ulegać podżeganiom lady Makbet.

– Którą potem dręczą wyrzuty sumienia... – ciągnął nauczyciel.

– Na które w pełni zasłużyła.

– A na śmierć?

Camryn zawahała się tylko przez moment.

– Nie wszystko można wybaczyć i nie wszystkie winy tak po prostu odkupić. – Gdy to mówiła, na moment spojrzała prosto na mnie, zanim wyprostowała się na swoim krześle. – Dostała to, o co sama się prosiła.

Coś mi podpowiadało, że nie chodziło jej wyłącznie o lady Makbet i w tym momencie załała mnie fala zimna. Zimna, którego nigdy nie czułem w obecności Camryn.

Reszta lekcji ciągnęła się w nieskończoność i wciąż wgapiąłem się w plecy dziewczyny. Nie poruszyła się jednak ani nie odezwała więcej. Zamiast tego bazgrała w zeszycie. Co jakiś czas oddychała nieco głębiej, wyraźnie zniecierpliwiona. W końcu rozległ się dzwonek, a wtedy niemal wybiegła z klasy, wymijając zdziwioną koleżankę, z którą wcześniej rozmawiała na korytarzu.

– Stary, masz przesrane. – Julian szturchnął mnie żartobliwie w ramię, ale minę miał wyjątkowo poważną.

– Dużo mnie ominęło, co? – zapytałem i przełknąłem głośno ślinę.

– Nawet nie masz pojęcia... – mruknął pod nosem. – O rany, trener będzie wniebowzięty, jak mu powiem, że mamy idealnego kandydata na prawe skrzydło! Bo nadal grasz, prawda?

Wzruszyłem ramionami. Mama z pewnością by chciała, żebym grał, głównie ze względu na ewentualne stypendium sportowe. Inaczej mogłem zapomnieć o studiach. Miałem dobre stopnie, ale nie aż tak, głównie ze względu na ciągłe przeprowadzki. Wiecznie musiałem nadrabiać jakieś zaległości. Mama obiecała mi jednak, że zostaniemy w Harlow, przynajmniej dopóki nie skończę szkoły.

– Nie daj się prosić, Reed! Potrzebujemy wzmocnienia w ataku, jeśli mamy obronić puchar w tym roku.

Julian trajkotał nieprzerwanie, odprowadzając mnie do następnej klasy. Słuchałem go tyle o ile, bo cały czas wypatrywałem blond włosów Camryn, ale od momentu, gdy wybiegła z sali Brunnera, jakby rozplynęła się w powietrzu. Chciałem... Sam nie wiedziałem, czego mógłbym od niej chcieć... co jej powiedzieć po takim czasie.

Miałem jednak cały dzień na rozmyślanie, bo nie spotkałem Camryn ani na żadnej z następnych lekcji, ani na lunchu, chociaż na stołówkę wpadłem zdyszany w połowie przerwy, po rozmowie z trenerem. Nie dostrzegłem jej też na parkingu, gdzie już czekała na mnie mama. Specjalnie wzięła nocną zmianę, żeby mnie zawieźć i odebrać ze szkoły w mój pierwszy dzień.

– Jak było? – zapytała, gdy ledwo wsiadłem do hondy, która lata świetności miała już za sobą. Samochód cały się zatrząsł, gdy próbowałem domknąć drzwi.

– Jutro po lekcjach mam zostać na trening testowy, zobczymy, czy wezmą mnie do drużyny.

– To wspaniała wiadomość! Udało ci się spotkać kogoś znajomego?

– Pamiętasz Juliana?

– Oczywiście! Przeuroczy chłopak.

Omam nie parsknąłem, słysząc to stwierdzenie. Julian i uroczy... W jednym zdaniu...

– Może powinien wpaść do nas na kolację w weekend? – dodała.

Posłałem jej znaczące spojrzenie. Nie byliśmy już w podstawówce, żeby zapraszać kolegów na kolację z rodzicami. To by było... dziwaczne.

– Mamo... – jęknąłem, zapadając się głębiej w fotelu.

– Przecież cię do tego nie zmuszę! – zaoponowała. – Widziałeś się już z Camryn? Spotkałam jej mamę u April Fisher. Wiesz, że Elliot gra teraz w juniorach?

Elliot, młodszy brat dziewczyny, chodził za mną i Julianem krok w krok, gdy tylko rozpoczynał się sezon. Julian się irytował, ale ja nie. Nie miałem nic przeciwko, żeby zabierać chłopaka na lodowisko na pobliskim stawie. To oznaczało, że mogłem też spędzić czas z Camryn, która miała na niego oko.

– Och, to super. – Starąłem się zabrzmieć entuzjastycznie, ale chyba nie do końca mi się to udało, bo mama posłała mi pytające spojrzenie. Potrząsnąłem tylko głową i wyjrzałem przez szybę od strony pasażera. Właśnie wtedy dostrzegłem Camryn. Prowadziła przed sobą rower i rozmawiała z dziewczyną z lekcji literatury. Zaraz jednak zniknęła mi z oczu, bo mama wyjechała z parkingu.





## Rozdział 2

### Camryn

Po kolacji, opatulona ciepłą bluzą, siedziałam na tarasie z książką, łapiąc ostatnie promienie słońca. I nie dostrzegłam pędzącej w moim kierunku masy futra, dopóki włochaty pysk nie wylądował na moich kolanach. Zdjęłam z głowy słuchawki i zatopiłam palce w ciemnej, miękkiej sierści wilczarza irlandzkiego.

– Atlas! – wykrzyknęłam uradowana, drapiąc za uszami psa, który właśnie mrużył brązowe oczy pod wpływem pieczyoty. Nie przestawał także machać ogonem. – Cześć, piesku. Też za tobą tęskniłam...

Gdyby nagle podbiegł do mnie inny pies takich rozmiarów, przestraszyłabym się nie na żarty. Atlas był ogromny, ale miał łagodne usposobienie. Już dwa lata temu, gdy stawał na dwóch łapach, przewyższał mnie wzrostem. Z pewnością teraz niewiele się zmieniło. Ja za dużo nie urosłam, za to Atlas, choć wydawało mi się to niemożliwe, sprawiał wrażenie jeszcze większego. Chwilę go głaskałam, zanim zabrał włochaty pysk i zaczął węszyć po tarasie z zainteresowaniem. Jakiś czas obserwowałam, jak z zaskakującą gracją lawirował między donicami z kwiatami, ale w końcu musiałam przestać ignorować jego właściciela, którego wzrok czułam na sobie od dłuższej chwili.

Właśnie tu pierwszy raz zobaczyłam Riley'a i w tym momencie mimowolnie pomyślałam o tamtym dniu w środku lata. Tym razem jednak zamiast piłki w rękach trzymał smycz. Nie wyglądał też już jak dzieciak. Przez te dwa lata jego rysy się wyostrzyły, a smukłe zwykle ciało stało się bardziej umięśnione. To drugie z pewnością było zasługą hokeja. Żaden facet nie miał tak wytrenowanych nóg jak hokeista. To, co się nie zmieniło, to jego ciemne, jak zawsze nieco przydługie włosy. Niesfornie kręciły się od wilgoci i opadały na oczy w niezwykłym odcieniu niebieskiego. Teraz Riley dyszał ciężko, a jego twarz oraz ramiona błyszcząły od potu. Szeroka klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie, na szyi dostrzegłam słuchawki.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Cześć – odezwałam się cicho, nagle żałując, że nie ma już między nami bariery w postaci Atlasa, który z tarasu zdążył się przenieść w głąb ogrodu. Miał sporo zapachów do odkrycia po dwóch latach nieobecności.

– Cześć – odpowiedział Riley. Samo brzmienie jego głosu wywoływało u mnie gęsią skórę. Miałam do niego tak wiele żalu, ale nie potrafiłam nie tęsknić, nawet jeśli od rana przede wszystkim rozsądzała mnie złość. Byłam na niego wściekła. Wściekła za to, że zniknął. Wkurzona, że wrócił bez ostrzeżenia. Zła na siebie, że wciąż miał na mnie taki wpływ.

– Przepraszam za niego. – Wskazał głową Atlasa i zagwizdał. Ten od razu do niego podbiegł, po czym na jeden gest grzecznie usiadł przy nodze. – Czasem wciąż zachowuje się jak szczeniak. – Dłonią zwichrzył mu sierść na łbie, na co pies szczeniacko krótko. – Tak, o tobie mowa, stary koniu.

W policzku Riley'a ukazał się uroczy dołek, gdy spojrział w dół na Atlasa. Zwierzak wpatrywał się w swojego właściciela ze szczerym uwielbieniem.

– Nie szkodzi – odpowiedziałam, z trudem odrywając wzrok od tego cholernego dołka. Spojrzałam

na wilczarza machającego radośnie ogonem. – Jak znosi przeprowadzkę?

– Lepiej, niż się spodziewałem, ale trudno nad nim zapanować. Za dużo nowych zapachów i wszędzie go pełno. Chyba nie powinienem go jeszcze puszczać wolno. – Po tych słowach przypiął smycz do obroży Atlasa.

– Zamieszkaliście w okolicy? – zapytałam, choć znałam już odpowiedź. Julian mógłby robić za informację turystyczną w Harlow.

– W domu wdowy O’Sullivan, więc znów jesteśmy sąsiadami. – Riley uśmiechnął się nieznacznie, z wyraźną rezerwą. Stąd wiedziałam, że się stresował.

– Och, no tak, Niamh wspominała mamie przez telefon, że planuje wynająć dom, żeby nie stał pusty. Kazała wam zostawić fotel po Brianie?

Riley zamrugał.

– Skąd wiedziałaś?

Uśmiechnęłam się smutno.

– Niamh ostatnio podupadła na zdrowiu. Cała ulica się nią opiekowała. Demencja. Dużo opowiadała o mężu. Często w taki sposób, jakby wciąż żył. Mogła zapomnieć o wszystkim, ale nie o jego ulubionym fotelu.

– Będę pamiętał, żeby o niego dbać.

Przymknęłam oczy. Rozmawialiśmy o cholernym fotelu zmarłego pana O’Sullivana, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło. Jakbyśmy widzieli się ledwo wczoraj. Jakby kilkanaście godzin temu Riley wykradł się przez moje okno jak wiele razy wcześniej.

– Dlaczego tak nagle zerwałeś ze wszystkimi kontakt? – zapytałam. Nie mogłam dłużej ciągnąć tej niezobowiązującej konwersacji.

– To skomplikowane – odpowiedział. Smutek wycierał z jego tęczy o barwie oceanu. Widziałam w nich sztorm.

– Co okazało się aż tak skomplikowane, że nie zdołałeś napisać jednej cholernej wiadomości, Ry? – Nie mogłam nic poradzić na ból słyszalny w moim głosie. – Nikt nie wiedział, gdzie jesteś, twój numer stał się nieaktywny, listy wracały... A teraz się pojawiaś jak gdyby nigdy nic i... – Wykonałam nieokreślony gest.

– I? – zapytał, unosząc zaczepnie brwi. Wiedziałam, że dziś już straciłam szansę, by dowiedzieć się prawdy. To nie był mój Ry. To był Riley Reed, którego znali wszyscy. Fasada, której tak nie znosiłam.

– I chyba spodziewasz się czerwonego dywanu na powitanie – wyplułam ze złością. – Ale wiesz co, Riley? Straciłeś wszelkie przywileje w chwili, gdy tak po prostu zniknąłeś bez wyjaśnienia.

Wstałam z ławki tak gwałtownie, że Atlas aż drgnął, lekko przestraszony, i zacisnęłam palce na egzemplarzu *Szklanego klosza*. Bez słowa odwróciłam się plecami do Riley’a, po czym z ciężkim sercem wróciłam do domu. Odetchnęłam głęboko, dopiero gdy zamknęły się za mną drzwi. Powieki piekły mnie od niewylanych łez. Tęskniłam za nim. Tęskniłam i byłam na siebie za to wściekła. Riley wybrał. Podjął decyzję za nas. Głupie serce jednak nie chciało się poddać i przyspieszyło rytm, jakby właśnie obudziło się z letargu.

– Czy to był Atlas w naszym ogrodzie? – zapytał Elliot, wyraźnie podekscytowany, i wychylił się, jakby chciał zobaczyć coś przez mleczne szkło otaczające drzwi frontowe.

– Tak – odpowiedziałam z niechęcią. Elliot uwielbiał Riley’a. Przez tych kilka lat, gdy mieszkaliśmy naprzeciwko siebie, Ry był dla niego jak starszy brat. Gdy nagle zerwał ze wszystkimi w Harlow kontakt, na Elliocie także się to odbiło. Ani ja, ani Julian nie potrafiliśmy mu go zastąpić.

– O rany, super! Myślisz, że mógłbym poćwiczyć podania z Rileyem?

Nie udało mi się nie skrzywić, ale Elliot był już zbyt podjarany, żeby to zauważyć.

– Nie wiem, sam będziesz musiał go zapytać.

Brat dopiero teraz spojrzał na mnie zdziwiony. Ciemnobrązowe oczy, identyczne jak moje, zmrużyły się.

– A ty nie możesz?

– Elliot, sam go zapytaj, jeśli chcesz.

Wbiegłam po schodach na piętro i zamknęłam drzwi do swojego pokoju odrobinę głośniejsze, niż zamierzałam. Rzuciłam się na łóżko, po czym wtuliłam twarz w pluszową fokę. Prezent od Riley’a z wakacji,

które spędzał w Kalifornii. Pamiątka z Monterey, teraz pachnąca już tylko płynem do płukania. Miałam koszmarną alergię na kurz, więc foka regularnie lądowała w praniu lub przynajmniej w zamrażarce, żeby wybić roztocza.

Odetchnęłam głęboko i przetoczyłam się na plecy. Sufit pokryty był smugami farby i przypominał nocne niebo upstrzone gwiazdami. Gdy wpadłam na ten pomysł, tata pożyczył od kolegi rusztowanie, a mama przywiozła z Duluth potrzebne utensylia. Potem przez tydzień pod jej czujnym okiem malowaliśmy z Rileyem, robiąc sobie przerwy tylko na zimną lemoniadę i pyszne ciasto, które przynosiła. Po latach było widać, że malunek wykonały niewprawne ręce – gwiazdy miały miejscami dziwne kształty i całość odbiegała od ideału, ale nie miałam serca, by to wszystko zamalować.

Podejrzywałam, że zrobią to dopiero moi rodzice, gdy za rok wyjadę na studia.

Nie wiedziałam, jak długo tak leżałam, gapiąc się w sufit, zanim rozległo się ciche pukanie do drzwi w charakterystycznym rytmie. Elliot. Usiadłam tak gwałtownie, że aż zakreśliło mi się w głowie.

– Proszę! – krzyknęłam, a brat nieśmiało wsunął się do środka.

W rękach trzymał dwa kubki czegoś, co musiało być herbatą, bo w pokoju zaczął się unosić charakterystyczny zapach jaśminu. Nasz wieczorny rytuał, który trzymaliśmy w tajemnicy. A przynajmniej Elliot. Prędzej by umarł, niż przyznał się kolegom do tego, że wieczory spędza ze starszą siostrą przy herbatce. Zaczęliśmy to robić, gdy zmarła babcia, która picie herbaty traktowała jak świętość – i tak nam zostało.

– Wiesz, Cammie, ja nie muszę wcale gadać z Rileyem, jeśli ty z nim nie chcesz gadać...

Uśmiechnęłam się, przyjąwszy od Elliota kubek.

– To nie do końca tak... – odpowiedziałam, po czym upiłam łyk naparu. W moim żołądku rozlało się przyjemne ciepło. – Trochę to skomplikowane.

– Rany, jak tak wygląda liceum, to ja zostaję w gimnazjum na zawsze. Za dużo dramatów.

Parsknęłam śmiechem, omal nie opluwając się przy tym herbatą. Nie mogłam nie przyznać mu racji. Gdy miałam czternaście lat, tak jak Elliot teraz, świat wydawał mi się czarno-biały. Dopiero z czasem zaczęłam odkrywać odcienie szarości. I także to, jak bardzo z wiekiem komplikowały się relacje międzyludzkie, które kiedyś postrzegałam jako znacznie prostsze.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

– Przyjaźniliście się. Ty i Ry. Wrócił, więc myślałem, że będzie jak dawniej.

Westchnęłam ciężko. Kiedyś też tak myślałam, ale teraz...

– Nie było go dwa lata. W tym czasie z nikim stąd się nie kontaktował. Ani ze mną, ani z Julianem... Z nikim. – Mój wzrok powędrował do zdjęcia na komodzie, które tata zrobił mi i Rileyowi podczas meczu Minnesota Wild. Oboje w koszulkach z nazwiskiem kapitana, wyszczerzeni od ucha do ucha. – To był jego wybór. – Spojrzałam na brata. – Nie bardzo mam pojęcie, jak się teraz zachować, wiesz?

– A nie możecie po prostu pogadać i sobie wszystkiego wyjaśnić?

– To nie takie...

Elliot mi przerwał.

– Proste? – odpowiedział. – Rany, czemu wy, laski, musicie wszystko tak komplikować?

Zamrugałam zaskoczona. Może miał trochę racji... Ale z drugiej strony Riley przecież nie chciał mi powiedzieć prawdy. Od razu otoczył się murem, choć nigdy wcześniej tego przy mnie nie robił.

– Uwierz, kolesie w moim wieku wcale nie są od nas lepsi. Nawet Riley.

– Ech, mam nadzieję, że jednak się dogadacie, bo chętnie poćwiczyłbym z nim precyzyjne podania.

Chwyciłam fokę i rzuciłam nią w brata.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że przywiodła cię tu braterska troska, a ciebie obchodzi tylko hokej!

Elliot wzruszył ramionami.

– Słuchaj, siostra, możesz się na Rileya bocyć, ile chcesz, ale w hokeja to on zawsze grał zajeżdżać.

Pokręciłam głową. Byłam na straconej pozycji. Nawet brat przeciwko mnie!



## Rozdział 3

### Riley

Atlas obudził mnie nad ranem. W przeciwieństwie do swojego właściciela wydawał się zupełnie wypoczęty. Machał ogonem i trącał mnie nosem wszędzie tam, gdzie tylko sięgnął. Zerknąłem na zegarek. Było parę minut po czwartej.

– Serio, Atlas? – jęknąłem, przetarłszy powieki. Udało mi się zasnąć dopiero chwilę po pierwszej, więc czułem się tak, jakbym w ogóle nie spał.

Na zewnątrz wciąż było ciemno. Prawie z zamkniętymi oczami włożyłem pierwszą z brzegu bluzę, trampki i szedłem na dół. Mama była w pracy, więc nie musiałem się przejmować hałasem. Zapiąłem Atlasa na smycz, zamknąłem drzwi na trzy spusty, po czym ruszyłem wzdłuż ulicy. Springvale było najnudniejszym sąsiedztwem, jakie można sobie wybrać do zamieszkania, więc nie martwiłem się o własne bezpieczeństwo. Szczególnie w towarzystwie Atlasa, który, choć charakteru obronnego nie posiadał za grosz, większość intruzów odstraszał swoim rozmiarem.

W żadnym z mijanych domów nie paliło się światło. W żadnym poza numerem jedenaście. W pokoju Camryn. Głęboko odetchnąłem zimnym powietrzem, aż zapiekło mnie w płucach. Wyjąłem telefon z kieszeni i może... gdybym był wyspany, mniej zamroczony z powodu brak snu, nie podjąłbym takiej decyzji. Jednak zmęczenie na ogół nie należy do najlepszych doradców. Tylko czy Cammie wciąż miała ten sam numer?

– Halo? – warknęła do telefonu chrapliwym szeptem. Zobaczyłem jej cień za jasnymi zasłonami, gdy podeszła do okna.

– Hej, Cam – odezwałem się, nie odrywając wzroku od smukłej sylwetki.

– Ry... – wyszeptała miękko. Bez śladu złości. – Masz pojęcie, która jest godzina?

– I tak nie śpisz. – Zaśmiałem się cicho.

– Skąd wiesz?

– Bo gapię się w twoje okno.

– Co... – wyrzuciła jeszcze z siebie zlepek niezrozumiałych dźwięków i za moment okno wychodzące na ulicę się otworzyło. Jej jasnoblonde włosy niemal zamigotały w nikłym świetle. – Oszalałeś? – rzuciła w ciemność.

– Ja? Nie. Mój pies? Możliwe.

Usłyszałem perlisty śmiech, w ciemności błysnęły białe zęby.

– Zaczekaj chwilę.

Okno się zamknęło, światło zgasło. Minęła minuta, może dwie, zanim dostrzegłem postać skradającą się przez podwórko z tyłu domu. Miała na sobie jasnoróżową obszerną bluzę, pasujące do niej dresy i białe trampki. W półmroku wydawała się jasną plamą. Spod kaptura wystawały jej długie włosy.

– Nie jesteś już na mnie zła? – zapytałem.

Cam patrzyła na moją twarz przez dłuższą chwilę. Musiała zadrzeć głowę. Była małym skrzatem.

– Nadal jestem – odparła. – I pewnie będę jeszcze przez jakiś czas.  
– Auć... – mruknąłem, krzywiąc się.  
– Ale... – zawahała się na moment – nie pogardzę spacerem, skoro i tak nie mogę spać.  
– Jak za starych, dobrych czasów? – Spojrzałem na nią i zalała mnie fala ciepła.  
– Coś w tym stylu. – Uśmiechnęła się półgębkiem, po czym pogłaskała Atlasa, który trącał jej dłoń mokrym pyskiem.

Dopiero gdy obdarzyła go odpowiednią porcją pieśczot, mogliśmy ruszyć dalej. Wokół było tak cicho, że wyraźnie słyszałem nasze kroki na chodniku ciągnącym się wzdłuż Springvale i miarowe stukanie pazurów Atlasa. Zapomniałem, jak spokojnie bywało tu w nocy. Zupełnie inaczej niż w Miami. Powietrze o tej porze roku było wilgotne, ale rześkie. Pachniało letnim deszczem, który musiał spaść, gdy spałem. Deszczem i lasem otaczającym Harlow, tworzącym naturalną granicę miasta.

– Dlaczego wróciłeś? – zapytała nagle Camryn. Szliśmy tak w milczeniu przynajmniej od kwadransa, więc drgnąłem na dźwięk jej głosu. Nie czaiła się pretensja, raczej wybrzmiewała czysta ciekawość.

– Floryda jest cholernie droga... – westchnąłem. – Za droga dla samotnej matki. – Kopnąłem kamień, który potoczył się ze stukotem po mokrym asfalcie. – Zresztą... Nic dobrego nas tam nie spotkało.

– Mama mówiła mi, że twoi rodzice się rozwiedli. Kiedy to się stało?

Wypuściłem głośno powietrze z płuc. Oczywiście, że wiedziała, ale... jak dużo?

– Niespełna rok temu, ale mama złożyła pozew jakieś pięć miesięcy po wyprowadzce z Harlow. Tak musiało być. – Wzruszyłem ramionami, postanawiając zachować resztę historii dla siebie. Przynajmniej na razie. Nie chciałem o tym teraz rozmawiać.

– Przykro mi.

– A mnie nie – odpowiedziałem zupełnie szczerze, zaskakując tym samego siebie. Po raz pierwszy powiedziałem to na głos. I poczułem... ulgę.

– Dlaczego wróciliście właśnie tutaj, Ry? Mogliście pojechać gdziekolwiek. – Camryn nie odpuszczała.

– Mama była tu szczęśliwa i... ja też – dodałem, utkwivszy wzrok w linii horyzontu. Niebo powoli zaczynało szarzeć, zbliżał się świt. Atlas trącił nosem moją dłoń, wyczuwając nagłą zmianę nastroju. Pogłaskałem go za uchem, jakbym chciał odpowiedzieć, że wszystko jest w porządku. A przynajmniej bardzo pragnąłem, żeby tak było. W końcu. – Przepraszam – wypaliłem nagle.

Cam spojrzała na mnie tymi swoimi dużymi, brązowymi oczami i zadarła dumnie brodę. Wiedziałem, że będę musiał zapracować na jej wybaczenie.

– Za co konkretnie? – zapytała, unosząc wyzywająco jasną brew.

– Za milczenie. Za zniknięcie. Za... za wszystko, Cammie. Ale musisz zrozumieć...

– Muszę zrozumieć? – rzuciła i jednocześnie zagroziła mi drogę, po czym dźgnęła mnie palcem w pierś. – Nie musiałeś mi się tłumaczyć, Ry, ale wystarczyłby jeden cholerny SMS, żebyś wiedziała, że nic ci nie jest. Wariowałam z niepokoju, gdy twój numer przestał odpowiadać, a do tego wróciła kartka, którą ci wysłałam. Błagałam mamę, żeby zadzwoniła do twojej, ale oboje jakby rozpląnęliście się w powietrzu. Ryczałam po nocach, zastanawiając się, gdzie jesteś. Teraz wracasz i niczego nie tłumaczysz, ale mam zrozumieć?! – wrzasnęła i zaczęła okładać mnie pięściami.

Po policzkach Camryn płynęły łzy. Dałem jej chwilę, by się wyżyła, zanim złapałem ją za nadgarstki. Szarpała się tylko przez moment, bo zaraz cała zatrzęsała się od szlochu. Ręce opadły jej bezwładnie, a głowę oparła na wysokości mojego serca. Delikatnie puściłem dłonie Cam i przytuliłem ją. Zamknąłem oczy, chłonąc ciepło dziewczyny, jej zapach. Jak mógłbym chcieć zamieszkać gdzie indziej, jeśli ona była właśnie tutaj? Tkwieliśmy w tej pozycji dobry kwadrans, zanim odezwała się nagle:

– Przepraszam za to. – Oderwała się ode mnie i nerwowo wytarła policzki rękawami bluzy. – Ja po prostu...

– Zasłużyłem – przerwałem jej, po czym, zanim zdążyłem się powstrzymać, pocałowałem ją w czubek głowy. Jak dawniej. Bycie przy Camryn wydawało mi się tak naturalne jak oddychanie.

– Fakt – przyznała, a kąciki jej ust drgnęły w niepewnym uśmiechu. – Zasłużyłeś.

Pociągnęła głośno nosem i pogłaskała Atlasa, który łypał na mnie groźnie. Nawet mój własny, osobisty pies nie trzymał w tej sprawie mojej strony. Całkiem zresztą słusznie.

– Wszystko ci opowiem – obiecałem. – Ale jeszcze nie teraz.

Przymknęła wciąż szkliste oczy. Gdy je otworzyła i znów na mnie spojrzała, w mroku nocy wydawały się czarne, a źrenic nie dało się odróżnić.

– Obiecujesz? – Wpatrywała się we mnie z taką intensywnością, że teraz niczego bym jej nie odmówił.

Wyciągnąłem mały palec w jej kierunku. Najświętsza ze wszystkich obietnic. Zahaczyła swój palec o mój i spojrzała na nasze połączone dłonie.

– Obiecuję.

W odpowiedzi otrzymałem najpiękniejszy z uśmiechów. Oznaczał zaufanie. Nawet jeśli nie do końca na nie zasługiwałem. Już nie... Jeszcze nie.



## Rozdział 4

### Camryn

Gdy obudziłam się rano, pękała mi głowa. Od płaczu, z niewyspania... Pewnie z obu tych powodów po trochu. Po powrocie z nocnego spaceru zdjęłam tylko buty i skuliłam się pod kołdrą. Zasnęłam w poprzek łóżka, przytulona do pluszowej foki.

Wzięłam szybki letni prysznic, żeby zmyć z siebie emocje minionej nocy, po czym po cichu zesłam na dół. Na blacie czekała kartka od taty. Dostał pilne wezwanie do pracy. Jakiś wypadek drogowy. Był ortopedą w miejscowym szpitalu, więc zawsze miał ręce pełne roboty. Gdy wróciłam do domu, jeszcze spał, więc musiał wyjść stosunkowo niedawno.

Wdusiłam na ekspresie przycisk z podwójnym espresso, zabieliłam je odrobiną mleka i dosypałam cukru. Uzbrojona w kubek kawy wróciłam do swojego pokoju, żeby wyszykować się do szkoły. Większość oznak niewyspania udało mi się zatuszować makijażem, ale wciąż miałam przekrwione oczy. Trudno, lepiej nie będzie.

– Cammie, zbieraj się, bo się spóźnisz! – zawołała mama, gdy próbowałam doprowadzić do porządku sterzące kosmyki.

– Dobrze! – odkrzyknęłam.

W końcu się poddałam i odłożyłam grzebień, a potem zajrzałam do szuflady stolika nocnego. Sięgnęłam po pomarańczową fiolkę z moim nazwiskiem. Pusta, cholera. Usiadłam ciężko na łóżku i zatopiłam palce we włosach. Ból towarzyszył mi niezmiennie od dwóch lat. Ból, przez który nie spałam po nocach.

Wygrzebałam z plecaka dwie tabletki advilu. Lepsze to niż nic. Popiłam leki resztką kawy, spakowałam pracę domową z literatury, po czym zesłam na dół. Wmusiłam w siebie jeszcze niewielką porcję owsianki, bo już czułam skutki brania przeciwbólowych na pusty żołądek. Mdliło mnie, jednak to nic takiego, jeśli ból zaczynał słabnąć. Wyprostowałam prawą nogę, po czym zgięłam. Lepiej.

– Znowu cię boli? – zapytał Elliot, marszcząc brwi. Przypatrywał mi się uważnie znad swojej góry omeletów. Ten to miał spust...

– Trochę – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się lekko. Nie musiał wiedzieć wszystkiego. Był pewien, że rehabilitacja naprawi, co trzeba, jednak moja noga potrzebowałaby raczej cudu. Chociaż nie... Cud już się wydarzył. Chodziłam, normalnie funkcjonowałam. Jeśli nie liczyć chronicznego bólu, który powracał częściej, niżbym tego chciała. – To nic takiego, przeciążyłam ją wczoraj – dodałam.

To akurat był fakt. Noga trochę mnie bolała, jeszcze zanim poszłam na spacer z Rileyem. Dlatego nie spałam.

Elliot przypatrywał mi się podejrzliwie dłuższą chwilę, ale potem wrócił do jedzenia. Ja w tym czasie napisałam krótką wiadomość do taty. Potrzebowałam nowej recepty na vicodin. Zdążyłam akurat nacisnąć „wyślij”, gdy rozległo się trąbienie.

– To Julian, muszę lecieć. – Wstawiłam do zlewu pustą miseczkę po owsiance, pożegnałam się z

Elliotem i mamą głośnym „pa!”, po czym wyszłam z domu.

Niespodziewanie zamarłam z ręką na klamce drzwi. Na tylnej kanapie siedział Riley. Westchnęłam w duchu, ale nie miałam wyjścia. Julian był moją podwózką, odkąd dostał samochód na szesnaste urodziny – poza popołudniami, kiedy miał trening hokeja w trakcie sezonu.

– Hej! – przywitał mnie nieco radośniej niż zazwyczaj. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – Kiwnął głową w stronę Riley, który niepewnie uniósł rękę w geście powitania. Jeden kącik ust drgnął mu w uśmiechu, kiedy dostrzegł moją, z pewnością, nieco skrzywioną minę.

– To twój samochód. – Wzruszyłam ramionami. – Cześć, Ry – burknęłam pod nosem, zajmując miejsce pasażera.

– Cześć, Skrzacie – odpowiedział. Teraz już jawnie szczerzył zęby.

Fuknęłam niezadowolona, a chłopaki tylko wybuchnęły śmiechem.

Gdy tylko zaczynały się treningi, honda Juliana zaczynała przesiąkać potem. Chyba wżarł się już w jego sportową torbę na amen. Tym razem dołączyła do niej druga, musiała należeć do Riley. O mój fotel opierały się też kije hokejowe. W aucie nie pachniało więc lasem, sosnowym piżmem ani niczym, czym zwykle pachną bohaterowie romansów, w których się zaczytywałam. Nic z tego. Chociaż dzisiaj, kiedy przypadkowo odetchnęłam nieco głębiej, poczułam lekki, przyjemny aromat, który już znałam. Tak samo pachniała bluza Riley, gdy przytulał mnie w nocy. Woń była świeża, otulająca, odrobinę łaskotała w nos, ale dziwnie kojarzyła się z gasnącym ciepłem lata. Z chłodnymi wieczorami i wilgotną trawą... Cholera, odbijało mi.

– Startujesz do drużyny? – zapytałam, przenosząc uwagę na Riley.

– Trener kazał mi przyjść na trening po południu, zobaczymy. – Wzruszył obojętnie ramionami, zupełnie jak nie on. Kiedyś hokej był całym jego światem. Żył nim, oddychał i zapłakałby się, gdyby nie dostał się do drużyny. Teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby mu było wszystko jedno. Po rozmowie z Julianem wczoraj po szkole wiedziałam jednak, że Riley wciąż grał, i to ponoć nie byle jak. Musiałam wierzyć chłopakowi na słowo, bo sama zupełnie się nie znałam na tych wszystkich statystykach, ale Julian nie należał do pochlebców. Z pewnością miał rację.

– W takim razie powodzenia. Może wtedy Julian przestanie w końcu marudzić na słabe prawe skrzydło.

– Ale to prawda! – Mój przyjaciel się oburzył. – Większość dobrych napastników skończyła szkołę w zeszłym roku i zostały prawie same młokosy.

– Zero presji – mruknął Riley, na co zaśmiałam się cicho.

Resztę drogi do szkoły uprzyjemniało nam sprawozdanie Juliana z ostatniego treningu, który okazał się fiaskiem, a wyolbrzymione opisy poszczególnych zdarzeń sprawiły, że oboje z Rileyem wyliśmy z uciechy. Ocierałam jeszcze łzy rozbawienia, gdy szliśmy na poranny apel. Właśnie wtedy zobaczyłam, że Riley przygląda się mojej nodze. Wczoraj miałam na sobie długie spodnie, ale dziś dzień był na tyle ciepły, że pokusiłam się o włożenie sukienki. Długa blizna, nieco jaśniejsza od opalonej skóry, ciągnęła się wzdłuż piszczela i sięgała kostki. To właśnie tam utkwiony był wzrok chłopaka.

– Ładnie się zagoiło – zauważył, a ja tylko przytaknęłam. Nie chciałam z nim o tym rozmawiać. Nie teraz.

Dzisiaj znów zaczynaliśmy od literatury i Riley ponownie zajął miejsce za mną. Czułam jego spojrzenie na swoich plecach i zaczęłam nerwowo podrygiwać lewą nogą. Za nic nie mogłam skupić się na tym, co mówił pan Brunner, choć naprawdę się starałam. Powrót Riley sprawił, że odżyły nie tylko te dobre wspomnienia, ale także złe, które wcześniej zdążyłam całkiem sprawnie wyprzeć. Przez to też znów rosła we mnie złość i zalewała mi gardło kwaśną żółcią. Jednak nawet w tym momencie nie potrafiłam go nienawidzić. I nie mogłam również przestać o nim myśleć, zwłaszcza że od wczoraj wpadałam na niego dosłownie wszędzie.

– Nie no, to już są jaja... – wymamrotałam pod nosem, idąc w stronę szafki, żeby zabrać lunch. Szafkę obok mojej otwierał teraz nie kto inny jak Riley. – Prześladujesz mnie? – zapytałam, unosząc brwi.

– Ty to nazywasz prześladowaniem, ja przeznaczeniem. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Do zobaczenia na lunchu, Heart. – Puścił do mnie oko, a ja szturchnęłam go w ramię, gdy mnie mijał.

– Co jest między wami? – zagała Sloane, kiedy zniknął już za rogiem.

Dziewczyna przyjechała do Harlow po wyprowadzce Riley. Niewiele wiedziała o tym, co nas kiedyś



łączyło i pewnie też dlatego tak łatwo się z nią zaprzyjaźniłam. Co innego z Julianem, który przypominał mi o Rileyu na każdym kroku. Jakbym mogła zapomnieć...

– To nieco skomplikowane – odpowiedziałam wymijająco.

– Szkoda... – westchnęła Sloane. – Jest całkiem słodki... – dodała, na co zgromiłam ją spojrzeniem.

– Ale... – zreflektowała się – nietykalny. Dziewczyński kodeks i te sprawy.

Nie mogłam się nie roześmiać.

– Powinnaś w końcu zaprosić gdzieś Juliana, jak już o facetach mowa – zasugerowałam po raz milionowy chyba.

– To się nie wydarzy – odpowiedziała stanowczo. – Widziałaś te cheerleaderki, które się wokół niego kręcą? Nie mam z nimi żadnych szans.

– Nie doceniasz się.

Naprawdę miałam to na myśli. Sloane wkurzały jej rude włosy, piegi i kościste ramiona, a do tego wzrost – przewyższała połowę facetów z naszej klasy – jednak żadna z tych rzeczy nie odbierała jej urody. Sloane mimo to starała się skurczyć w sobie, żeby jak najmniej rzucać się w oczy.

– I kto to mówi... – mruknęła, mierząc mnie spojrzeniem. Jej wzrok padł na moją nogę. Nogę, która przekreśliła wszystkie moje marzenia, gdy przestała spełniać swoje zadanie.

– To co innego – obruszyłam się.

– Nie, Cam. Nie, jeśli nadal myślisz, że świat się skończył dwa lata temu.

Tak jednak było. Tamtego dnia skończył się świat. Mój świat.



## Rozdział 5

### Riley

Gdy wróciłem do domu, na podwórku stała już wysłużona honda mamy. Westchnąłem cicho. Na bank będzie miała milion pytań. Nie widzieliśmy się, odkąd odwiozła mnie wczoraj do szkoły.

– Cześć, już jestem! – zawołałem w przestrzeń, wchodząc do środka. Atlas już czekał na mnie przy drzwiach, merdając ogonem.

Mama wynurzyła się z kuchni. Miała na sobie fartuszek i właśnie wycierała w niego dłonie. W całym domu pachniało jedzeniem. Dopiero to mi uświadomiło, jak bardzo chciałem coś zjeść. Minęło już kilka godzin od lunchu, w zasadzie zbliżała się pora kolacji i umierałem z głodu.

– Jak pierwsze dni w szkole? – zapytała po tym, jak uścisnęła mnie krótko na powitanie. Nie docierało do niej, że jestem już za stary na takie czułości z nią. A przynajmniej tak jej wmawiałem. Nie przyznałbym się na głos, że lubiłem te nasze przytulasy.

– Całkiem spoko, Julian robi mi za przewodnika. – Wzruszyłem ramionami. – Byłem dzisiaj na treningu próbnym, dostałem się do drużyny.

– Wspaniale! W takim razie trafiłam w sam raz z kolacją. Zrobiłam twoje ulubione fettuccine.

Uśmiechnąłem się. Mama wyglądała na wykończoną, więc tym bardziej doceniałem, że przygotowała dla nas posiłek, zamiast odsypiać dyżur.

– Widziałam się dzisiaj z ojcem Camryn, ponoć byłeś u niej wczoraj – zagaiła, unosząc wymownie brwi, gdy już zasiedliśmy przy stole. – Robert widział was, jak siedzieliście razem na tarasie.

– Mamo... – jęknąłem.

– No co? Mówię tylko, co słyszałam od Roberta.

Zacząłem grzebać w swoim makaronie.

– Wiesz, że to nie jest takie proste... – westchnąłem.

– A może jest? Zawsze dobrze się rozumieliście. Jestem pewna, że z czasem wszystko sobie wyjaśnicie.

– Mamo, ja nie mogę jej o tym powiedzieć. Wiesz, że nie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Rozumiała, że mam rację. Gdybym wyznał teraz Camryn prawdę, już nigdy by się do mnie nie odezwała.

– Sądysz, że Julian coś wie?

Potrząsnąłem głową.

– Nie – odpowiedziałem. – I pewnie lepiej, żeby tak zostało.

Godzinę po kolacji zabrałem Atlasa na krótką przebieżkę. Po całym dniu siedzenia w domu lub ganiańca po podwórku cieszył się jak szczeniak, gdy przypiąłem go na smycz. Wieczorne bieganie weszło nam w nawyk już lata temu. Wystarczyło, żeby zmęczyć mojego wilczarza na tyle, by po powrocie nie broił w domu. Zwykle po wypiciu miski wody szedł do mojego pokoju spać.

Obrałem tę samą trasę co wczoraj. Miałem cichą nadzieję, że znów wpadnę na Camryn, więc

wracając, skierowałem się w stronę jej domu.

Gdy zbliżałem się do numeru jedenaście, otarłem wolną dłonią pot z czoła. W drugiej trzymałem luźno smycz. Wtedy dostrzegłem Camryn siedzącą na tarasie, zupełnie jak wczoraj. Atlas, zgodnie z moimi przypuszczeniami, ruszył w jej kierunku tak gwałtownie, że prawie wyrwał mi bark. Puściłem smycz, a chwilę później usłyszałem dziewczęcy chichot. Westchnąłem. Powinienem zmienić trasę bieganina, ale w głębi duszy... Wcale tego nie chciałem.

– Atlas, siad! – zawołałem za nim, bo zachowywał się jak szczeniak. Obawiałem się, że zaraz rozwali ławkę, na której siedziała Camryn.

Szczeknął, jakby w odpowiedzi, i grzecznie zajął miejsce przy jej nogach. Cam podrapała go za uszami. Gdy podszedłem bliżej, wyciągnęła w moją stronę butelkę z wodą. Obok niej leżała druga, już napoczęta. Uśmiechnąłem się pod nosem. Nie wierzyłem w przypadki.

– Dzięki – powiedziałem i pociągnąłem solidny łyk, po czym opadłem koło Camryn. Atlas jednak ani drgnął, siedział przy niej dalej i mrużył oczy pod wpływem pieszczot, którymi go obdarzała.

– I jak poszło? Dostałeś się do drużyny? – zagaiła, nie podnosząc na mnie wzroku. Spoglądała na psa.

Byłem pewny, że już to wie. Julian na bank jej powiedział, ledwo dotarł do szatni.

– Dostałem – odpowiedziałem z westchnieniem.

– Nie brzmisz na szczęśliwego – zauważyła. Zmarszczyła brwi i tym razem na mnie spojrzała. Przestała głaskać Atlasa, a wtedy ten, pozbawiony pieszczot, położył się przy naszych stopach. Zajmował mniej więcej tyle samo miejsca co ławka, na której siedzieliśmy.

Wzruszyłem ramionami.

– Wiem, że przydałoby mi się stypendium sportowe, żeby iść na studia, ale... – Urwałem.

– Ale? – Camryn uniosła wyczekująco brwi.

– Ostatnio jakoś mniej mnie to ekscytuje – przyznałem cicho. Wiedziałem, że to naprawdę kiepski moment na takie wątpliwości, bo trenowałem od przedszkola. Rozumiałem, że zarzucenie hokeja w momencie, kiedy byłem w swojej szczytowej formie to głupota.

– Może za duża presja? – zasugerowała.

– Może – mruknąłem, bawiąc się zakrętką od butelki. Nie odważyłem się spojrzeć na Camryn. Nie zniósłbym teraz ani jej troski, ani tym bardziej współczucia. Nie zasługiwałem na to.

– Zawsze kochałeś ten sport – przypomniała mi. – Twoja mama się wściekała, ilekroć zimą wracałeś poturbowany znad jeziora, bo jako dzieciaki mieliście z Julianem gdzieś ochraniacze. Ale ty i tak z zapałem wracałeś następnego dnia w to samo miejsce i grałeś dalej. Tylko raz się przy mnie popłakałeś, wtedy kiedy rozwaliłeś sobie nadgarstek i nie mogłeś trenować przez kilka tygodni, a do tego musiałeś opuścić mecz.

Skrzywiłem się na to wspomnienie – i nie dlatego, że bolało, a dlatego, że mazałem się wtedy jak dziecko.

– Chcesz się nade mną pastwić czy w jakiś dziwny sposób próbujesz mnie pocieszyć? – zapytałem podejrzliwie. Obawiałem się, że moje ego może za moment porządnie ucierpieć.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie wiem, co się zmieniło przez te dwa lata, gdy cię tu nie było, ale kiedy przyjechałeś tu po raz pierwszy, uwielbiałeś grać.

Przełknąłem gorycz. Tak bardzo chciałem opowiedzieć wszystko Camryn, ale nie mogłem. Gdybym jednak wyznał jej teraz całą prawdę, na szali znalazłaby się nie tylko nasza krucha relacja, ale także życie rodzinne Juliana. Nie mogłem im tego zrobić. Żadnemu z nich. Uczyniłem więc wszystko, by dochować tajemnicy, choć zżerało mnie to od środka.

– Zgrasz się z nową drużyną i zobaczysz, szybko zapomnisz o jakichkolwiek wątpliwościach. – Cam ścisnęła moją dłoń, jakby z przyzwyczajenia, ale zaraz szybko cofnęła rękę. – Przepraszam – bąknęła.

– Nie przepraszaj. – Sięgnąłem do jej palców i splotłem je ze swoimi.

Choć bardzo mnie kusiło, by spojrzeć na twarz Camryn, która najpewniej pokryła się rumieńcem, to utkwilem wzrok w ciemniejącym horyzoncie. Czułem bijące od Cam ciepło, jej słodki zapach wymieszany z wonią wilgotnej trawy. Przy niej miałem wrażenie, że ostatnie dwa lata się nie wydarzyły. Jakby nic się nie zmieniło.

– Jak sobie radzi twoja mama? Po rozwodzie? – zapytała nagle, przerywając ciszę.

– Lepiej, niż się spodziewałem, choć pierwsze miesiące były trudne. Niedawno nawet zaczęła

chodzić na randki. – Uśmiechnąłem się mimowolnie.

Na początku myślałem, że to będzie dziwne, gdy mama po rozwodzie zacznie się umawiać z facetami, ale nie było. Z jednym takim chirurgiem spotykała się przez kilka miesięcy, nawet wpadł parę razy na obiad w weekend, jednak kiedy nie wyszło, mama zdecydowała o powrocie tutaj, do Harlow. Do miejsca, gdzie, jak potem twierdziła, zostawiła szczęście. Jak na lekarkę, która długie lata poświęciła edukacji, była nad wyraz przesadna. Wszystko przez naszą nieco stukniętą gospodynię, panią O’Sullivan, która krótko przed naszym wyjazdem stąd wywróżyła mamie, że ta wróci tutaj w poszukiwaniu szczęścia.

– A twój ojciec? – dociekała Camryn.

– Nie widziałem go od ostatniej rozprawy w sądzie. Wiem, że nadal mieszka w Miami, ale nic poza tym. Zresztą... Nie obchodzi mnie to.

– Byliście kiedyś blisko...

Prychnąłem.

– Tak mi się wydawało, dopóki się nie okazało, że ma liczne problemy natury ortopedycznej, w tym te przewlekłe.

Camryn wydała z siebie nieokreślony dźwięk. Coś pomiędzy piskiem zdumienia a krztuszeniem się.

– Kiedy to się zaczęło?

– Nie wiem kiedy, ale wiem, że tutaj. Ojciec do samego końca zaprzeczał.

Ścisnęła mocniej moje palce i oparła głowę na moim ramieniu. Powoli zapadał zmrok, do tego zaczynałem trochę marznąć w przepoconych ciuchach, ale nie odważyłem się choćby drgnąć. Atlas też leżał spokojnie przy naszych nogach i chyba nawet przysnął, bo wydawało mi się, że chwilę temu wyrwało mu się ciche chrapnięcie.

– Nadal jestem na ciebie zła – odezwała się Cam po dłuższej chwili. Jej milczenie mogło trwać minuty, ale i godziny, bo czas zdawał się nagle płynąć nienaturalnie wolno.

– Wiem – odpowiedziałem cicho.

– I nadal mam ochotę cię udusić we śnie – dodała.

– Wiem. – Uśmiechnąłem się.

– Ale z jakiegoś powodu mimo wszystko cię lubię, więc zachowam cię przy życiu. To pewnie dlatego, że jesteś taki ciepły... – westchnęła, wtulając się bardziej w moje ramię.

Teraz już wyszczerzyłem się tak szeroko, że obawiałem się, że za moment rozbolą mnie policzki.

– Wiem.



## Rozdział 6

### Camryn

W sobotę mieliśmy się spotkać większą grupą w domu Juliana, żeby obejrzeć mecz Twinsów z Red Soxami. Kiedyś byłam tam częstym gościem – gdy przyjaźniłam się nie tylko z Julianem, ale także jego siostrą. Nie utrzymywałam jednak kontaktu z Yarą, odkąd wyjechała do szkoły baletowej do Nowego Jorku. Tak było lepiej. Zarówno dla nas, jak i dla Juliana, który nie znajdował się już między młotem a kowadłem. Sprawnie unikał rozmów o swojej siostrze i odpowiadało to obu stronom, bo Julian też przestał się dogadywać z Yarą. Dwa lata temu coś nieodwracalnie się zmieniło, jednak oboje milczeliśmy na ten temat. To wydawało się dużo łatwiejsze niż próba pogodzenia się z tym, co się wydarzyło.

Drzwi otworzyła mi mama Juliana. Dyrektor Hill z jakiegoś powodu nie była moją fanką, choć nie dawałam jej ku temu powodów. Z podobną rezerwą podchodziła też do Riley'a. Wiedziałam, że nie traktowała tak wszystkich znajomych Juliana, bo wobec Sloane zawsze była serdeczna.

– Dzień dobry. – Wymusiłam uśmiech, choć zmroziło mnie na sam widok jej niemal niewzruszonej miny. Gdy mnie zobaczyła, jej ciemne wypielęgnowane brwi tylko delikatnie drgnęły. Wydatne wargi sprawiały, że wydawała się wiecznie nadąsana.

– Camryn, dobrze wyglądasz. – Zlustrowała mnie od stóp do głów i nie umknęło mojej uwadze, że zawiesiła na dłużej wzrok na bliźnie na mojej nodze. Wieczór był tak ciepły, że włożyłam krótkie spodenki. I teraz tego pożałowałam. – Napijesz się czegoś?

– Nie trzeba, dziękuję. Julian jest u siebie?

– Jak zawsze. – Wzruszyła lekko ramionami i przepuściła mnie w drzwiach. Dopiero na piętrze poczułam, jak uchodzi ze mnie powietrze. Doprawdy nie miałam pojęcia, co takiego zrobiłam tej kobiecie.

Do pokoju weszłam bez pukania. W środku czekała już Sloane, na co odetchnęłam z ulgą. Jej obecność uchroniła mnie przed niekomfortową wymianą zdań, która zwykle następowała, gdy przychodziłam do Juliana. Starał się mi jakoś wynagrodzić chłód ze strony matki, zupełnie zresztą niepotrzebnie, jednak taki już był. Dużo bardziej charakterem przypominał swojego ojca, który, choć zwykle nieobecny przez pracę, dla bliskich zrobiłby wszystko.

– Jesteś wcześniej – zauważyłam, zajmując miejsce koło przyjaciółki. Zobaczyłam kątem oka, że na jej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce. Nie musiałam o nic pytać. Chciała spędzić nieco czasu tylko z Julianem i ani trochę jej za to nie winałam. Ba, żałowałam nawet, że przyszłam aż tak szybko. Za to miałam nadzieję, że niedługo pojawi się Riley, choć za nic nie powiedziałabym tego na głos.

– Skoro obie jesteście wcześniej, to pomożecie mi z przekąskami. – Julian klasnął w dłonie, wyraźnie zadowolony z obrotu spraw.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że MY je naszykujemy? – zapytałam, unosząc brwi.

W odpowiedzi tylko wyszczerzył zęby. Mogłam jedynie ze śmiechem pokręcić głową. Miał szczęście, że tak bardzo go lubiłam.

Riley dołączył do nas, gdy już zdążyliśmy z Sloane naszykować całą górę kanapek. W drodze była

też pizza, którą przezornie zamówiliśmy wcześniej. W dzień domowego meczu Minnesota Twins z pewnością nie tylko my zbieraliśmy się większą grupą przed telewizorem.

Na powitanie Riley uściśnął Julianowi dłoń i skinął głową Sloane. Za to wyraźnie się zawahał, gdy jego wzrok padł na mnie. Uniósł ramiona, jakby chciał mnie przytulić, ale zatrzymał się w połowie drogi i opuścił ręce z powrotem wzdłuż ciała.

– Cześć, Skrzacie – odezwał się tylko, na co zmrużyłam groźnie oczy. Wiedział, jak bardzo nie lubiłam tego przezwiska, i z pewnością właśnie dlatego go używał. Żeby podziałać mi trochę na nerwy.

– Ry – powiedziałam ostrzegawczo, ale tylko uśmiechnął się szerzej i jakby nigdy nic stanął tuż koło mnie. Tak blisko, że czułam bijące od niego ciepło. Dłoń oparł na kuchennym blacie, niby-nonszalancko, ale zdecydowanie za blisko mojego biodra, żebym mogła uznać ten gest za przypadkowy. Szczególnie że zrobił to akurat wtedy, kiedy do kuchni weszło kilku chłopaków z drużyny. Zadziało, bo żaden z nich do mnie nie podszedł, choć większość nazbyt wylewnie przywitała się z Sloane. Koledzy Juliana tak bardzo przyzwyczaili się do jej i mojej obecności, że traktowali nas jak maskotki drużyny.

Pizza przyjechała, gdy Weston wyjmował z lodówki stos puszek coli. Julian popędził do drzwi i już po chwili, uzbrojeni w całą górę jedzenia i napoje, wszyscy skierowaliśmy się do pokoju telewizyjnego, który znajdował się w piwnicy domu.

Jako jedyne dziewczyny w tym gronie miałyśmy ze Sloane pierwszeństwo w wyborze miejsca, usiadłyśmy więc obok siebie na obszernej kanapie. Julian jak gdyby nigdy nic klapnął koło mojej przyjaciółki i myślałam, że Riley pójdzie w jego ślady, jednak zamiast tego usiadł na podłodze przy mnie. Prawym ramieniem dotykał mojej łydki, a gdy przechylił głowę, jego ciemne włosy połaskotały mnie w kolano. Odetchnęłam głęboko, wierząc się z lekka, ale nie zauważył tego nikt poza Rileyem. Spojrzał na mnie z szerokim, pewnym siebie uśmiechem.

Minnesota Twins przegrała ostatnie dwa mecze z Red Soxami, więc wszyscy czekaliśmy w napięciu na początek meczu. Nawet mnie i Sloane udzieliły się emocje chłopaków, którzy wymieniali między sobą uwagi na temat graczy obu drużyn i typowali wynik dzisiejszej rozgrywki. Jedynie Riley był milczący, dziwnie nieswój. Błądził wzrokiem po pokoju i w ciszy zajadał pizzę. Nawet po rozpoczęciu gry nie wykazywał większego entuzjazmu, choć w skupieniu śledził spotkanie.

Po trzecim inningsu lekko już ścierpłam, starałam się jednak ruszać jak najmniej, żeby nie trącać Rileya. Było to o tyle trudne, że noga znów mnie bolała po tym, jak ją przeciążyłam parę dni temu, a tata dziś rano odmówił mi kolejnej recepty na vicodin. Wściekłam się, ale jednocześnie nie potrafiłam przyznać na głos, jak bardzo potrzebuję tych leków. Mimo rehabilitacji po każdym większym wysiłku ból dokuczał mi przez parę dni, czasem dłużej. Mogłam zapomnieć o bieganiu, które kiedyś praktykowałam codziennie. Nawet niewinna rozgrywka w unihokeja z Elliotem mogła się zakończyć tak jak teraz.

Poruszyłam nieznacznie obolałą kostką i skrzywiłam się.

Wstałam z kanapy, rzuciłam krótkie „zaraz wracam” i poszłam na górę, by poszukać swojego plecaka w pokoju Juliana. Wygrzebałam z małej kieszonki dwie tabletki advilu, zapiłam je colą zabraną z dołu, po czym odetchnęłam głęboko. Nie był to vicodin, ale w tym momencie nie mogłam wybrzydząć. Zanim ruszyłam z powrotem do piwnicy, nagle mnie zemdliło. Ledwo zdążyłam do łazienki znajdującej się na końcu korytarza. Wydostały się ze mnie wzięte chwilę temu tabletki wraz ze wszystkim, co dzisiaj zjadłam, a było tego niewiele. Usiadłam na podłodze i oparłam mokre od potu czoło o zimne kafelki. Pod powiekami zapiekły mnie łzy. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam swojej słabości. Nienawidziłam swojej cholernej nogi. I nienawidziłam Yary Hill.

Riley

Skończyła się pierwsza połowa meczu, a Camryn wciąż nie wróciła, więc poszedłem jej poszukać. Najpierw skierowałem się do kuchni, a potem do pokoju Juliana. Znalazłem tam tylko jej plecak porzucony byle jak na biurku. Gdy wyszedłem z powrotem na korytarz, dostrzegłem światło w łazience na jego końcu. Pani Hill siedziała na tarasie, więc to musiała być Camryn.

Podszedłem do drzwi i zapukałem cicho.

– Cam, jesteś tu?

– Nic mi nie jest! – odkrzyknęła, ale nie zabrzmiała przekonująco.

– Cammie... – westchnąłem, a drzwi nagle otworzyły się nieznacznie. Uznałem to za zaproszenie i

wkroczyłem do środka.

Camryn siedziała na podłodze, obejmując rękami kolana. Twarz miała zlaną potem, a luźne kosmyki kleiły się do jej mokrego czoła i policzków. Pod brązowymi oczami widniały czarne smugi tuszu do rzęs, który musiał spłynąć razem ze łzami.

Dawniej wiele razy nocowałem w domu Juliana, wiedziałem więc, że w szafce nad toaletą znajdzie świeże ręczniki. Wyjąłem najmniejszy, zmoczyłem go i przykucnąłem przy Camryn. Zacząłem delikatnie wycierać jej twarz z resztek makijażu. Wydawała się tak rozbita, że pękało mi serce.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytałem, a wtedy lekko skinęła głową.

Przewiesiłem ręcznik przez krawędź umywalki i pomogłem Cam wstać. Nawet na chwilę nie puściłem jej ręki – ani gdy zabierałem plecak dziewczyny z pokoju Juliana, ani gdy schodziliśmy na dół. Trzymałem dłoń Camryn przez całą drogę do domu Heartów. Po drodze wysłałem do Juliana krótką wiadomość z jak najmniejszą ilością szczegółów.

Do środka wślizgnęliśmy się tylnymi drzwiami. Z salonu dobiegały dźwięki meczu, w domu musiał więc być ojciec Cam. Po cichu przemknęliśmy na górę, a tam od razu położyła się na łóżku.

– Zostać z tobą?

Otworzyła wciąż szkliste oczy, po czym zmarszczyła brwi.

– Nie wolałbyś dokończyć oglądania z chłopakami?

Pokręciłem głową i zdjąłem buty, zanim położyłem się obok niej. Potem naciągnąłem na nas cienki koc.

– Jak się czujesz? – Delikatnym gestem odsunąłem zbłąkane kosmyki z twarzy Camryn.

– Lepiej – odpowiedziała cicho, przyglądając mi się. Patrzyła na mnie z taką intensywnością, jakby próbowała odgadnąć moje myśli.

– Chcesz o czymś pogadać?

Zaprzeczyła krótkim, ale stanowczym ruchem głowy.

– Spróbuj się przespać. Zostanę z tobą tak długo, dopóki nie wykopiesz mnie za drzwi.

To ostatnie zdanie wywołało u niej uśmiech.

– Nawet na to nie licz – odparła i wtuliła się w poduszkę, przymykając oczy.

Nie minął kwadrans, a jej oddech stał się spokojny i przestała się w końcu wiercić. Potem długo jej się przypatrywałem, sam walcząc z ogarniającą mnie sennością. Zrobiło mi się ciepło, a obecność Camryn tuż obok była kojąca. W końcu i ja odpłynąłem. Ostatnie, co pamiętałem, to spokojna twarz śpiącej przy mnie dziewczyny.



## Rozdział 7

### Camryn

Gdy otworzyłam oczy, już zмирchało. Riley spał spokojnie obok mnie. Jedną rękę wyciągnął na poduszcze, tuż nad moją głową, a drugą prawie dotykał mojego brzucha, jakby przez sen próbował mnie objąć. Potarłam powieki, krusząc resztki tuszu na rzęsach. Musiałam wyglądać koszmarnie.

Powoli, starając się nie obudzić Riley'ego, wyplątałam się z okrywającego nas koca i przemknęłam na palcach do łazienki. Najciszej, jak potrafiłam, zmyłam resztki makijażu i wyszczotkowałam zęby, pozbywając się resztek kwaśnego posmaku. Przeczesałam jeszcze palcami włosy, ale na odbitą na policzku poduszkę nie mogłam już nic poradzić. Nagle zachciało mi się śmiać. Czym ja się przejmowałam? Riley widywał mnie w dużo gorszym stanie, a jeszcze nigdy nie uciekł z krzykiem.

Z uśmiechem na ustach wróciłam do pokoju. Ry już nie spał. Siedział na łóżku i szybko stukał w ekran. Podniósł na mnie wzrok, gdy cicho skrzypnęły drzwi.

– Jadłaś coś dziś poza tym kawałkiem pizzy u Juliana? – zapytał bez ogródek.

– Nie coś, co uznałbyś za posiłek – odpowiedziałam, krzywiąc się. Trudno bowiem było nazwać śniadaniem banana i pół jabłka, które pochłonęłam rano naprędce, a potem popiłam czarną kawą.

– W takim razie zbieraj się, pójdziemy coś zjeść.

– Ale ja... – zaprotestowałam słabo.

– Jedzenie, Cam – upomniął mnie i powtórzył: – Zbieraj się.

Nie protestowałam dłużej. Nie miało to sensu. Riley był zbyt uparty, żeby mi odpuścić. Poszłam więc przebrać się w coś cieplejszego, bo wieczory stawały się już coraz chłodniejsze, i dałam znać rodzicom, że wychodzę. Gdy zobaczyli za moimi plecami Riley'ego, nie zadawali żadnych pytań. Tata tylko uśmiechnął się znacząco. Zawsze go lubił. Twierdził, że ma na mnie dobry wpływ. Nie przepadał za to za większością moich koleżanek ze szkoły baletowej, które wyparowały z mojego życia, gdy tylko się okazało, że nie będę mogła już tańczyć. Widać tata miał co do nich rację.

Myślałam, że Riley zabierze mnie do April, jednak poszedł w przeciwną stronę. Zatrzymał się przed domem wdowy O'Sullivan, a może raczej swoim domem, jednak ja jeszcze przyzwyczajałam się do nieobecności Niamh. Brakowało mi jej ciętego dowcipu.

– Ry, ja nie wiem, czy powinnam... – zaczęłam niepewnie. W kuchni paliło się światło, a więc mama chłopaka była w domu.

– Mama już wie, chodź. – Chwycił mnie za dłoń jak gdyby nigdy nic i ledwo otworzyliśmy furtkę, a już z za domu wybiegł rozradowany Atlas. Machał wesoło ogonem, a gdy tylko nadarzyła się okazja, wsadził łeb pod moją wolną rękę, domagając się pieśczęt.

Otrzymałam imię po greckim bogu, który dźwigał na swoich ramionach cały świat. Ry powiedział mi kiedyś, że nazwał go tak dlatego, że nawet jeśli wszyscy by go opuścili, to i tak Atlas wciąż dźwigałby jego świat. Był towarzyszem Riley'ego, ale też przyjacielem. Miałam nadzieję, że dźwigał jego świat także, gdy wyjechał z Harlow.



Pani Reed rzeczywiście się nas spodziewała, bo ledwo przekroczyliśmy próg, a już wyszła nam na spotkanie. Wytarła dłonie w fartuszek i, ku mojemu zaskoczeniu, uściskała mnie mocno. Wciąż, jak dawniej, pachniała ciasteczkami, czemu nigdy nie mogłam się nadziwić, biorąc pod uwagę, że pracowała w szpitalu. A one nie pachną ciasteczkami. W ciemnych włosach Dawn pojawiły się siwe pasma, ale niebieskie oczy wciąż błyszczały dobrocią, którą Riley po niej odziedziczył.

– Jak dobrze cię widzieć, Cammie – przywitała mnie, a ja poczułam się jak dawniej, jak wtedy, kiedy Riley i jego mama byli w naszym domu częstymi gośćmi. Zwłaszcza im częściej pan Reed wyjeżdżał w liczne delegacje.

– Panią też – odpowiedziałam. Ze wzruszenia ścisnęło mnie w gardle.

– Nie miałam za wiele czasu, by coś naszykować, ale zapiekanka z kurczakiem jest już w piekarniku.

– I z brokułem? – zapytałam z nadzieją.

– I z brokułem – potwierdziła z uśmiechem.

Nie miałam pojęcia, jak Dawn to robiła, ale jej zapiekanka z kurczakiem i brokułami smakowała najlepiej na świecie. Choć moja mama korzystała z tego samego przepisu, jej nigdy nie wychodziła taka dobra.

– Na zapiekankę będziemy musieli jeszcze chwilę poczekać, ale może skusicie się na coś słodkiego? – zaproponowała, prowadząc nas do kuchni.

Uśmiechnęłam się, gdy na blacie dostrzegłam niebieskie babeczki. Riley był już prawie dorosły, a jego mama wciąż piekła mu błękitne muffinki. W dzieciństwie zażyczył sobie takich po przeczytaniu pierwszej części serii o Percym Jacksonie. Widać pod tym względem nic się nie zmieniło. Porwałam jedną babeczkę z patery i prawie zderzyłam się przy tym z Rileyem, na co oboje parsknęliśmy śmiechem. Stuknęliśmy się nimi na znak toastu i pochłonęliśmy je w kilku kęsach.

Dawn przyglądała nam się z lekkim uśmiechem sięgającym także jej oczu, wokół których pojawiły się już drobne zmarszczki. Na stole postawiła dzbanek zimnej lemoniady, a ja i Riley rozłożyliśmy talerze. Włączony był też niewielki telewizor. Lata temu urządzenie zacięło się na jakimś brytyjskim kanale, jednak Niamh to nie przeszkadzało – i nam też nie. Często puszczała powtórki seriali sprzed lat, na które mimowolnie zerkaliśmy kątem oka, ile razy udaliśmy się w odwiedziny do wdowy O’Sullivan.

Od prób konwersacji uratował nas Atlas, który wbiegł właśnie do domu przez tylne drzwi, szczerząc się, po czym usiadł między mną a Rileyem, nie przestając machać ogonem. Otarł się o mnie pyskiem, domagając się pieszczot, i oślinił mi przy tym spodnie. Mogłam się tylko roześmiać i podrapać wilczarza za uszami. Czasem zachowywał się jak szczeniak.

Nie wiedziałam, o czym rozmawiać z mamą Riley’a. Na usta cisnęły mi się głównie pytania, których nie powinnam zadawać. Chciałam zapytać, dlaczego tak nagle urwał się wszelki kontakt, gdzie się wtedy podziewali i... czemu wrócili właśnie tutaj.

– Twój tata mówił mi, że myślisz o medycynie sportowej – zagaiła Dawn, nalewając lemoniady do szklanek.

– Lub o ortopedii – dodałam automatycznie. Gdy balet przestał być opcją, zaczęłam myśleć o pójściu w ślady taty i zostaniu lekarzem, chociaż wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Ale to tylko taki pomysł. – Zaczęłam nerwowo skubać paznokciem rant szklanki.

Od piątego roku życia nie musiałam się zastanawiać nad tym, co chcę robić. A gdy w wieku jedenastu lat pierwszy raz założyłam pointy, nie miałam już żadnych wątpliwości, że właśnie tym pragnę się zajmować przez resztę życia. Tańcem. Moje szczęście jednak nie potrwało długo. Skomplikowane złamanie nogi i strzaskana kostka nie rokowały dobrze, nie było szans, żebym mogła jeszcze kiedyś zatańczyć na pointach. Nie bez bólu w sztywniejącym stawie, który promieniował aż po czubki palców u stopy.

– To świetny pomysł. – Dawn posłała mi pokrzepiający uśmiech. – Lekarz medycyny sportowej, który sam kiedyś uprawiał sport, czasem dużo łatwiej zrozumie swoich pacjentów. To ta dziedzina, gdzie empatia jest bardziej niż potrzebna.

Skinęłam głową, a potem upiłam łyk zimnej lemoniady, bo nagle zaschło mi w gardle. Riley sięgnął ponad Atlassem, który wciąż trzymał pysk na moich kolanach, i delikatnie ścisnął moje palce.

– Nie magluj jej, mammo. Ma jeszcze chwilę na podjęcie decyzji. – Ton Riley’a był lekki, ale dosłyszałam w nim stanowczość.

– Jasne, oboje macie jeszcze kupę czasu, by zastanowić się nad przyszłością – odpowiedziała

rzeczowo i wstała, żeby zerknąć na zapiekankę. – Wielkie nieba, nie przyzwyczaję się do tego piekarnika. – Wyjęła danie, które wydawało się nieco bardziej przyrumienione niż zwykle, a nawet powiedziałabym, że odrobinę spieczone. Nadal jednak było pyszne, chociaż ser, zamiast się ciągnąć, nieco chrupał.

Przy kolacji toczyliśmy niezobowiązującą rozmowę. Ja opowiadałam o tym, co się działo w Harlow przez ostatnie dwa lata, choć nie było tego za wiele, a Riley i jego mama o życiu na Florydzie. Dawn właśnie relacjonowała mi pierwsze podejście Riley'a do surfingu i było to tym zabawniejsze, że chłopak robił się coraz bardziej czerwony z zażenowania, im dłużej trwała opowieść. Przed zupełną kompromitacją uratował go Atlas, który zniecierpliwiony naszym przedłużającym się posiłkiem przyszedł do nas ze smyczą w pysku, domagając się spaceru. Pożegnałam się więc z Dawn i wyszliśmy we trójkę na zewnątrz.

Skierowaliśmy się w stronę pobliskiego parku na rogu Springvale i Roosevelta. Atlas zdawał się być w swoim żywiole. W parku czekała na niego masa zapachów. Spotkaliśmy też wiewiórkę, a Riley omal nie zwichnął sobie barku, próbując zapanować nad wilczarzem.

– I co ty chciałeś zrobić z tą wiewiórką, co? – wysapał, gdy jasna kita zniknęła w koronie drzewa.

Atlas szczechnął, nie spuszczać wzroku z miejsca, gdzie po raz ostatni widział rudy ogon. Wilczarz był ogromny, ale nie miał szans ze zwinnym gryzoniem.

– Powinniśmy zabrać go za miasto, do moich dziadków – zaproponowałam i pogłaskałam psa po kudłatym pysku. – Byłby wniebowzięty.

– Myślałem, że wciąż jesteś na mnie zła – odezwał się cicho Riley, przywołując tym samym naszą rozmowę sprzed dwóch wieczorów.

– Ale na niego nie – odpowiedziałam, nie przestając głaskać Atlasa. Patrzyłam jednak w zwykle niespokojne oczy jego właściciela, w których nagle zapanował spokój. – Przyjdź o dziesiątej, pożyczę pick-upa taty.

– Będiesz prowadzić? – dopytywał.

– Nie ufasz moim zdolnościom? – zapytałam z przekąsem.

Potrząsnął głową ze śmiechem.

– Zdolnościom? Ani trochę! – zaprzeczył stanowczo. – Zastanawiam się tylko, czy taki skrzat jak ty będzie coś widział zza kierownicy.

Uderzyłam go żartobliwie w ramię i ruszyłam przed siebie.

– Już tchórzysz, Reed?! – zawołałam po tym, gdy znacznie go wyprzedziłam.

– Nigdy w życiu – odpowiedział, biegnąc w moją stronę z Atlasem przy nodze.



## Rozdział 8

### Riley

Gdy wróciłem ze spaceru z Cam, mama czatowała na mnie w salonie. Normalnie często o tej porze zamykała się już w sypialni i czytała książkę, żeby zasnąć. Tym razem jednak siedziała na kanapie i oglądała jakiegoś starego akcyjniaka.

– Cieszę się, że przyprowadziłeś Camryn – odezwała się, gdy usiadłem koło niej z puszką coli. – Dobrze było ją zobaczyć.

Skinąłem głową. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Mama wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, jak bardzo tęskniłem za Cam. Jak bardzo mi jej brakowało. Zarówno wtedy, jak i teraz zrobiłbym wszystko, żeby ją chronić, bez chwili zawahania. Wybór był więc prosty.

– Jak ona sobie z tym wszystkim poradziła? – zapytała, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym za bardzo... – Westchnąłem i nerwowo przeczesalem palcami włosy. – Camryn się zmieniła.

– Ty też się zmieniłeś, Ry.

Miała rację. Zmieniłem się. Miałem w sobie tyle gniewu, że miejscami czynił mnie ślepym na wszystko inne. Tylko przy Camryn na powrót czułem wewnętrzny spokój.

– Jutro zabieram Atlasa do jej dziadków, będzie mógł się wybiegać.

– To dobrze, bo mam wrażenie, że jeszcze trochę i rozniesie nam dom – powiedziała mama z rozbawieniem, zerknąwszy na psa. Atlas bystrym wzrokiem patrzył przez szyby tarasu na ciemniejące podwórko. – Czy ona też się zmieniła?

Nie musiała precyzować. Dokładnie wiedziałem, o kogo pyta.

– Ani trochę – odpowiedziałem bez namysłu. Przed oczami na powrót miałem minę dyrektora Hill, gdy stanąłem w drzwiach jej domu.

Wyglądała, jakby ujrzała ducha.

\*\*\*

Równo o dziesiątej pojawiłem się z Atlasem przed domem Heartów. Camryn siedziała już za kierownicą zdezelowanego pick-upa swojego taty. Wóz był starszy niż ja i Cam, jednak pan Heart miał za duży sentyment do swojego pierwszego auta, które zakupił za własne pieniądze jako biedny student medycyny, żeby się go pozbyć. Samochód kiedyś był czerwony, ale teraz lakier już wyblakł, a w wielu miejscach wyzierała żywa blacha.

Wpuściłem Atlasa do kabiny, a sam usiadłem na miejscu pasażera. Wciąż trzymałem wilczarza na smyczy, żeby nie przeszkadzał w trakcie podróży. Na ogół był grzeczny, ale miewał różne pomysły. Wolałem nie ryzykować, że rozproszy Cammie w trakcie jazdy. Nie wiedziałem też, jakim dziewczyna jest kierowcą.

– Gotowy? – zapytała, odpalając silnik.

– Gotowy – odpowiedziałem, zapiąwszy pas. Z plecaka wyjąłem dwa kubki termiczne z kawą. Jeden podałem Camryn. – Ze śmietanką i łyżeczką cukru.

– Skąd wiedziałeś?

Uśmiechnąłem się przebiegle. Rano napisałem do Juliana. Bez dodatkowych pytań przekazał mi, jaką kawę lubi Cam. Właśnie dlatego był tak dobrym kumplem.

– Julian. – Wzruszyłem ramionami. Nie miałem problemu z tym, żeby przyznać się do swojego źródła informacji, bo z pewnością i tak by się domyśliła.

Tylko pokręciła głową, po czym upiła łyk i ruszyliśmy w drogę. Czekają nas jakieś dwadzieścia minut jazdy. Cam, mimo swojego mikrego wzrostu, świetnie radziła sobie za kółkiem starego pick-upa, choć skrzynia biegów była tak wyrobiona, że biegi nie zawsze wskakiwały. Nie wybijało jej to jednak z rytmu, prowadziła pewnie i płynnie – na tyle, że Atlas nawet uciał sobie drzemkę z łbem na moich kolanach.

New Haven można było minąć i nawet się nie zorientować. W miejscowości znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt domów, a wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zielone pastwiska i pola. Camryn zatrzymała samochód przed drewnianą furtką w tym samym rozmytym odcieniu niebieskiego co okiennice. Wyskoczyła z auta z gracją godną baletnicy. Nadal można było dostrzec pewne odruchy, także w sposobie, w jaki chodziła – jakby ledwie muskała ziemię stopami. W każdym jej ruchu czaiła się lekkość, która zawsze mnie fascynowała. Może dlatego, że tak bardzo różniła się od typowej dla hokeja surowości. Zagapiłem się i Cam mnie na tym przyłapała. Była wyraźnie zadowolona z siebie, jednak odpuściła sobie komentarz.

– Za furtką będziesz mógł spuścić Atlasa ze smyczy. Ogrodzenie odświeżono na wiosnę, nie ma żadnych przerw – powiedziała, manipulując przy metalowej zasuwie, która skrzypnęła cicho przy otwieraniu.

Atlas wcisnął się przed nas i zaczął węszyć na podwórku. Trzymałem go jeszcze przez chwilę na luźnej smyczy, dopóki nie zyskałem pewności, że dobrze się tu czuje.

– Nie wiem, kto bardziej urósł, ty czy twój pies. – Usłyszałem nagle za sobą znajomy głos. Dziadek Camryn szedł właśnie w naszą stronę, jakby dopiero wychynął zza domu. – Dobrze cię znów widzieć, Riley.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Pan Heart nie spuszczał ze mnie wzroku. Przypatrywał mi się z dozą ciekawości, ale też jakby oceniał, czy rzeczywiście jestem warty czasu jego wnuczki. Nie byłem pewny, czy zdałem ten test, bo zaraz dołączyła do niego babcia Cam, która nawet głuchego zagadałaby na śmierć.

W końcu puściłem Atlasa luzem, a ja i Camryn wypiliśmy z jej dziadkami dzbanek lemoniady na tyłach domu. Natomiast potem się dowiedziałem, że dziewczyna mnie przechytrzyła... Na miejscu czekała na nas robota, a jej rodzice wraz z bratem mieli do nas dołączyć dopiero po południu. Cam miała pomagać przy lżejszych pracach ogrodowych, mnie za to przypadło w udziale przygotowanie drewnianego tarasu na okres jesienno-zimowy. Nie narzekałem jednak. Camryn w towarzystwie dziadków wydawała się tak radosna i swobodna, że z trudem odrywałem od niej wzrok, gdy co chwilę wybuchała perlistym śmiechem.

– Mówiłem mojemu synowi, że Cammie mogłaby zostać u nas na dłużej – odezwał się nagle pan Heart. We dwóch w pocie czoła szorowaliśmy właśnie drewniane balustrady. – Ostatnio rzadko taka bywa.

– Rozumiem, czemu jest tu szczęśliwa – stwierdziłem, wymieniając spojrzenie z Camryn. Puściła do mnie oko, wychyliwszy się nad bujnego krzewu dzikiej róży.

– Wy, dzieciaki, czujecie na sobie za dużo presji. Za naszych czasów było trochę inaczej. A Camryn zawsze była taka ambitna... – Westchnął. – Źle się stało, ale niektóre rzeczy trudno przewidzieć.

Przełknąłem zółć, która nagle podeszła mi do gardła, i nic nie odpowiedziałem. Zamiast tego rozejrzałem się za Atlasem. Właśnie zaabsorbowała go jabłotka uginająca się pod ciężarem owoców. Obwąchiwał ją z takim zapałem, jakby co najmniej skryła się na niej widziana wczoraj wiewiórka.

Gdy już uporaliśmy się z czyszczeniem tarasu, który musiał teraz wyschnąć, padło na szklarnię. Z Camryn mieliśmy posprzątać po letnich uprawach.

– Nie jesteś na mnie zły? – zapytała, gdy wykopywałem z ziemi to, co zostało po pomidorach. W szklarni było duszno i czułem, jak włosy lepią mi się do wilgotnego czoła. Nie byłem jednak ani trochę zły na Camryn. Wysilek fizyczny pozwalał mi oczyścić głowę, a po ostatnich dniach bardzo tego potrzebowałem.

– Nie – odpowiedziałem. – Czemu miałbym być?

– Pewnie nie tak sobie wyobrażałeś ten dzień, a moi dziadkowie zagonili nas do porządków.

Pokręciłem głową.

– Daj spokój, Cammie. Słyszałaś, żebym narzekał, odkąd tu przyjechaliśmy?

Uśmiechnęła się, marszcząc przy tym piegowaty nos. Jej zaplecione w warkocz włosy były już teraz w kompletnym nieładzie, a flanelowa koszula zsuwała się z jednego ramienia.

– Mam wrażenie, że bawisz się lepiej niż na wczorajszym meczu.

– A co, jeśli tak jest? – Uniosłem zaczepnie jedną brew i oparłem się o ciężki szpadel.

– Wtedy módl się, żebym zabrała ze sobą tę tajemnicę do grobu.

Nagle dopadłem do niczego niespodziewającej się Camryn i zacząłem ją łaskotać, nie zważając na jej głośne protesty.

– Ewentualnie mogę spróbować wymóc na tobie obietnicę. To jak będzie, Heart? – Nie zaprzestałem łaskotek, a Camryn wciąż próbowała się wyswobodzić, ale jej zapał malał, im bardziej się śmiała.

– Dobra! – wykrzyknęła w końcu. – Nikomu nie powiem, szczęśliwy?

– Najszczęśliwszy – odparłem i zabrałem ręce, ale szybko objąłem Camryn, zanim straciła równowagę. Oboje ciężko dyszeliśmy, a plecy Cam przyklejone były teraz do mojego torsu. Zmrużyłem oczy w słońcu i starałem się uspokoić oddech, bo moje serce biło coraz szybciej. W nos połąskotał mnie zapach owocowego szamponu. Bałem się poruszyć.

– Co robicie? – Dobiegł nas niespodziewanie głos Elliota i oboje z Cammie drgnęliśmy. Wypuściłem dziewczynę ze swoich ramion, a ona zrobiła krok do przodu, oddalając się ode mnie.

– Nic takiego – odkrzyknęła do brata. Dopiero teraz zobaczyłem krwiste rumieńce na jej policzkach.

– Zachwiałam się i Ry mnie złapał – skłamała i wskazała na nierówne ścieżki między grządkami.

– Aha – odparł Elliot, ale chyba nie do końca to kupił, bo wciąż wędrował wzrokiem między naszą dwójką. – Skoro tak... Babcia woła was na lunch. Jemy w ogrodzie, skoro jest ciepło.

– Widziałeś Atlasa? – odezwałem się, bo straciłem psa z oczu, gdy weszliśmy do szklarni.

– Tata się właśnie z nim bawi. Chodźcie już, potem mam wam pomóc.

Czułem zawód, że zyskaliśmy przyzwóitkę, i jednocześnie ulgę z tego samego powodu. Nie potrafiłem trzymać się od Camryn z daleka, gdy znajdowała się tuż obok. Już nie, choć postępowalem wbrew zdrowemu rozsądkowi. Igrałem z ogniem i wiedziałem to. Miałem świadomość, że najpewniej stracę tę dziewczynę, gdy tylko pozna prawdę.



## Rozdział 8

### Camryn

W poniedziałek rano szukałam w szafie czegoś cieplejszego po tym, jak obudził mnie deszcz bębniący o parapet. Nie było nawet śladu po wczorajszym słońcu. Gdy w końcu dokopałam się do grubszych bluz, nadziałam się też na nowe, nieodpakowane pointy. Wyjęłam je z folii i przyjrzałam się gwiazdce na podeszwie. Kiedyś myślałam, że wytańczę sobie w nich drogę do prestiżowej szkoły baletowej w Nowym Jorku, ale los miał wobec mnie inne plany.

Wrzuciłam je z powrotem na dno szafy i zesłam na dół, gdzie Elliot już pochłaniał śniadanie. Na mnie czekała porcja owsianki, a obok niej czarna kawa.

– Usiądź na spokojnie i zjedz – poleciła mama, wchodząc do kuchni. – Ostatnio jesz śniadanie prawie w progu.

Przyjrzała mi się badawczo, jakby spodziewała się jakiejś reakcji, ale tylko wzruszyłam ramionami. Moja sobotnia niedyspozycja musiała chyba wzbudzić u mamy podejrzenia, a tata pewnie powiedział jej o tym, że odmówił mi kolejnej recepty na vicodin. Wyglądało na to, że oficjalnie jestem na cenzurowanym.

Wciąż lało, gdy Julian zgarnął mnie sprzed domu. Tym razem Riley zajął moje zwyczajowe miejsce obok kierowcy, na co tylko zgromiłam go wzrokiem. Dopiero wrócił, a już mnie zdetronizował do tylnej kanapy.

– W porządku, Heart? – zapytał Julian, zerkając na mnie we wstecznym lusterku.

– Rany, ty też? – burknęłam i opatuliłam się jeszcze bardziej ciepłą bluzą. Zrobiło się paskudnie zimno przez ten deszcz. – Nic mi nie jest, jedźmy już.

Przez noc napadało tyle, że studzienki nie nadały, a ulicami płynął wartki potok. Parking pod szkołą był jedną wielką kałużą, więc chłupotało mi w butach już po kilku krokach. Skrzywiłam się. Ten dzień nie zapowiadał się zbyt dobrze, choć ledwie się zaczął.

W szafce znalazłam jeszcze parę starych, znoszonych trampek. Od razu zrobiło mi się cieplej, gdy zmieniłam buty. Jednak z włosów nadal skapywała mi woda, a bluzę można było wyźymać. Zdjęłam ją, bo nie spełniała już swojego zadania.

– Trzymaj. – Stojący obok mnie Riley wyciągnął w moją stronę swoją. Suchą i ciepłą, z logiem Minnesota Wild. Sam też był przemoczony. Gdy ściągnął mokrą dżinsową kurtkę, został tylko w koszulce z krótkim rękawem.

– Nie trzeba, zaraz robi mi się cieplej – zaprotestowałam.

– Cam, prawie szczękasz zębami, więc nie wciskaj mi tu kitu. Zakładaj bluzę, zanim sam cię w nią zapakuję, ale zrobimy przy okazji scenę.

Widziałam po jego wzroku, że nie ściemniał, więc żeby oszczędzić sobie wstydu, wciągnęłam przez głowę ciuch. Od razu zrobiło mi się przyjemnie ciepło. Na dodatek bluza pachniała jak Riley i musiałam przyznać, że tego akurat nie przewidziałam. Nie miałam pojęcia, jak, do cholery, skupię się dziś na czymkolwiek, gdy cały czas będzie mnie otaczał jego zapach. Nagle poczułam, jak moje policzki stają się

gorące. Musiałam zrobić się czerwona jak burak, ale Riley nie dał po sobie poznać, że to zauważył.

– Chodź, Skrzacie, bo się spóźnimy – powiedział jak gdyby nigdy nic.

W odpowiedzi posłałam mu mordercze spojrzenie i ruszyliśmy ramię w ramię w stronę klasy. Zamarłam, gdy dwie ławki przede mną zobaczyłam... Yara Hill. Obróciłam się do Juliana, a ten bezgłośnie szepnął „przepraszam”.

– Czemu nic o tym nie wiem? – syknęłam. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, choć dopiero co miałam krwiste rumieńce.

– Nie wiedziałem jak, przepraszam... – Po jego głosie poznałam, że mówił szczerze. – Rodzice niczego mi nie powiedzieli. Tata po prostu odebrał ją wczoraj z lotniska, a mama oznajmiła dzisiaj rano, że Yara wraca do naszej szkoły i zabrała ją ze sobą wcześniej.

Yara nie tylko była siostrą Juliana. Byli bliźniętami, ale różnili się od siebie jak ogień i woda. Ciemne loki upięła dziś w ciasnego koka, przez co wyglądała, jakby chwilę temu wyszła z sali treningowej. Jej makijaż prezentował się tak nieskazitelnie, że dzięki niemu nawet w zwykłym luźnym swetrze i džinsach wyglądała jak z żurnala. Spojrzała na mnie, ale nawet nie drgnęła jej powieka.

Odrzuciłam mokre włosy na plecy i zajęłam miejsce przed Rileyem. Po chwili zaczęłam nerwowo podrygiwać nogą. Yara nie wróciłaby do Harlow, gdyby nie wydarzyło się coś poważnego. W Nowym Jorku miała stypendium w szkole, która niemal gwarantowała jej karierę w najlepszych zespołach baletowych.

Przez całe zajęcia starałam się skupić na tym, co opowiadał nam pan Brunner, jednak na koniec zorientowałam się, że nie pamiętam większości lekcji, a moje notatki składają się z kilku pojedynczych zdań. Na szczęście nauczyciel darzył mnie sympatią, więc liczyłam na to, że przy następnej powtórcie o nic mnie nie zapyta.

– Naprawdę nic nie wiesz? – dopytywałam Juliana, kiedy przemieszczaliśmy się z klasy do klasy.

– Nic... – westchnął. – Yara milczy jak zaklęta, odkąd wczoraj przyjechała. Próbowałam ją podpytać, co dalej ze szkołą w Nowym Jorku, ale stwierdziła tylko, że to nie mój interes. – Wzruszył ramionami.

– A twoi rodzice? – zagadnął Riley.

– Mama nawet się nie zająknęła, choć ma minę, jakby zjadła cytrynę, a tata jest wściekły. Nawet razem z tym stypendium na utrzymanie Yary w Nowym Jorku i letni obóz w Europie poszła furmanka kasy.

Przełknęłam gorycz w ustach. Yara odebrała mi moją szansę, a teraz ją porzuciła? Tak po prostu? Od wypadku minęły długie miesiące, zanim dotarło do mnie, co się naprawdę stało. Rywalizowałyśmy o główną rolę w balecie, która miała być furtką do stypendium dla którejś z nas – i ja ją zdobyłam. Byłam wtedy już pewna swego – do dnia próby generalnej, kiedy to podczas *pas de deux* Aiden niefortunnie wylądował i upadł na moją nogę. Straciłam wtedy nie tylko główną rolę czy stypendium. Straciłam przede wszystkim przyszłość, o której marzyłam, a która przypadła w udziale Yarze.

Literatura szczęśliwie okazała się jedynym przedmiotem, który miałam z Yara. Na przemian spędzałam więc czas z Rileyem i Sloane. Wyczuli moją nagłą zmianę nastroju i starali się mnie rozweselić – Riley dokuczając mi żartobliwie, za co rugałam go raz za razem, a Sloane jedzeniem. Oddała mi swoje batoniki z karmelem na czarną godzinę. Byłam im za to wdzięczna. Julian natomiast trzymał się na uboczu i był dziwnie cichy, zupełnie jak nie on. Nawet Sloane odpowiadał półsłówkami, odpuszczając sobie niewinny flirt, tak bardzo typowy w ich relacji. W końcu nadeszła pora lunchu, a my mieliśmy już nieco lepsze nastroje, gdyż większość dnia była za nami.

– Czy Yara nie chodziła czasem do tej samej szkoły? – zapytała mnie nagle Sloane, gdy szłyśmy na stołówkę. Gdy podała mi telefon z otwartym artykułem, poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy, już po raz drugi tego dnia.

Aiden Fisher, chłopak Yary, rzucił się z dachu wieżowca w Nowym Jorku w nocy z soboty na niedzielę.

\*\*\*

*Dwa lata wcześniej...*

*Zdjęłam pointy i oparłam się ciężko o zimną ścianę. Z Aidenem ćwiczyliśmy pas de deux tak długo, że aż zaczęły drżeć mi mięśnie. Naciągnęłam na bydki getry wydziergane przez babcię i założyłam adidas na zmęczone stopy. Miękką podeszwa czyniła cuda. Powinnam się przebrać, ale byłam wyczerpana. Narzuciłam*

więc na trykot tylko ciepłą bluzę.

– Jutro o tej samej porze? – zapytałam na odchodne mojego partnera.

Wydawał się jakiś dziwnie rozkojarzony. Zupełnie jak nie on. Robił dziś wiele błędów, co wyjątkowo mnie martwiło, bo zostały tylko dwa dni do próby generalnej.

– Tak, jasne – odpowiedział, ale nie patrzył na mnie. Jego wzrok utkwiony był w końcu korytarza, gdzie nagle znikąd pojawiła się Yara. Nawet nie wiedziałam, że tu jest. Trening oficjalnie skończył się wiele godzin temu.

– Cam, idziemy z Aidenem na kolację z moją mamą, może masz ochotę do nas dołączyć? – zaproponowała, jednak wcale nie zabrzmiało to jak zaproszenie. Nadal była zła o to, że to ja zdobyłam główną rolę. Nie zamierzałam się jednak kajać z tego powodu. Ciężko na to pracowałam.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam, siląc się przy tym na uśmiech. – Umówiłam się z Rileyem i Elliotem na maraton filmowy.

Yara nieznacznie się skrzywiła. Od jakiegoś czasu nie przepadała za Rileyem. Stała się wręcz wobec niego wroga. Twierdziła, że zbyt się angażuję w tę relację, a to odciąga mnie od tańca. Sama jednak nie była lepsza, odkąd spotykała się z Aidenem. Puszczalam więc jej uwagi mimo uszu. Miałam bowiem ostatnio więcej wsparcia właśnie w Rileyu i Julianie niż w Yarze, choć do niedawna uważałam ją za najlepszą przyjaciółkę.

– No cóż, baw się dobrze – rzuciła, obdarzywszy mnie oceniającym spojrzeniem.

– Wy również. – Uniosłam rękę w geście pożegnania i ruszyłam w stronę wyjścia.

– Cam! – zawołała za mną nagle.

Spojrzałam przez ramię i napotkałam jej wzrok.

– Tak?

– Popracuj jeszcze nad sekwencją fouetté. Łądujesz pokracznie.

Nie łądowałam pokracznie. Po prostu chciała mi dopiec. Miałam ochotę jej powiedzieć, że może się wypchać.

– Dzięki za radę – odparłam zamiast tego, po czym, nie oglądając się już za siebie, poszłam w swoją stronę.

Czułam pod powiekami łzy wściekłości. Nie rozplakałam się jednak. Nie mogłam dać Yarze tej satysfakcji. Wzięłam więc kilka głębokich oddechów i odnalazłam wzrokiem samochód taty.

Zamierzałam zatańczyć tę cholerną sekwencję fouetté perfekcyjnie, z uśmiechem na twarzy.





## Rozdział 10

### Camryn

Z Aidenem Fisherem przetańczyłam wiele godzin. Byliśmy najlepsi i nie przemawia tu przeze mnie pycha. Naprawdę tak to wyglądało. Przynajmniej do czasu. Tego feralnego dnia również występowaliśmy razem. Trwała próba generalna, a my jako Odylia i Zygryd tańczyliśmy nasze widowiskowe *pas de deux*. Byłam wniebowzięta, gdy udało mi się perfekcyjnie wykonać sekwencję *fouetté*, o którą najbardziej się martwiłam od momentu, kiedy otrzymałam rolę nie tylko białego, ale i czarnego łabędzia. Poczułam dłonie Aiden na swojej talii. Uniósł mnie i... jedyne, co z tego zapamiętałam, to głośny trzask i mój wrzask bólu... Aiden się potknął, upuścił mnie, a potem upadł na moją nogę, a ta wygięła się pod nienaturalnym kątem. Później nie pamiętałam ani wrzasków, choć ponoć wrzeszczałam nieustannie, ani płaczu. Ból był tak dojmujący, że huczało mi w uszach, a przed oczami robiło się ciemno.

Dopiero w szpitalu, już po operacji, dotarło do mnie, co się wydarzyło. Lekarze, w tym mój tata, zrobili wszystko, co mogli, żebym ponownie chodziła. Ale nie mogli obiecać, że kiedyś jeszcze zatańczę. Jeśli nawet tata nie mógł tego zrobić, to wiedziałam, że musi być bardzo źle. I było. Po pół roku rehabilitacji miałam już świadomość, że do baletu prawdopodobnie nigdy nie wrócę. W tym czasie Yara nie tylko zatańczyła moją rolę w *Jeziorko łabędzim*, ale zdobyła też stypendium w prestiżowym nowojorskim liceum, którego przedstawiciele byli obecni na premierze. A to ja planowałam ich zachwycić. Mogli wybrać tylko dwie osoby, więc padło na Yarę i Aiden. Powtarzałam sobie jednak, że tak jest lepiej, gdyż oboje są dzięki temu daleko od Harlow. Wystarczająco daleko, by nie przypominali mi samą swoją obecnością o utraconych marzeniach. Pozostałe koleżanki i koledzy ze szkoły baletowej też prędko stracili mną zainteresowanie. Właściwie już w momencie, gdy było wiadomo, że nie wrócę do zespołu. Moją jedyną ostoją pozostał wtedy Julian. Teraz również mnie nie zawiódł.

– Porywam was – oznajmił, wsiadając za kółko swojego priusa, którego nazywałam żartobliwie dziadkowitzem, gdy chciałam dokuczyć przyjacielowi.

– Jak to „nas”? – zapytał Riley i wychylił się z tylnej kanapy. – Stary, ja muszę wziąć psa na spacer.

– To już załatwione. Elliot wyprowadzi Atlasa, rozmawiał już z twoją mamą.

Ry westchnął głęboko, po czym opadł na siedzenie bez słowa. Myślałam, że pojedziemy do April na porcję szarlotki, jednak minęliśmy wszystkie restauracje w mieście, a Julian wciąż nie zwalniał. Zmierzał w kierunku Duluth. Wtedy już wiedziałam, gdzie jedziemy.

W centrum Duluth znajdowała się niewielka herbaciarnia, którą odkryliśmy przypadkiem, gdy wybraliśmy się na jedną z naszych pierwszych samodzielnych wypraw samochodem. Lokal prowadziła, jak się później okazało, kuzynka Niamh, naszej zwariowanej sąsiadki.

Myrna samodzielnie komponowała mieszanki herbat, z których większość miała mieć właściwości lecznicze, przez co średnia wieku klientów przekraczała sześćdziesiątkę. Do tego własnoręcznie przygotowywała desery. Oprócz typowo amerykańskich klasyków serwowała też ciasta, które widziałam tylko tutaj lub w domu Niamh. Na przykurzonych dębowych półkach herbaciarni piętrzyły się przeróżne

książki – po ich lekturze przeciętny chrześcijanin spowiadałby się całymi godzinami – a w powietrzu wyczuwalny był słodki, ciężki zapach kadzideł, które również tworzyła sama, obwiązując zioła cienkim sznurkiem.

– Ajajaj, złotko, masz taką minę, jakby dziś mogło ci pomóc jedynie dobre whisky, ale to nielegalne w twoim wieku, więc naszykuję ci twoją ulubioną herbatę i kawałek pomarańczowego sufletu, co? – zaproponowała Myrna, uśmiechając się do mnie serdecznie. Jej rude włosy były już niemal zupełnie siwe, ale miała w sobie ikrę godną kogoś o połowę młodszego.

– Dziękuję – odpowiedziałam i położyłam na ladzie dziesięć dolarów, które powinny pokryć też dolewkę ziołowego naparu. – Jesteś pewna, że nie możesz mi jakoś przemyścić whisky? – zapytałam półszepem.

– Absolutnie! Niamh wyklęłaby mnie po stokroć za sprowadzanie was na złą drogę, ale wiesz co... – nachyliła się do mnie – w suflecie jest trochę whisky.

Roześmiałam się. Szczerze uwielbiałam tę kobietę.

Chłopaki złożyły swoje zamówienia i usiedliśmy przy stoliku w kącie. Riley rozglądał się wokół z zaciekawieniem. To zdecydowanie nie było miejsce, które zwykle odwiedzały dzieciaki w naszym wieku. Może właśnie dlatego tak je sobie upodobaliśmy z Julianem?

– Ona miała na myśli wdowę O’Sullivan, gdy wspomniała o Niamh? – zapytał Ry i kiwnął głową w stronę krzątającej się za barem Myrny.

– Dokładnie tę samą – odpowiedział Julian. – Niamh się wygadała, gdy opowiedzieliśmy jej o tym miejscu. Parę razy przyjechaliśmy tu z nią, była wniebowzięta!

Kelnerka przyniosła na dużej tacy nasze zamówienia. Musiała być niewiele starsza od nas, a rude włosy i lekko zadarty nos sugerowały, że mogła być spokrewniona z Myrną. Z wprawą, nie wylewając choćby kropelki, postawiła nasze napary na stoliku, a obok trzy pomarańczowe suflety. Spojrzała również na Riley’a spod rzęs, ale on zupełnie tego nie zauważył, zainteresowany zawartością swojej filiżanki. Poczułam ukłucie irracjonalnej zazdrości, ale i satysfakcję, że nawet nie zwrócił uwagi na dziewczynę, która wyraźnie była nim zainteresowana.

– Która herbata jest twoją ulubioną? – zapytał z zainteresowaniem Ry, przyglądając się drobnym, fioletowym płatkom unoszącym się na powierzchni mojego naparu.

– Ballerina – odpowiedziałam i wskazałam tablicę nad barem. Ballerina była niemal na samym dole jako jedna z nowszych mieszanek. Miała w składzie między innymi bławatki, brzoskwinie oraz klitorię, która nadawała naparowi niebieskawej barwy. – Myrna stworzyła ją, gdy pierwszy raz tu przyszłam.

Zapytała mnie wtedy, czy tańczę, bo poruszam się jak baletnica. Już nie tańczyłam, ale zrobiło mi się ciepło na sercu, gdy tak powiedziała. W tamtym momencie po raz pierwszy na myśl o balecie nie ogarnęła mnie rozpacz i poczułam, jak się prostuję. Tak samo jak teraz, kiedy Riley przyglądał mi się intensywnie. Potem znów spojrzał w kierunku baru.

– Nie widzę na tablicy „rozwydrzonego hokeisty”, więc co pija Julian?

Chłopak, słysząc to, tylko przewrócił oczami. Już wiedział, co zaraz padnie z moich ust.

– Napar Młodych Bogów, ale spokojnie, to nie na cześć Juliana – odpowiedziałam Rileyowi. – Myrna stworzyła go dla swojego męża. Grał w futbol.

Ry parsknął śmiechem tak gwałtownie, że strużka herbaty popłynęła mu po brodzie. Otarł ją wierzchem dłoni.

– Musiała go albo bardzo kochać, albo kochała się z niego nabijać.

– I jedno, i drugie, drogi chłopcze – wtrąciła Myrna, stając za Rileyem. Zdziwiony otworzył szeroko oczy.

Teraz to ja się roześmiałam. Wymieniłam spojrzenia z Julianem i już wiedziałam, że osiągnął swój cel. Odciągnął moje myśli od Aidena i Yary choć na chwilę.

Nic jednak nie wydawało się takie samo jak dwa lata temu. Aidena już nie było, a Yara... Yara wróciła.

\*\*\*

Gdy z powrotem znaleźliśmy się w Harlow, dostrzegłam, że restauracja April, ciotki Aidena, jest zamknięta, choć normalnie działała do późnego wieczoru. Za to kilka ulic dalej u Fisherów gęsto paliły się

światła. Wszyscy troje zwróciliśmy na to uwagę, ale żadne z nas się nie odezwało.

Z Rileyem wysiedliśmy z auta Juliana na końcu Springvale, przed domem Niamh, i usiedliśmy na stopniach tarasu od strony ogrodu, żeby mieć oko na Atlasa. Zaczynało zmierzchać, a ja wciąż miałam na sobie ciepłą bluzę Riley'a. Owinęłam się nią szczelniej i podkuliłam nogi. Wiatr rozwiął mi włosy. Wciąż pachniały deszczem.

– Jak dowiedziałeś się o romansie taty? – zapytałam nagle, choć zastanawiałam się nad tym już od jakiegoś czasu.

Westchnął ciężko, po czym machinalnie zatopił palce w sierści Atlasa.

– Wróciłem wcześniej ze szkoły i podsłuchiłem, jak rozmawiał przez telefon na głośniku – odpowiedział, a jego głos wydawał się wyprany z wszelkich emocji, jakby Ry opowiadał tę historię już milion razy. – Mama wiedziała wcześniej, ale nie chciała mi nic mówić.

– Przepraszam, Ry. – Ścisnęłam jego dłoń spoczywającą między nami. – Pewnie nie chcesz o tym opowiadać.

Spojrzał na mnie swoimi smutnymi niebieskimi oczami. Riley Reed zawsze był moją opoką – od dnia, w którym go poznałam. Był silniejszy niż ja. Jednak tego wieczoru dostrzegłam także jego słabość.

– To nic, Cammie – odrzekł, splatając nasze palce. – To nic.

Zadarł głowę wysoko i zanim powiodłam spojrzeniem w tym samym kierunku, co on, dostrzegłam jeszcze łzy spływające po jego policzkach. Na ciemniejącym niebie pojawiały się właśnie pierwsze gwiazdy.

– Riley? – odezwałam się po dłuższej chwili. W ogrodzie zapanował już półmrok. Atlas cicho chrapał przy naszych nogach.

– Tak?

Spojrzałam na jego twarz skąpaną w nikłym świetle dochodzącym z ulicy. Ślady łez już wyschły, a niebieskie oczy znów nabrały blasku.

– Naprawdę się cieszę, że wróciłeś.



## Rozdział 11

### Riley

Bycie obok Camryn było tak banalnie proste. Przez te dwa lata tak wiele się zmieniło, ale nie to. Nie to, jak się przy niej czułem. Dlatego z takim trudem przyszło mi zerwanie z nią kontaktu. Nie miałem jednak wyjścia i im dłużej o tym teraz myślałem, tym bardziej się bałem, że Cam nie zrozumie. Że prawda przesłoni jej powód, dla którego zrobiłem to, co zrobiłem.

Wtedy... nie odnajdywałem się we własnych emocjach, w tym, co czułem. Nie potrafiłem znaleźć słów, które zmusiłyby ją do pozostania przy mnie. Nie umiałem też pozwolić jej odejść. Już wtedy Camryn była moim wszystkim. Odsunięcie się od niej okazało się najtrudniejszym wyzwaniem, przed jakim kiedykolwiek stanąłem, a wyrzuty sumienia gryzły mnie po dziś dzień.

Po tym jak odprowadziłem Camryn, długo zwlekałem z powrotem do domu. Wiedziałem, że mama będzie chciała ze mną porozmawiać i nie spieszyło mi się do tego. Zapyta, jak się czuję, jednak ja czułem głównie wstyd na myśl o uldze, która mnie zalała, choć mieszała się też z żalem.

Normalnie dystans między naszymi domami powinienem pokonać w kwadrans, ale tym razem droga zajęła mi prawie czterdzieści minut. Trochę się łudziłem, że mama może pójdzie spać, zanim wrócę, ale nigdy by tego nie zrobiła. Za bardzo się o mnie martwiła.

W salonie wciąż paliło się światło. Atlas spał na dywanie, a ona siedziała na kanapie. W tle cicho grał telewizor, ale nie byłem pewny, czy rzeczywiście coś oglądała.

– Hej – odezwałem się pierwszy i usiadłem obok niej. Atlas nawet nie drgnął. Taki z niego pies obrońca.

– Hej, Ry. Pewnie słyszałeś o...

– Słyszałem – przerwałem jej. – Yara wróciła. Przyszła dzisiaj do szkoły.

– Och... – wydusiła. – Rozmawiałeś z nią?

Pokręciłem głową. Nie sądziłem, żebyśmy mieli o czym rozmawiać. Nie potrafiłem jej współczuć. Żał mi było jedynie Aiden, który dał się zmanipulować swojej dziewczynie. Yara zrobiłaby wszystko, by spełnić swoje chore ambicje. Natomiast jej matka zrobiłaby jeszcze więcej, by uszło jej to na sucho. Nawet teraz, gdy Aiden popełnił samobójstwo, z pewnością wciąż najbardziej bały się o własne tyłki.

– Co miałbym jej powiedzieć? – zapytałem lodowatym tonem. – Że to jej wina?

– Riley – upomniała mnie mama.

– Ale tak jest! – zaprotestowałem. – On chciał się przyznać, powiedzieć prawdę, której ja obiecałem nie zdradzać dla naszego dobra.

– Chcesz powiedzieć Camryn, co się wydarzyło. Nie mylę się?

Na twarzy mamy pojawił się strach, choć realne zagrożenie już minęło. Sprawowała nade mną pełną opiekę, a do moich osiemnastych urodzin zostało nie tak dużo miesięcy. Byliśmy już bezpieczni.

– Ja muszę to zrobić, mam... – westchnąłem. – Inaczej znów ją stracę. Tym razem na zawsze.

## Camryn

Następnego dnia szkoła huczała od plotek. Staralam się je ignorować. Nie chciałam rozdrapywać dawnych ran, a jednocześnie nie potrafiłam pozbyć się żalu. Kiedyś wydawało mi się, że Yara i Aiden są moimi przyjaciółmi, tak jak Julian i Riley czy teraz także Sloane. Dopiero po czasie dotarło do mnie, że Yara przyjaźniła się ze mną tak długo, jak długo miała z tego jakąś korzyść, a Aiden... Aiden był w niej zadurzony po uszy.

Wielu uczniów postanowiło ubrać się dziś na czarno. Wszyscy w mieście znali Fisherów, głównie dzięki restauracji prowadzonej przez ciotkę Aideny – April. Yara nie pojawiła się dziś na apelu. Przyszła dopiero na pierwszą lekcję i zajęła miejsce dwie ławki ode mnie, zupełnie mnie przy tym ignorując. Odpłacałam się jej tym samym.

Na lunchu usiadła z kilkoma dziewczynami z naszej szkoły baletowej. Część z nich już nie tańczyła i skupiała się na zbieraniu punktów na studia. Widocznie uświadomiły sobie, że nie tak łatwo zająć daleko w balecie. Byłam odwrócona do nich plecami, ale Sloane co chwila zerkała na nie ponad moim ramieniem, marszcząc przy tym piegowaty nos. Julian i Riley nie zwracali na nas uwagi, pochłonięci dyskusją na temat nadchodzącego meczu towarzyskiego.

– Żle im z oczu patrzy – stwierdziła w końcu przyjaciółka, wbiwszy z impetem widelec w pomidorka koktajlowego w sałatce.

Sloane na zmianę albo była na diecie i żywiła się głównie sałatą, albo jadła wszystko. Trend ten zmieniał się średnio raz na dwa tygodnie, więc nie przywiązywałam już do tego wagi. Widząc jednak, jak łakomie przypatruje się mojemu daniu, zrozumiałam, że zbyt długo nie wytrwa na tej swojej diecie.

– Sloane, to nie są diabły wcielone – odparłam i wsadziłam do ust porcję makaronu. – Potrafią być nawet całkiem... fajne – dodałam, gdy już przełknęłam, ale bez większego przekonania. Kiedyś byłam jedną z nich. Czułam się wtedy jak członkini tajnego klubu. Nikt bowiem nie rozumiał tak dobrze trudów tańca jak koleżanki z zespołu. Razem obszywałyśmy nowe pointy i dzieliłyśmy się trikami, w jaki sposób przedłużyć ich żywotność. Jedna para kosztowała około stu dolarów, więc łapałyśmy się każdego sposobu, który odwlekałby zakup kolejnej.

– Fajne? – prychnęła. – Cam, chodzimy razem do szkoły od dwóch lat, te laski nawet nie mówią ci już „cześć”, a Yarę przyjęły z otwartymi ramionami.

– Yara... – westchnęłam. – Zawsze rywalizowałyśmy. A przynajmniej ona ze mną. Gdy zdobyłam rolę zarówno Odette, jak i Odylii, wściekła się. Liczyła, że otrzyma chociaż jedną z nich, ale *madame* stwierdziła, że nie jest jeszcze gotowa. Ostatecznie jednak dostała to, czego chciała. – Wzruszyłam ramionami.

– Rany, to brzmi...

– Smutno? – odpowiedziałam. Obejrzałam się przez ramię i przelotnie uchwyciłam ciemne spojrzenie Yary.

– Tragicznie, Cammie. Przyjaźniłyście się. Powinnyście się wspierać w sukcesach.

Pokręciłam głową. Było mi żal dawnej Camryn, która tak bardzo chciała wpasować się w środowisko młodych, ambitnych baletnic. Robiłam wszystko, by się im przypodobać, często zatracając przy tym samą siebie. Teraz wiedziałam, że nie było warto.

– Z Yarą to nigdy tak nie działało – wyjaśniłam. – Po czasie myślę, że nawet Aideny wykorzystywała. Jego słabość do niej. Dziewczyny takie jak ona nie odpuszczają, dopóki nie dostaną tego, czego pragną.

Sloane miała coś na to odpowiedzieć, ale nagle przerwał nam Julian.

– Proponuję zakład! – oznajmił.

– Nie zakładałam się z tobą, Hill – zaprotestowała stanowczo. – Gdy ostatnim razem to zrobiłam, musiałam wyczyścić twoją śmierdzącą szafkę. Nie dam się na to nabrać drugi raz.

– Mówiłem, że się nie zgodzą – powiedział Riley, wzruszając ramionami.

– Hej, a ja? – Machnęłam mu ręką przed oczami. – Ja się chętnie z tobą założę, Ry.

Riley uśmiechnął się przebiegle, oparł obie dłonie na stoliku i wsparł się na nim. Rękawy koszulki opięły się na jego lekko umięśnionych ramionach. Na ustach błąkał mu się uśmiech, a w niebieskich oczach pojawiły się figlarne ogniki.

– Jeśli wygramy mecz towarzyski... – zaczął, po czym wyszczerzył się tak szeroko, że już wiedziałam, że mam kłopoty – będziesz nosić bluzę z moim nazwiskiem na każdym meczu, przez cały sezon.

To akurat wcale nie brzmiało tak źle. Ukradkiem wymieniłam spojrzenia z Sloane. Teatralnie przewróciła oczami, przez co ledwo powstrzymałam wybuch śmiechu.

– A jeśli przegracie? – zapytałam, unosząc wyzywająco brwi.

– Codziennie rano będę ci przynosił kawę. Do ostatniego meczu.

– W weekendy też?

Riley zrobił krzywą minę, ale się nie wycofał. W przeciwieństwie do mnie nie należał do rannych ptaszków. Jeśli tylko jego mama nie pracowała, to ona wyprowadzała rano Atlasa.

– W weekendy też – zgodził się.

Nie byłam pewna, czy bardziej chcę wygrać, czy przegrać, ale do tego mogłam się przyznać wyłącznie przed samą sobą.



## Rozdział 12

### Camryn

W szafie miałam tylko jedną czarną sukienkę. Kupiłam ją ponad rok temu, na pogrzeb babci ze strony mamy. Nie sądziłam, że kolejny raz założę ją tak szybko.

Długo się wahałam, czy w ogóle powinnam iść na pogrzeb Aiden, ale czułam, że po latach wspólnego tańczenia jestem mu to winna. Pomimo tego wszystkiego, co się potem wydarzyło, był moim przyjacielem. Ostatnie dwa lata nie mogły tego zmienić.

– Jesteś gotowa, Cam? – zapytała mama, zaglądając do mojego pokoju.

Blond włosy przeplatane siwymi pasmami spięła z tej okazji w eleganckiego koka. Na co dzień, podobnie jak ja, raczej nie nosiła czarnego koloru. Założyła więc sukienkę, którą miała na sobie także w dniu pogrzebu swojej matki. Na jej szczupłej szyi lśnił sznur pereł.

– Tak, możemy już iść – odparłam, zerknąwszy ostatni raz w lustro.

Elliot i tata czekali na nas przy samochodzie, obaj w ciemnych garniturach. Gdy tylko wsiedliśmy do środka, brat ścisnął przelotnie moją dłoń.

– Żałowałabyś potem, gdybyś się z nim nie pożegnała – powiedział do mnie tak cicho, że rodzice z pewnością nas nie usłyszeli.

– Wiem – wydusiłam tylko. Starłam się zignorować nieprzyjemny ucisk w gardle. Stresowałam się. Jak mogłabym nie? Nie wiedziałam nawet, czy będę tam mile widziana. Nie po wszystkim, co się między nami wydarzyło.

Rodzice Aiden, poprosili o nieskładanie im kondolencji podczas pogrzebu. Gdy zobaczyłam jego mamę pod kościołem, zrozumiałam dlaczego. Pan Fisher prawie niósł ją po schodach, a ona nie przestawała płakać. Odwróciłam wzrok. Śmierć jedyne go syna musiała być dla nich szokiem. Do mnie samej jeszcze nie do końca docierało to, co się wydarzyło. Aiden, którego znałam... Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mogło go popchnąć do takiego kroku. Stypendium w szkole w Nowym Jorku było dla niego spełnieniem marzeń, a jednak okazało się niewystarczające.

Powstrzymałam rodziców przed zajęciem miejsc bliżej ołtarza. Usiedliśmy więc w jednej z ostatnich ławek w bocznej nawie. Nadal jednak widziałam trumnę z jasnego drewna, która tonęła w morzu kwiatów. Obok stało zdjęcie Aiden. Zostało zrobione jeszcze tutaj, w Harlow, na schodach szkoły baletowej w dniu, w którym dostaliśmy główne role w *Jeziorko labędzim*. Aiden uśmiechał się szeroko i mrużąc lekko oczy, patrzył śmiało w kamerę. Takiego go pamiętałam.

Byłam tak skupiona na fotografii dawnego przyjaciela, że nie zauważyłam zmierzającej ku mnie Yary – dopóki nie stanęła naprzeciw mnie. Na jej twarzy nie dostrzegłam łez ani smutku, tylko wściekłość.

– Co ty tu robisz? – wycedziła. Najwidoczniej obecność mojej rodziny ani trochę jej nie peszyła.

– Żegnam dawnego przyjaciela – odpowiedziałam, prostując się. Mogłam jej schodzić z drogi wcześniej, później... Ale nie teraz. Elliot miał rację. Żałowałabym, gdybym nie pożegnała się z Aidenem. I nie zamierzałam teraz wycofywać się rakiem tylko dlatego, że Yara nie chciała mnie tu widzieć.

– Nie rozmawiałaś z nim od dwóch lat – prychnęła. – Co ty w ogóle o nim wiesz?

Przed oczami nie miałam już jednak twarzy Yary wykrzywionej w wściekłości. Widziałam za to Aiden, który śmiał się z moich żartów, nawet gdy nie były zbyt śmieszne. Który odprowadzał mnie do domu w największą ulewę, żebym nie szła sama. Który zawsze podawał mi rękę, gdy upadłam.

– Widać więcej niż ty, bo ostatnim, czego chciałby Aiden, to kłótnie na jego własnym pogrzebie – wycedziłam.

Mama położyła mi dłoń na ramieniu, zanim zdążyłam dodać coś więcej.

– Dość, dziewczęta – przerwała naszą wymianę zdań stanowczym głosem. – Yara, dołącz proszę do swoich rodziców. To nie jest dobry moment na tego typu rozmowy.

Najpewniej dziewczyna w innej sytuacji szłaby w zaparte, ale szanowała moją mamę na tyle, by się wycofać i zrobić dokładnie to, o co została poproszona. Chwilę potem rozbrzmiał głos księdza.

– Zebraliśmy się tutaj, by pożegnać Aiden Fishera. Syna, wnuka, brata, przyjaciela...

Przy ostatnim słowie poczułam gorące łzy spływające po policzkach. Pod ołtarzem stała jego trumna, jego zdjęcie, ale nie docierało do mnie, że naprawdę umarł. Do teraz. Do tej chwili.

*Czy mogłam zrobić coś, żebym nie musiała się teraz z tobą żegnać, Aiden?*

To jedno zdanie tłukło mi się po głowie przez całą mszę, a także po niej, gdy po pochówku wracaliśmy już do domu. W samochodzie wyjęłam telefon i odszukałam ostatnią rozmowę z Aidenem. I odnalazłam też wiadomość, której nie widziałam wcześniej. Dostałam ją w moje urodziny, pierwszego sierpnia. Widocznie musiała się zagubić wśród życzeń.

*Aiden: Wszystkiego najlepszego, Cam! Musimy się spotkać, gdy wpadnę do domu na Święto Dziękczynienia. Chciałbym ci o czymś powiedzieć.*

Był koniec września. Do Dziękczynienia zostały dwa miesiące, a ja już nigdy nie miałam się dowiedzieć, o czym chciał porozmawiać ze mną Aiden.





## Rozdział 13

### Camryn

Przez resztę tygodnia chłopaki miały treningi dzień w dzień, więc Riley'a widywałam głównie wieczorami, gdy wyczerpany wyprowadzał Atlasa na spacer. W drodze powrotnej siadał ze mną na trochę na tarasie, ale zwykle ledwo trzymał oczy otwarte. Nie rozmawialiśmy więc zbyt wiele. Na ogół opowiadałam mu o książce, którą właśnie czytałam, a on słuchał mnie z przymkniętymi powiekami.

– Czekaj, jeszcze raz, to ten trup nie był jednak trupem? – zapytał, nie otwierając oczu, gdy spędzaliśmy razem czas w piątkowy wieczór.

Westchnęłam cicho. Ry wyglądał na naprawdę zmęczonego po całym tygodniu intensywnych treningów i widziałam, że już z trudem rejestrował, co do niego mówiłam.

– No nie był – odpowiedziałam i odłożyłam na bok książkę. – Ry, powinieneś położyć się spać. Jutro wielki dzień, pamiętasz?

Uśmiechnął się sennie.

– Pewnie, że pamiętam. To ostatni mecz, na którym nie będziesz miała mojej bluzy.

Pokręciłam głową. Nawet na wpół przytomny nie odpuszczał sobie tego cholernego zakładu.

– Ja mówię serio, Ry. Jest późno, a powinieneś się wyspać.

Dochodziła jedenasta i światła w okolicznych domach powoli gasły. Siedzieliśmy już tak od dobrych dwóch godzin, a herbata, którą naszykowała nam moja mama, zdążyła niemal całkiem wystygnąć.

– Okej – odpowiedział tylko i zanim się zorientowałam, co zamierza zrobić, położył głowę na moich kolanach.

Roześmiałam się cicho. Nie mogło być mu wygodnie. Ławka, na której siedzieliśmy, była raczej wąska. Przeczesalam palcami miękkie włosy Riley'a i poczułam, jak drgnął lekko pod wpływem mojego dotyku. Serce waliło mi tak mocno, że błagałam w myślach, żeby Ry tego nie usłyszał. I właśnie wtedy... Atlas polizał go po policzku.

Chłopak poderwał się gwałtownie, omal nie spadając przy tym z ławki, a ja parsknęłam śmiechem. Riley wytarł twarz rękawem bluzy i spojrzał z wyrzutem na wilczarza. Ten wciąż siedział w tym samym miejscu i wpatrywał się w swojego właściciela z nieustającym uwielbieniem.

– Wygrałeś, wracamy do domu – powiedział Ry do Atlasa chwyciwszy smycz przewieszoną przez oparcie.

– Ry! – zawołałam za nim, gdy schodził już z tarasu z psem przy boku.

– Tak? – Spojrzał na mnie przez ramię. Światło latarenek odbijało się ciepłym blaskiem w jego oczach.

– W weekendy wstaję zwykle nie później niż o ósmej.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Dobranoc, Skrzacie.

## Riley

Przed każdym meczem jadłem na śniadanie kanapki z żółtym serem i pomidorem – to samo co przed swoim pierwszym zwycięskim spotkaniem. Dlatego nigdy potem nie ryzykowałem przegranej po owsiance. Po owsiance zawsze przegrywałem. Z wiekiem zwiększała się wyłącznie liczba kanapek.

Mama specjalnie wzięła wolne na ten dzień, więc poranek spędziliśmy razem na oglądaniu powtórek sitcomów. Odkąd przeprowadziliśmy się do Harlow, mama dużo pracowała. Sama przeprowadzka trochę nas kosztowała, więc wiedziałem, że chciała podreperować budżet, ale brakowało mi dni takich jak ten.

– Możesz wziąć dzisiaj samochód. Zabiorę się z Heartami – powiedziała nagle, a ja zamrugalem. Mamie było potrzebne auto, żeby dojeżdżać do szpitala, który znajdował się na obrzeżach miasta. Z tego powodu rzadko prowadziłem, choć miałem prawo jazdy, odkąd skończyłem szesnaście lat.

– Na pewno?

– Na pewno – odparła. – Pod warunkiem, że nawet jeśli pojedziesz nim potem na jakąś imprezę, to nie wypijesz nawet kropli alkoholu.

– Mamo... – jęknąłem.

– Też kiedyś byłam młoda, Ry. Ja wiem, że wy macie swoje sposoby, żeby zdobyć alkohol, tak jak my mieliśmy swoje, dlatego proszę cię o odpowiedzialność.

Skinąłem głową. Nie zamierzałem się spierać, tak samo jak nie zamierzałem pić niczego z procentami, gdy miałem prowadzić. Aż tak sobie nie ufałem.

– I daj mi znać, gdzie będziesz. I z kim.

Uśmiechnąłem się. Moich kumpli wkurzała nadopiekuńczość ich mam, ale mnie nie. Mieliśmy tylko siebie i wiedziałem, że musimy grać do jednej bramki. Jeśli wiedza o tym, gdzie jestem i z kim, dawała jej spokój ducha, nie zamierzałem tego przed nią zatajać.

– Dobrze, mamo. Ale wiesz, że najpierw musimy wygrać, żeby była jakaś impreza?

Wzruszyła ramionami.

– Mam dobre przeczucia – powiedziała i puściła do mnie oko.

Na godzinę przed meczem pojechałem na stadion. Stresowałem się. Zwilgotniały mi ręce, gdy zatrzymałem się na pustym jeszcze parkingu. Na zewnątrz wisiał ogromny baner z napisem „Naprzód Wilki z Harlow!” i logo drużyny. Graliśmy dziś z Sokołami z Rochester. Sokoły były w lidze juniorskiej jako jedna z kilku drużyn z Minnesoty. Mogłem przed Cam udawać pewnego siebie, wierzyć w możliwości swoje i kolegów, ale wiedziałem, że to nie będzie łatwy mecz.

Wziąłem dwa głębokie wdechy, zanim wysiadłem z auta i zgarnąłem z tylnego siedzenia sportową torbę. Po drodze sprawdziłem, czy moja szczęśliwa sznurówka wciąż jest na swoim miejscu, przywiązana do paska. Pochodziła z moich pierwszych dziecięcych łyżew. Przez całą drogę do budynku w myślach analizowałem wszystko, o czym mówił nam trener na temat Sokołów. Musiałem przy tym poluzować kołnierzyk koszuli, bo nagle zrobiło mi się duszno.

W szatni było dziwnie cicho, jak nigdy. Przebrałem się w dresy do rozgrzewki i po raz kolejny obejrzałem swoją koszulkę w barwach Wilków z numerem trzynastcie. Za pierwszym razem wybrałem go na przekór, by odczarować pecha związanego z tą liczbą. Potem już ze mną został, ale też w każdej z moich dotychczasowych drużyn nikt nie chciał grać jako trzynastka, więc nie musiałem się zastanawiać nad czymś innym.

– Dobra, chłopaki! – zawołał trener, otwierając drzwi z głośnym trzaskiem. – Wszyscy są?

– Wszyscy są – potwierdził Calen, nasz kapitan.

Chłopak przewyższał wzrostem pozostałych członków drużyny. Mierzył ponad dwa metry, ale mimo rosłej sylwetki na lodzie poruszał się szybko i zwinnie. Jego rodzina od lat była związana ze sportem, więc Calen jeździł na łyżwach, odkąd nauczył się chodzić. Dziwiło mnie, że nie startował do jakiejś ligi juniorskiej, ale jego w pełni zadowolona licealna drużyna i traktował ją tak poważnie, jak tylko się dało.

– No to jazda, do rozgrzewki. Dalej, dalej! – Trener ponaglająco zaklaskał w dłonie. – Ty też, Hill, nie ociągaj się!

Rozgrzewka była tak samo ważna, jeśli nie ważniejsza, jak późniejsza gra na lodowisku. Gdy wskakiwało się na lód, należało być już w pełnej gotowości i od razu pędzić po swoje. Jako młokos często przy tym treningu leserowałem. Obijałem się, a potem zbierałem bęcki, bo za szybko się męczyłem.

Póki było ciepło, tego typu rozgrzewki odbywały się na zewnątrz, bo tam mieliśmy więcej miejsca, nie musieliśmy upychać się w szatni i na korytarzach. Na tym etapie każdy wypracował już swoją rutynę, więc trener nie narzucał nam konkretnych ćwiczeń. Obserwował nas z boku i zerkał jeszcze na swoje schematy taktyki, które analizowaliśmy przez cały zeszły tydzień, aż do znudzenia.

W końcu zawołał wszystkich z powrotem do szatni. Został nam jakiś kwadrans do rozpoczęcia meczu i czułem, jak mocno wali mi serce. Gdybym kiedyś zrezygnował z hokeja, brakowałoby mi tego. Tego uczucia na chwilę przed wyjściem na lód, kiedy umysł całkowicie się wyciszał. Potem pojawiała się znajoma rutyna, gdy wkładałem strój w barwach drużyny. Wszystko zawsze działo się w odpowiedniej kolejności.

- Gotowi? – zapytał Calen, zerkając na zegarek w szatni.
- Gotowi! – zakrzyknęliśmy zgodnie.
- Do boju, Wilki!

Zawtórowaliśmy kapitanowi, uderzając kijami o posadzkę, a potem ustawiliśmy się przed wejściem na lodowisko. Ja jako świeżak w drużynie stanąłem na końcu. Z trybun dochodziła już wrzawa. Zaczęliśmy po kolei wyjeżdżać na taflę. Gdy robiłem rundkę po lodzie, wzrokiem szukałem Camryn. Poczulem ulgę, kiedy w końcu ją dostrzegłem. Uśmiechnęła się szeroko, widząc, że na nią patrzę.

Na lodzie pojawiłem się w pierwszej trójce z Julianem i Calenem, więc bardzo szybko się przekonałem, że to nie będzie łatwa gra. Sokoły od razu przeszły do agresywnego ataku, zostawiając nam niewiele przestrzeni. Ile razy któryś z naszych tylko dorwał się do krążka, przeciwnicy z miejsca otaczali go ze wszystkich stron. Całą pierwszą zmianę wyrywaliśmy sobie nawzajem krążek, tylko po razie doprowadzając do końca atak na bramkę.

– Nieźli są – stwierdziłem, gdy na lód weszła druga zmiana, a ja, Julian i Calen mogliśmy wreszcie złapać oddech. Czułem, jak pot płynie mi po czole.

– Ale my też jesteśmy nie najgorsi – dodał Calen, nie spuszczać nawet na moment wzroku z lodowiska. Niemal cały czas nerwowo żuł ochraniacz na zęby.

W dziesiątej minucie pierwszej tercji Sokoły wbiły nam bramkę. Przez lodowisko przetoczył się jęk zawodu, ale to tylko bardziej nas zmobilizowało. Ponownie wszedłem na swoją zmianę i wtedy prawie już nie oddalaliśmy się od bramki przeciwnika. Atakowaliśmy raz za razem jak w szale.

W pewnym momencie w walce o krążek skrzyżowałem kije z napastnikiem Sokołów, który wzrostem niemal dorównywał Calenowi. W końcu udało mi się wybić do boku, co od razu wykorzystał Calen. Przyjął odbicie na patkę kija i popędził w stronę bramki przeciwników z Julianem trzymającym się na długość podania, a ja przyspieszyłem, żeby się z nimi zrównać. Szybko do mnie podał, a ja znów posłałem krążek w jego kierunku parę metrów dalej. Wtedy już nasz kapitan znajdował się w idealnej pozycji do ataku. Z dobieciem, bo pierwszy strzał odbił się od słupka, zdobyliśmy pierwszy punkt, tym samym remisując.

Tym wynikiem zakończyła się pierwsza tercja, w drugiej Sokoły strzeliły nam dwa razy, gdy graliśmy w osłabieniu przez faul spowodowany przez naszego obrońcę. Trener kłął na nas, na sędziego, a potem znów na nas, po czym kazał nam się zabrać do roboty i nie robić głupot.

Z wynikiem trzy do jednego rozpoczęliśmy ostatnie dwadzieścia minut meczu. Podczas pierwszych dziesięciu udało nam się w końcu wyrównać do remisu, wykorzystując dwie kary z rzędu dla graczy Sokołów. A ci poczynali sobie coraz agresywniej. Nasze ostatnie zmiany polegały głównie na odpieraniu zmasowanego ataku na Calena. Aż do ostatniej sekundy walczyliśmy zażarcie o decydujący punkt, jednak bezskutecznie. Konieczna była więc dogrywka.

Rozejrzałem się po trybunach. Tłum czekał w napięciu na rozwój sytuacji. Wzrokiem odnalazłem Camryn, która pokazała mi dwa uniesione kciuki i posłała promienny uśmiech. Powiedziała też coś bezgłośnie, ale nie zdołałem odczytać tego z ruchu warg. Zaraz potem moje łyżwy znów uderzyły o lód.

Mięśnie paliły mnie od wysiłku, gdy pędziłem przez taflę, prawie w linii prostej z Calenem i Julianem, kierując się na tereję przeciwnika. Calen podał do Juliana, a ten do mnie. Miałem może sekundę na podjęcie decyzji, a potem zamachnąłem się i posłałem krążek w światło bramki, tuż obok nogi bramkarza Sokołów. Rozbrzmiała syrena. Wygraliśmy.

A ja... Ja wygrałem zakład.



## Rozdział 14

### Camryn

Przegrałam zakład, ale nie czułam zawodu. No, może odrobinę. Chciałabym zobaczyć Riley'a zrywającego się co rano, żeby przynieść mi kawę. Dla niego przegrana z pewnością byłaby bardziej bolesna. Wiedziałam, że jest raczej nocnym markiem, a nie rannym ptaszkiem.

Uściskałam uradowaną Dawn i spojrzałam na Sloane, ale ta nie odrywała wzroku od Juliana. Westchnęłam w duchu. Ci dwoje powinni dawno temu albo dać sobie po razie, albo w końcu się pocałować, a potem wszyscy żyliby długo i szczęśliwie.

Pociągnęłam przyjaciółkę w dół trybun, żeby wyjść naprzeciw chłopakom schodzącym z lodowiska. Riley trzymał się nieco z tyłu i rozmawiał o czymś z zapalem z bramkarzem, Mattym McKinnonem. Julian za to zatrzymał się gwałtownie przed bandą, tuż przed nami.

– Calen robi imprezę u siebie, pojedziemy z Rileyem – oznajmił nam i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– My? – zapytałam zdziwiona.

– Nie wymiksujesz się, Heart. Nie tym razem! – Pogroził mi żartobliwie palcem.

Spojrzałam krytycznie na swoje poprzecierane dzinsy, różowe trampki i błękitną obszerną bluzę, która miała wystarczająco długie rękawy, bym mogła schować w nich dłonie. Totalnie nieimprezowo, ale chociaż będzie mi ciepło. Calen mieszkał blisko lasu, skąd wiecznie ciągnęło chłodem.

Wraz ze Sloane odprowadziłyśmy Dawn i moich rodziców na parking, a potem czekałyśmy całą wieczność na chłopaków przy starej hondzie Reedów. Całą wieczność, czyli w rzeczywistości jakiś kwadrans, który jednak dłużył się w nieskończoność, gdyż znad pobliskiego jeziora wiał zimny wiatr.

– Hej, Skrzacie! – zawołał Ry i gdy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się lekko. – Oficjalnie przegrałaś zakład.

– Fuksem – odparowałam, choć trudno było nazwać tę ostatnią bramkę wyłącznie łutem szczęścia. Chciałam się jednak z Rileyem trochę podroczyć.

– To nie fuks, tylko talent, moja droga – wtrącił Julian, ściskając mnie krótko na przywitanie. – Wsiadajcie, zanim impreza rozkręci się na dobre. Potem podebatujemy nad waszym zakładem.

– Świetnie... – mruknęłam pod nosem i zajęłam miejsce pasażera, a Julian i Sloane wpakowali się na tył. Wcześniej chłopcy musieli upchać swoje wielgaśne torby sportowe w bagażniku, przez co omal nie zapomnieli o kijach opartych o tylne drzwi hondy.

Wzdłuż ulicy, na której mieszkał Calen, stało już pełno samochodów i musieliśmy kawałek przejść. Nietrudno było zgadnąć, gdzie odbywa się impreza. Na końcu ślepej uliczki znajdował się dom pokryty drewnianym sidingiem. Paliły się w nim wszystkie światła. Tam, gdzie kończyły się wypielęgowane ogródki, zaczynał się gęsty las. Najmniejszy powiew wiatru przynosił ze sobą zapach wilgotnej ściółki i igliwia. Znajdowaliśmy się tylko jakiś kwadrans jazdy od Springvale, jednak miało się wrażenie, że opuściło się Harlow.

Naciągnęłam na dłonie rękawy bluzy. Szliśmy z Rileyem obok siebie. On wyluzowany, swobodny, ja za to nieco spięta. Nie byłam pewna, czym się tak stresuję, dopóki w środku nie spotkałam byłych koleżanek ze szkoły baletowej. Matty umawiał się z jedną z nich jakoś od początku wakacji, a więc automatycznie na wszystkie imprezy hokeistów przychodziła teraz cała świta. Zwykle po prostu się wymijałyśmy, jednak po powrocie Yary miałam wrażenie, że dziewczyny częściej zwracają na mnie uwagę.

Teraz się wyprostowałam i podążyłam za Rileyem w głąb domu, udając, że w ogóle ich nie zauważałam.

W kuchni sięgnęłam po butelkę piwa, a Ry wziął dla siebie colę. Obiecał mamie, że nie tknie alkoholu, skoro bierze samochód – nie żeby którekolwiek z nas mogło legalnie pić. Jednak nasi rodzice raczej nie mieli złudzeń co do tego, że jeśli jest chęć, to i sposób się znajdzie. A biorąc pod uwagę, że starszy brat Calena kończył właśnie studia na pobliskim uniwerku, to sposób sam się znalazł.

– Pamiętaj, żeby nie pić niczego, czego nie podam ci ja albo Julian, jasne? – Riley spojrzał na mnie z powagą, a ja skinęłam głową, choć szczerze wątpiłam, żeby mogła mi się tu stać jakaś krzywda. Dla świętego spokoju postanowiłam się jednak nie wyklócać.

Udało nam się razem usiąść dopiero na tarasie, na który też wyległo sporo osób, bo salon był już przepełniony. Rozsiadliśmy się z Rileyem na rattanowej kanapie, a Julian i Sloane zajęli fotele koło nas. Julian z butelką piwa opartą o udo odetchnął głęboko rześkim powietrzem, potem odchylił głowę i przymknął powieki.

– Właśnie tego będzie mi kiedyś brakować, gdy się stąd wyprowadzę – powiedział, nie otwierając oczu.

– Taniego piwa pod gwiazdami? – odpowiedziałam.

Wyprostował się i parsknął śmiechem.

– Tego też – przyznał, po czym upił duży łyk z butelki. – Ale myślałem przede wszystkim o tej ciszy i spokoju. Yara głównie za to nie znosi Harlow, ja wręcz przeciwnie.

– Udało wam się porozmawiać? – zagaіła Sloane. Zgadywałam, że między nią a Julianem toczyła się już wcześniej jakaś rozmowa na temat jego siostry, w której nie brałam udziału. Najprawdopodobniej byłam też najmniej odpowiednią osobą do tego tematu, dlatego Julian zwrócił się bezpośrednio do dziewczyny.

– Yara w ogóle niewiele się odzywa, odkąd przyjechała – westchnął. – Przez większość czasu siedzi u siebie i nie wierzę, że to mówię, ale najbardziej martwi mnie to, że nie tańczy... choć wcześniej przeklinałem ten stukot nowych point o podłogę.

– Nie tańczy? – wyrwało mi się, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Nie żebym martwiła się o Yare. Za dużo było między nami kwasu. Ale Yara, którą znałam, nie robiła sobie kilkudniowych przerw. Nigdy.

– Odkąd przyjechała, nie słyszałem, by choć raz tańczyła – dodał Julian, spoglądając na mnie. Ja jedna wiedziałam, jak bardzo odstawało to od typowego zachowania jego siostry.

– A twoi rodzice? – zaciekałam się.

– Chyba się o coś pożarli, bo ojciec chodzi wściekły. Myślałem, że mu przejdzie, ale im dłużej Yara jest w domu, tym bardziej się wścieka, a z mamą to już w ogóle nie rozmawia... – Wzruszył ramionami. – Nie ogarniam moich starych.

– A tobie coś mówił? – dopytywał Riley. – Twój tata?

– Że jeszcze tylko ja go nie zawiodłem, ale to było dzień po powrocie Yary, więc nie przejąłem się tym za bardzo. Ludzie gadają różne rzeczy w nerwach.

Rodzice Juliana nigdy nie wydawali się wzorem szczęśliwego małżeństwa, ale zwykle prędzej czy później wychodzili na prostą. Sam Julian z czasem coraz mniej zwracał na to wszystko uwagę. Po kryzysie jego tata najczęściej wyjeżdżał w jakąś dłuższą delegację, a w międzyczasie wszystko samo jakoś się prostowało i po jego powrocie wybierali się gdzieś na rodzinny weekend.

– W końcu im przejdzie – dodał Julian, wzruszając ramionami. – Zawsze im przechodzi.

Upiłam duży łyk piwa i rozejrzałam się. Z drugiego końca tarasu spoglądała na mnie Isabelle siedząca na kolanach Matty'ego. Materiał ultrakrótkiej czarnej sukienki opinał ją jak druga skóra. Blond włosy związała w wysoki kucyk, równie gładki jak jej zwykły kok. Obejmowała chłopaka za kark dla równowagi, ale nie patrzyła na niego. Patrzyła prosto na mnie. Badawczo, z wyższością.

Odwrociłam wzrok. Mimowolnie zaczęłam skubać luźną nitkę przy rękawie bluzy. Bolało mnie to, że koleżanki ze szkoły baletowej tak prędko się ode mnie odwróciły, gdy tylko Yara zajęła moje miejsce. Nie

rozumiałam tego, bo nie zrobiłam nic, by im się narazić, by czuły do mnie niechęć, z jaką traktowała mnie dziś Isabelle.

– Wszystko w porządku? – zapytał mnie cicho Riley, gdy Juliana i Sloane pochłonęła rozmowa na temat jakiegoś serialu fantasy, którego żadne z naszej dwójki nie widziało.

– Nie rozumiem ich. – Kiwnęłam nieznacznie głową w stronę Isabelle, po czym wypiliśmy resztę piwa jednym haustem. – Nie rozumiem, dlaczego tak się wobec mnie zachowują. Jakbym zrobiła coś złego.

– Próboweś z nimi pogadać?

Prychnęłam.

– Najpierw musiałyby w ogóle chcieć się do mnie odezwać. A nie chcą. Żadna z nich – dokończyłam z żalem.

– Chodź, nie musimy tu siedzieć. – Riley wstał i wysunął rękę w moją stronę. – No dalej, Heart. Nie ociągaj się.

Podaliśmy mu dłoń i pozwoliłam podciągnąć się do pozycji stojącej. Wymieniłam jeszcze spojrzenie z Sloane, zanim weszłam z chłopakiem z powrotem do domu. Z kuchni zgarnęliśmy dla mnie jeszcze jedno piwo, dla niego colę, a potem dołączyliśmy do imprezowiczów w salonie. Kilka osób tańczyło, ale większość okupowała przestrzeń przed telewizorem. Właśnie trwała relacja przed meczem Minnesota Twins z Boston Red Sox.

– Ry, Cam, siadajcie! – zawołał do nas Weston, robiąc trochę miejsca na kanapie koło siebie. – Za chwilę się zacznie.

Stłumiłam śmiech. Mogła trwać najlepsza impreza świata, ale mecz to mecz. Zaraz jednak zrzędnęła mi mina, bo się okazało, że będę siedzieć prawie na kolanach Riley, wcisnięta w bok kanapy. Rileyowi jednak zdawało się to ani trochę nie przeszkadzać. Zarzucił ramię na oparcie za mną jak gdyby nigdy nic, po czym zaczął komentować z Westonem ostatnie spotkanie Twinsów.

Ledwo zaczął się pierwszy inning, a siedzący dotychczas na tarasie już w większości przenieśli się do salonu. W tym także Isabelle przyklejona do Matty'ego. Sprawiała wrażenie, że ledwo za nim nadąża w swoich niebotycznych szpilkach, ale nawet nie drgnęła jej powieka. Pech chciał, że usiedli dokładnie naprzeciwko nas. Znowu.

Riley musiał wyczuć, że się spięłam, bo przesunął ramię z oparcia kanapy na moje barki, żeby objąć mnie lekko, a drugą dłoń położył na moim kolanie, które podrygiwało teraz nerwowo. Tym samym oddzielił mnie od Isabelle tak bardzo, jak tylko się dało, nie stając bezpośrednio między nami.

– Jeśli będziesz wołała po prostu wyjść, powiedz mi – wyszeptał, nachylając się w moją stronę tak, że Isabelle nie mogła zobaczyć mojej reakcji ani na te słowa, ani na jego bliskość. Dla postronnych mogło to wyglądać, jakby chciał mnie pocałować. Riley był tak blisko, że wyraźnie widziałam zielonkawę plamki na jego niebieskich tęczęwkach.

– Okej – odpowiedziałam cicho, starając się ignorować przyspieszony rytm serca. Biło tak mocno, że miałam wrażenie, że to niemożliwe, żeby Ry tego nie słyszał. Jednak niewzruszony oparł plecy na powrót o kanapę, wracając na swoje miejsce koło mnie.

Isabelle musiała wszystko widzieć, bo gdy tylko Riley zmienił pozycję, zauważyłam, że wpatrywała się we mnie intensywnie. Tak intensywnie, że gdyby wzrok mógł zabijać, padłabym trupem. Wciąż jednak nie rozumiałam jednego... Dlaczego?

Riley

Byłem przekonany, że podburzenie koleżanek ze szkoły baletowej przeciwko Camryn to sprawka Yary. Zbyt łatwo ją skreśliły, a nawet stały się wobec niej wrogie, a Cam... Cam nie skrzywdziłaby muchy. Nie zrobiłaby nic, za co mogłyby ją tak znienawidzić, zwłaszcza że jeszcze dwa lata temu wszystkie się przyjaźniły. Często wychodziły gdzieś razem, spędzały wspólnie czas poza salą treningową. Takich więzi nie dało się z dnia na dzień tak zwyczajnie zerwać. Nie bez ważnego powodu.

Isabelle niemal nie spuszczała wzroku z Camryn, a jej spojrzenie stawało się tym intensywniejsze, im bliżej Cam się znajdowałem. Z upływem czasu Cammie tylko bardziej kuliła się w sobie, jakby chciała zabierać jak najmniej przestrzeni, i zaczynało mnie to powoli wkurzać. Nie zasłużyła na to. Nie zasłużyła na te wszystkie złe rzeczy, które ją spotkały, ale mimo to przetrwała. Bolało mnie patrzeć na jej cierpienie.

Zadziałam pod wpływem impulsu, gdy zobaczyłem, jak Isabelle wstaje, bez Matty'ego.

Odczekałem chwilę i podążyłem jej śladem. Po drodze zaczepiłem Juliana i poprosiłem, żeby miał oko na Cam. Wypiła już dwa piwa, a nie wiedziałem, jaką ma tolerancję na alkohol.

Isabelle znalazłem dopiero, gdy wracała do salonu. Zatrzymała się gwałtownie na mój widok.

– Dlaczego tak traktujecie Cam, Isa? – zapytałem wprost. – Myślałem, że się przyjaźniłyście.

– Czas przeszły – odpowiedziała i zrobiła krok naprzód, żeby mnie wyminąć, ale zastąpiłem jej drogę.

– Tak po prostu?

– Ty o niczym nie wiesz, co? – prychnęła, po czym potrząsnęła głową. – Oczywiście, że nie wiesz.

Dla ciebie Camryn zawsze była kryształowa.

– O czym nie wiem?

Isabelle wyprostowała się, a przez to, że miała obcasy, staliśmy się niemal równi wzrostem.

– Próbowала odbić Aideną Yarze. Yara powiedziała nam o tym dopiero po wypadku, chciała uniknąć zamętu przed premierą – powiedziała i jednocześnie nagle zbladła.

– To niemożliwe. – Potrząsnąłem głową. Sama myśl o Camryn z Aidenem doprowadzała mnie do białej gorączki, ale wiedziałem, że to nie mogło się wydarzyć. Nie, gdy byliśmy wtedy tak blisko... – Camryn nigdy by jej tego nie zrobiła.

– Pewny jesteś? – Isabelle uniosła wyzywająco brwi. – Nie było cię tu dwa lata, Reed. Nadal uważasz, że tak dobrze znasz Cam?

– Wiem jedno o Cam od dnia, w którym ją poznałem.

– Co takiego?

– Że prędzej by umarła, niż umyślnie skrzywdziła kogoś bliskiego. A Yara była dla niej jak siostra.

Ty też, Isa. I obie opuściłyście ją wtedy, gdy was potrzebowała.

– Ry? – Usłyszałem za sobą głos Camryn i przymknąłem powieki. Bałem się zapytać, jak dużo usłyszała, ale biorąc pod uwagę łzy płynące po jej policzkach, wiedziałem, że zbyt wiele. – Nie prosiłam cię o interwencję.

– Cam... – zacząłem, ale przerwała mi gestem.

– Nie, Ry. Jeśli Isa chce wierzyć w te brednie, niech sobie wierzy. – Otarła łzy rękawem bluzy, ale kolejne już się zbierały w jej szklistych oczach. – Nie będę żebrać o taką przyjaźń. Już nie.

Isabelle się skrzywiła, jakby właśnie dostała w twarz, ale nie ruszyła się z miejsca. Nawet nie drgnęła, gdy Camryn ją wyminęła, kierując się w stronę frontowych drzwi. Pobiegłem za nią.

– Cam! – zawołałem. – Zaczekaj!

Dogoniłem Cammie już na podjeździe przed domem. Objąłem ją mocno, łapiąc od tyłu. W pierwszej chwili wrzasnęła, ale zaraz potem wybuchnęła głośnym płaczem. Obróciła się i wtuliła w moją pierś. Pięści zaciskała na mojej koszulce, która robiła się coraz bardziej mokra od jej łez, bo teraz Camryn cała się trzęsła od szlochu.

– Dlaczego ona tak bardzo mnie nienawidzi? – załkała.

Bo tylko ty stałaś jej na drodze, pomyślałem i przytuliłem ją mocniej.



## Rozdział 15

### Camryn

*Trzy lata wcześniej...*

Riley wyjechał na tydzień do swoich dziadków do Kolorado, a Julian był na obozie, więc spędzałam czas głównie z Yarą i resztą dziewczyn. Tęskniłam za Rileyem. Rodzice zgodzili się, żeby po powrocie pojechał z nami do dziadków na parę dni, więc nie mogłam się już doczekać. A im częściej o tym myślałam, tym bardziej mi się dłużyło. W New Haven każdy dzień kończyliśmy tak samo – siedzieliśmy na kocu tak długo, aż zapadła noc i można było oglądać gwiazdy. Dziadek pokazywał nam wtedy różne konstelacje. Riley rozpoznawał je już dużo lepiej niż ja. Za to Yara zupełnie nie rozumiała, o co nam chodzi. Twierdziła, że w takiej dziurze jak New Haven zanudziłaby się na śmierć. Nie spierałam się z nią. Byłyśmy zbyt różne, by we wszystkim się zgadzać. Przywykłam do takiego stanu rzeczy. Nie miało to jednak wpływu na naszą przyjaźń. Po prostu nie o wszystkim mogłam z nią porozmawiać. Niektóre rzeczy rozumiał tylko Riley.

– Długo cię nie będzie? – zapytała Yara, nie podnosząc wzroku znad telefonu. Po jej minie wiedziałam, że pisze z jakimś chłopakiem. Wydymała wtedy usta w charakterystyczny sposób.

– Trzy, może cztery dni – odpowiadałam i znużona przetoczyłam się na plecy. Siedziałyśmy w moim pokoju, bo miałyśmy oglądać film, ale Yara od pół godziny nie odłożyła telefonu nawet na minutę. Zaczęłam już rozważać drzemkę. Pewnie i tak by nie zauważyła. – Nie ustaliliśmy jeszcze tego z Rileyem.

– To dziwne, że między wami nic nie ma – skwitowała nagle. – Wiesz, w sensie romantycznym. Spędzacie ze sobą tyle czasu...

Nie myślałam o mnie i o Rileyu w ten sposób. Był kumplem. Najlepszym, jakiego miałam, i obawiałam się, że coś więcej mogłoby wszystko zepsuć. Już dawno przestałam się zastanawiać, co by było gdyby. W zupełności odpowiadał mi obecny stan rzeczy.

– Przyjaźnimy się, Yara – odpowiadałam. – Nie ma co tego komplikować.

– Ja i Aiden też się przyjaźnimy.

Uśmiechnęłam się półgębkiem i przeturlałam z powrotem na brzuch, żeby spojrzeć na przyjaciółkę, która właśnie rumienila się krwście. Trafiony, zatopiony.

– Ty i Aiden to co innego – stwierdziłam. – To z nim tak teraz piszesz?

Przytaknęła, po czym dodała:

– Chyba próbuje zaprosić mnie na randkę. Tak mi się wydaje, ale strasznie mąci.

– To może ty go zaprosz?

Na moje słowa aż się zapowietrzyła.

– Zwariowałaś? To on powinien mnie.

Westchnęłam ciężko. Yara w swoim świecie była księżniczką. Uważała, że to do chłopaka należy pierwszy krok. Mnie wydawało się to obojętne. Uważałam, że mogło zaprosić to, które pierwsze poczuło się na tyle pewnie, by to zrobić, bez względu na płć. Moja mama poderwała tatę, nie na odwrót, i świat przez to nie zaczął się kręcić w drugą stronę.



– Jeśli chcesz iść z nim na randkę, to w czym problem, żebyś sama przejęła inicjatywę? Aiden jest raczej nieśmiały. Możesz tak sobie czekać kolejne pół roku.

– Moja mama twierdzi...

– Twoja mama ostatni raz randkowała kiedy? W latach osiemdziesiątych? Daj spokój, Yara.

– Dziewięćdziesiątych – poprawiła mnie.

– Wszystko jedno. – Machnęłam ręką. – Chodzi mi o to, że faceci są różni. Spójrz na swojego brata. W trzy minuty sprzedałby obcemu krowę, której nie ma, takie ma gadane. Ale jak ma zaprosić dziewczynę na randkę, to robi się cały czerwony i ledwo duka. Może z Aidenem jest podobnie? Może się boi, że się nie zgodzisz?

– A skąd ty nagle jesteś taka mądra? Sama nie byłaś nigdy na żadnej randce.

– Ale spędzam więcej czasu z chłopakami niż ty – przypomniałam jej. – Riley i Julian traktują mnie jak kumpla, więc rozmawiają przy mnie o różnych rzeczach.

– Kompletnie cię nie rozumiem – westchnęła Yara, odkładając na bok telefon. – Gdybym ja miała spędzać tyle czasu ze swoim bratem, zanudziłabym się na śmierć.

– Tak ci się tylko wydaje – stwierdziłam z pełnym przekonaniem. – Z nimi nie da się nudzić.

W przeciwieństwie do ciebie, pomyślałam, ale ugryzłam się w język, zanim zdążyłabym powiedzieć to na głos.

– A tam na wsi będziesz miała gdzie ćwiczyć?

– Nie bardzo. – Skrzywiłam się, ale nie dlatego, że tak żalowałam, że u dziadków nie będę miała warunków do tańczenia, a bardziej dlatego, że właśnie po to do nich jeździłam: żeby odpocząć od wszystkiego. Także od baletu. – Ale to nie szkodzi. Parę dni przerwy dobrze mi robi.

– No nie wiem... W przyszłym roku wszystko się rozstrzygnie. Zależy ci jeszcze na Nowym Jorku?

– Oczywiście, że tak! – zaperzyłam się.

Harowałam przez ostatni rok, żeby w następnym zdobyć główną rolę. Nie zdradzałam moich zamiarów Yarze, bo najpewniej wydrapałaby mi oczy. Zawsze przed wakacjami nasza szkoła wystawiała balet dla uczniów, którzy po przerwie letniej szli do liceum. Na premierę zapraszano przedstawicieli znamienitych akademii baletowych z całego kraju. Ci zwykle wybierali jedną, czasem dwie osoby, które dostawały pełne stypendium. Dwie ogromne szanse na całą szkołę. Oczywiście, że każdy chciał, by trafiło akurat na niego. Ja także, nawet jeśli oznaczało to wyjazd na drugi koniec kraju.

– Ja przez całe wakacje zamierzam ćwiczyć codziennie. Jak myślisz, na jaki balet trafi? Może Jezioro Łabędzie? Sądziś, że powinnam już popracować nad sekwencją fouetté? Pewnie daliby rolę Odette i Odylii jednej osobie. Zwykle tak robią.

– Nie mam pojęcia, może Romeo i Julia? – zasugerowałam od niechcienia.

Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno, co to będzie za balet. Mogłam tańczyć cokolwiek, o ile uda mi się zdobyć w nim główną rolę.

– Może... W sumie dawno nie było. Mogłabym zatańczyć z Aidenem! – uradowała się. – Byłby wspaniałym Romeo, nie sądzisz?

– Sądzę – zgodziłam się, śledząc palcem wzorki na narzucie.

Myślami wędrowałam już daleko od baletu i związanego z nim stresu, który czekał mnie po wakacjach. W mojej głowie zamiast na łóżku w swoim pokoju leżałam na kocu razem z Rileyem i Atlasem, wpatrując się w gwiazdy.

\*\*\*

Długo płakałam wtulona w Rileyę. Miałam wrażenie, że przez ostatnie tygodnie zdążyłam wylać już całe moje łez. Co najmniej jakby puściła jakaś tama. Nie martwiłam się, że ktoś może nas zobaczyć. Najpewniej wszyscy byli skupieni na meczu.

Gdy w końcu się uspokoiłam, usiedliśmy razem na schodach na werandzie. Nie zamierzałam dawać Isabelle satysfakcji i po prostu zmyć się do domu. Potrzebowałam jednak chwili, żeby się uspokoić. Planowałam też zająć potem do łazienki, żeby nieco uratować makijaż, który w większości wtarłam chyba w koszulkę Rileyę. On też powinien się przebrać. Pewnie Calen mógłby mu coś pożyczyć.

– Pójść po Sloane? – zaproponował, gdy już od dobrego kwadransa nie uroniłam ani jednej łzy.

– Napiszę do niej, przyjdzie. – Wyciągnęłam telefon z tylnej kieszeni dzinsów i wysłałam krótką

wiadomość do przyjaciółki.

Tak jak przewidziałam, Sloane dołączyła do nas po minucie, może dwóch. Opowiedziałam jej, co się wydarzyło. Zrobiło mi się nieco lepiej, gdy przyjaciółka nie szczędziła wyzwisk pod adresem Yary. Na koniec nazwała ją wredną krową, na co mogłam już tylko parsknąć śmiechem. Nie wiedziałam, jak bardzo potrzebowałam prawdziwej przyjaciółki, dopóki nie poznałam Sloane.

– Zajmę się nią, a ty wymyśl jakąś dobrą wymówkę – zwróciła się do Riley, który uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Da się zrobić – odpowiedział, ściskając przelotnie moje ramię, po czym wszedł z powrotem do domu.

– Wiesz co, Cam? – odezwała się ponownie, gdy Ry zniknął za drzwiami. – Nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo za nim tęskniłaś, dopóki go nie spotkałam. Teraz już pojmuję.

Poczułam w żołądku zdradliwe trzepotanie. Zdradliwe, bo lata temu coś sobie obiecałam.

Obiecałam sobie, że nie zakocham się w Rileyu Reedzie.



## Rozdział 16

### Camryn

W niedzielę obudziło mnie jaskrawe słońce sączące się przez okna. Zapomniałam opuścić rolety, gdy wróciłam wczoraj od Calena. Było dopiero chwilę po siódmej, więc nie spieszyłam się jeszcze ze wstaniem. Zatopiłam się z powrotem w ciepłej pościeli, próbując zignorować burczenie w brzuchu. Zanim jednak zdążyłam choć na chwilę przysnąć, usłyszałam, jak coś obija się o szybę od frontu. Otworzyłam okno zamasyście i odskoczyłam w bok, tym samym uchylając się przed drobinkami żwiru, które zaraz rozsypały się po jasnej wykładzinie.

– Ups! – Dobiegł mnie cichy okrzyk Riley'a. – Sorki!

– Zwariowałeś?! – zawołałam, wychylając się w stronę chłopaka.

– Próbowałem dzwonić, ale chyba rozładował ci się telefon. – Wzruszył ramionami, jakby zupełnie normalne było rzucanie ludziom żwirem po oknach.

– A wiesz, że w tym domu są drzwi? I można w nie normalnie zapukać?

– I gdzie tu zabawa? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Akurat Camryn ma rację, w tym domu są drzwi. – Tę wymianę zdań przerwał mój tata. W jego głosie nie słychać było jednak nagany, bardziej rozbawienie. – Wchodź, Ry. Zjesz z nami śniadanie.

Z traskiem zamknęłam okno i zbiegłam na dół, wiążąc po drodze włosy, które aktualnie sterczały we wszystkie strony. To by było na tyle z leniwego niedzielnego poranka.

– Co ty tu robisz o tej porze? – zwróciłam się do Riley'a siedzącego przy stole razem z moimi rodzicami. Na talerzu przed nim czekała już góra tostów. Elliot najpewniej jeszcze nie wstał. Zwykle w weekend wychylał się ze swojej jaskini dopiero bliżej południa. Pod tym względem bardzo się różniliśmy.

– Przyniosłem ci kawę. – Przesunął w moją stronę jeden z dwóch kubków termicznych, które stały przy nim.

Zmarszczyłam brwi, sięgając po napój.

– Przecież przegrałam zakład – przypomniałam mu.

– Teoretycznie tak, jednak stwierdziłem, że należy ci się jakaś nagroda pocieszenia – odpowiedział nonszalancko, z pewnym siebie uśmiechem.

– Poranek w twoim uroczym towarzystwie? – mruknęłam kąśliwie i zajęłam miejsce koło niego. Zaszurałam przy tym tak głośno krzesłem, że aż zapiszczało o drewnianą podłogę. Riley tylko się uśmiechnął, obserwując moje poczynania. W rzeczywistości nie byłam na niego zła. Ani trochę. Miałam jednak wrażenie, że straciłabym całą radość życia, gdybym nie wykorzystała okazji, żeby się z nim podroczyć.

– Raczej nie inaczej.

Zachichotałam, po czym upiłam łyk kawy i westchnęłam. Była dokładnie taka, jak lubiłam. Mocna, nie za słodka, z odrobiną śmietanki. Właśnie tego potrzebowałam po całej nocy przewracania się z boku na bok. Nie dawało mi spokoju to, co wczoraj usłyszałam z ust Isy. Nie mogłam uwierzyć, że ona i reszta

dziewczyn tak łatwo mnie skreśliły. Wystarczyło jedno kłamstwo Yary, bym została sama. Sama, jeśli nie liczyć Juliana. Po wyjeździe Riley'a tylko dzięki niemu pozostałam przy zdrowych zmysłach.

Ry musiał wyczuć moją nagłą zmianę nastroju, bo ścisnął przelotnie palce, które opierałam luźno na udzie. Trwało to ledwie chwilę, więc rodzice nawet nie zwrócili uwagi, zajęci rozmową z Riley'em. Opowiadał im właśnie o czasie spędzonym w Miami. Oboje słuchali z uwagą, choć pewnie poznali już tę samą historię z ust Dawn. W niczym im to jednak nie przeszkadzało. Zadawali pytania, ale skrętnie unikali tematu pana Reeda, jak gdyby nigdy nie istniał. Byłam im za to wdzięczna. Nie chciałam psuć tego poranka.

Elliota musiały chyba obudzić nasze rozmowy i śmiechy, bo dołączył do nas znacznie wcześniej, niż się tego spodziewałam. Ucieszył się na widok Riley'a i od razu wziął go na spytki. Tematem oczywiście był hokej. Prędko dołączył do nich tata. W tym czasie ja i mama zabrałyśmy się do sprzątania po śniadaniu.

– Ry wydaje się... – zaczęła, gdy zmywałyśmy naczynia. A raczej ja zmywałam, a mama wycierała.

– Starszy? – odpowiedziałam.

– To też. – Uśmiechnęła się. – Spoważniał. Wiesz, o co mi chodzi?

– Został sam z Dawn... – westchnęłam. – Rozwód jego rodziców i to wszystko... Mam wrażenie, że odbiło się to na nim bardziej, niż jest gotowy przyznać. Nie rozmawiamy o tym za wiele. Tylko raz go zapytałam.

– I jak poszło?

Skrzywiłam się i spojrzałam na mamę. Po niej odziedziczyłam blond włosy, ale ciemne oczy miałam po tacie. Zielone tęczęwki świdrowały mnie teraz przenikliwie. Mama zawsze się martwiła, a jeszcze bardziej od czasu mojego wypadku. Mogłam postawić grubą kreskę na tym dniu, bo po nim wszystko się zmieniło.

– Nie za dobrze – przyznałam. Czułam się tak, jakbym zdradzała jakąś tajemnicę. Jednak moi rodzice dobrze znali Riley'a i po tym, jak się zaprzyjaźniliśmy, stał się niemal członkiem rodziny. Nie mogłam mieć pretensji o to, że dbali o jego dobro. Że byli ciekawi, jak się miewa, po tym jak przez lata robili mu za przyszywane wujostwo, bo tak dużo czasu spędzaliśmy razem. – Riley ma dużo żalu do swojego taty. Pan Reed zdradzał Dawn, ponoć przez dłuższy okres, więc w sumie mu się nie dziwię. Nie mają ze sobą kontaktu.

– Wiesz, Cam... Ty pewnie jeszcze tego nie zrozumiesz, bo jesteś za młoda, ale małżeństwo to najtrudniejsze wyzwanie, przed jakim stanęłam. Nie mówię, że to, co zrobił Hayden, nie jest złe, bo jest i stanowczo to potępiam. Nie każdy jednak nadaje się do małżeństwa i mam wrażenie, że Haydenowi nigdy nie było to przeznaczone. Wiecznie szukał przygód, a małżeństwo to droga. Często bardzo wyboista.

– Ale zdrada to zdrada – przypominałam.

– To prawda, ale nawet zdradę można wybaczyć. I mam wrażenie, że Dawn już mu wybaczyła. Przynajmniej to.

– A czego nie? – drążyłam dalej. To było silniejsze ode mnie. Miałam wrażenie, że Riley czegoś mi nie mówi.

– Że ich porzucił, chociaż zrobiła wszystko, by przy nich został.

– Jak to? – zdziwiłam się. – Myślałam, że to ona odeszła.

Mama spojrzała na mnie ze smutkiem, jakby wiedziała więcej niż ja. Z pewnością tak było. Nasze mamy się przyjaźniły, a ich relacja na nowo rozkwitła w ostatnich tygodniach.

– Nie do końca. Nie wiem, co powiedział ci Riley, ale to dużo bardziej skomplikowane.

– Dlaczego?

Coś w wyrazie jej twarzy nagle się zmieniło i odwróciła wzrok, zanim odpowiedziała:

– Bo są rzeczy, których nie da się wybaczyć. Nie do końca.



## Rozdział 17

### Riley

Gdy Camryn i jej mama poszły do kuchni, w mojej głowie powstał lekko szalony plan. Obawiałem się, że Robert z miejsca odmówi, ale tylko się uśmiechnął i zapewnił, że to żaden problem. Elliot natomiast się skrzywił i stwierdziła, że oboje z Cam jesteśmy po prostu dziwni. Uznałem to za komplement.

Wieczorem wszystko było gotowe. W plecaku miałem koc, dwa termosy z gorącą czekoladą i pudełko niebieskich ciastek. Z Atlasem przy boku zapukałem do drzwi domu Heartów – tak dla odmiany. Kiedy opowiedziałem mojej mamie, jak na przywitanie rzucałem żwirem, omal nie zdzieliła mnie po uszach, po czym oznajmiła, że jeśli tym sposobem wybije kiedyś okno Camryn, to będę płacił za wstawienie nowej szyby z własnych oszczędności. Przyjąłem to do wiadomości.

Cam o niczym nie wiedziała. Musiała jednak usłyszeć zamieszanie na dole, bo zbiegła na parter, gdy rozmawiałem z jej tatą o warunkach pożyczania jego pick-upa. Wyglądała uroczo w poprzecieranych džinsach i bluzie Minnesota Wild, która była przynajmniej dwa rozmiary na nią za duża.

– Co knujecie? – zapytała wprost, przystanąwszy na ostatnim schodku. Oparła się nonszalancko o balustradę, a wtedy dostrzegłem też jej skarpetki w pandy. Uśmiechnąłem się.

– Porywam cię – oznajmiłem. – Ale za zgodą twojego taty – dodałem na widok miny Camryn, dobitnie wyrażającej, jaki ma stosunek do porywania. Taki raczej nie za szczególny.

– Czyli ja już nie mam nic do powiedzenia?

– Nie – odparliśmy zgodnie.

Cam przesunęła wzrokiem między mną a tatą, ale już wiedziała, że jest na straconej pozycji. Nie tak łatwo było mnie spławić, a też miałem sprzymierzeńca w jej ojcu, a właściwie w Robercie – jak kazał do siebie mówić rano przy śniadaniu.

– Super... – westchnęła. – W takim razie gdzie mnie porywasz? – zwróciła się do mnie.

– Dowiesz się na miejscu. Inaczej nie byłoby to porwanie.

Przewróciła oczami i spojrzała w sufit, jakby prosiła siły wyższe o cierpliwość. Nie udało mi się powstrzymać śmiechu.

– Dobra, niech będzie – poddała się. – Powinam coś wziąć?

– Wszystko mam. – Poklepałem znacząco swój wypchany plecak. – Spodoba ci się, zobaczysz.

– Macie wrócić przed północą – przypomniał mi pan Heart i wiedziałem, że jeśli spóźniłbym się choćby minutę z odstawieniem Camryn do domu, jego wóz może nie zmienić się w dynię, ale z pewnością miałbym przerąbane. Nie zamierzałem nadużywać zaufania, jakim obdarzył mnie ojciec Cam. Szczególnie że była niedziela, jutro więc czekała więc nas szkoła.

– Tak jest, proszę pana. – Zasalutowałem mu teatralnie, czekając, aż Camryn będzie gotowa do wyjścia.

Atlas nie odstępował nogi dziewczyny, gdy szliśmy do pick-upa zaparkowanego w głębi podwórka. Głównie dlatego, że, jak się potem dowiedziałem, kiedy Cam udała się na górę po kurtkę, zabrała ze sobą też

paczkę psich smaczków i ukryła je w kieszeni bluzy.

Usiadłem za kółkiem, a Camryn wraz z Atlasem zajęła miejsce obok. Pies przez całą drogę ślinił się na jej kolana, ale Cammie zdawało się to ani trochę nie przeszkadzać. Nie przestawała go głaskać i drapać za uszami, a Atlas był wniebowzięty. Ogromny wilczarz powalony na łopatki przez metr pięćdziesiąt uroku w najczystszej postaci.

Kiedy minęliśmy New Haven, Camryn zaczęła się nieco niecierpliwic.

– To już chyba zaczyna rzeczywiście uchodzić za porwanie – stwierdziła, wyglądając przez szybę. Wokół było niemal zupełnie ciemno. Oddalaliśmy się od świateł domów, ale ja doskonale wiedziałem, gdzie jedziemy.

To miejsce pokazał nam kiedyś dziadek Camryn, niedługo po tym, jak ją poznałem. Miał nie tylko dużą wiedzę o gwiazdach ogółem, ale znał też każdą możliwą legendę lub mit związany z postacią, po której nazwano dany gwiazdozbiór. Właśnie te historie sprawiły, że patrzenie w nocne niebo nie wydawało mi się tak nudne jak z początku. Dzięki nim wszystko stawało się dużo ciekawsze.

W końcu zjechałem z asfaltu na piaszczystą drogę prowadzącą między polami i zatrzymałem się na skraju łąki. Wokół było całkowicie ciemno, jeśli nie liczyć nieba upstrzonego gwiazdami. Zostawiłem włączone światła, zanim obszedłem auto i wskoczyłem na pakę. Tam pod folią znalazłem kilka dużych poduch. Jak za dawnych, dobrych czasów, gdy tata Camryn zabierał nas na wycieczki. Ułożyłem je blisko siebie, a z plecaka wyciągnąłem zabrane z domu koc, termosy z gorącą czekoladą oraz pudełko ciastek. Zadowolony z efektu wróciłem po Camryn i Atlasa.

Pies wyskoczył pierwszy i od razu zaczął węszyć. W ciągu dnia na łące pasły się zwierzęta gospodarskie, więc miał całą gamę zapachów, z którymi mógł się zapoznać. Camryn za to rozejrzała się wokół z ciekawością, a ja sięgnąłem za nią do samochodu, żeby wyłączyć światła.

– Chodź – poprosiłem, chwytając ją za rękę. Pomogłem jej wsiąść na pakę, a zaraz za nią podążył Atlas. Wylądował na tyle z takim impetem, że całe auto się zatrzęsło. Cam pisnęła cicho, łapiąc równowagę.

– Czasem zapominam, ile on waży – mruknęła i usiadła ostrożnie. – Jemu się chyba wciąż wydaje, że jest szczeniakiem, co?

Roześmiałem się.

– Zdecydowanie – zgodziłem się, zajmując miejsce koło Cammie, po czym naciągnąłem na naszą dwójkę koc. Z dala od zabudowań i blisko lasu było zdecydowanie zimniej niż w mieście.

– O rany, gorąca czekolada! – zawołała uradowana, gdy otworzyła jeden z termosów. – Pachnie jak sam cukier, czyli idealnie. – Westchnęła z rozkoszą, po czym wzięła duży łyk.

– Mam też niebieskie ciastka. – Podsunąłem jej pod nos pudełko. – Ale chyba nie bardzo to teraz widać, jest za ciemno.

Zmrużyła oczy i wyjęła jedno, po czym obejrzała je dokładnie – jakby w panujących ciemnościach próbowała sprawdzić, czy rzeczywiście są niebieskie. Żadną miarą nie było to jednak możliwe. Wszystko wokół było tylko czarne, szare lub białe.

– Dzisiaj chyba muszę ci uwierzyć na słowo – stwierdziła w końcu po dłuższej inspekcji, po czym wgrzyła się w ciastko. – Ale smakuje jak niebieskie – dodała z pełnymi ustami.

Smakuje jak niebieskie, czyli jest pyszne. To było takie nasze dzieciinne przekonanie, odkąd moja mama zaczęła dodawać niebieski barwnik do wszystkich deserów, jakie dla mnie robiła. Zaczęło się od Percy'ego Jacksona i tak zostało, choć byłem już chyba trochę za stary na Obóz Herosów. Nie żeby mi to jednak w czymkolwiek przeszkadzało. Na pewno nie w jedzeniu niebieskich ciastek.

– Spójrz! – zawołała nagle Camryn i wskazała palcem ciemne niebo nad nami. – Gwiazdozbiór Pegaza.

– Tam trochę wyżej jest Kasjopeja, widzisz? – zapytałem, przesuwając dłoń tuż obok.

– Dobrze dziś też widać Perseusza. – Zaczęła błędzić ręką w górze, jakby próbowała obrysować kształt gwiazdozbioru.

Pod Wielkim Wozem jaśniał też Jowisz i bardziej na prawo – Saturn. Wiedziałem to wszystko od dziadka Camryn, który był po prostu skarbnicą wiedzy. To on pokazał nam gwiazdy i podzielił się wszystkim, co o nich wiedział. Nauczył nas je rozpoznawać, a stawało się to tym łatwiejsze, im częściej opowiadał nam związane z nimi historie. Wtedy już nie były to tylko gwiazdozbiory, a fragmenty wielkiej opowieści, którą skrywało nocne niebo.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy w niego w milczeniu. Atlas zdążył nawet zasnąć i cicho pochrapywał z pyskiem na nogach Camryn.

– Dziękuję, Ry – odezwała się nagle, nie odrywając wzroku od nieboskłonu nad nami. – Potrzebowałam dzisiaj tego bardziej, niż mi się wydawało.

– Nie ma sprawy, Cammie – odpowiedziałem, po czym upiłem łyk swojej czekolady. Była bardzo słodka i gęsta. Dokładnie taka, jak lubiłem. Przyjemne ciepło rozlało się po moim ciele w ślad za gorącym napojem. – Pomyślałem, że poprawi ci to humor.

Cam przeniosła na mnie spojrzenie i się uśmiechnęła. W ciemności błysnęły białe, równe zęby.

– Zadziałało – przyznała, opierając głowę na moim ramieniu. Owocowy zapach jej szamponu połaskotał mnie w nos. – Ale wiesz, Ry, nie musiałeś wcale konfrontować się z Isabelle. Radziłam sobie. Jasne, że było mi przykro. Jednak może tak musiało być? Teraz mam obok siebie Sloane i dotarło do mnie, że to, co łączyło mnie, Yarę i całą resztę... To nie była prawdziwa przyjaźń.

– Chciałbym powiedzieć...

– A nie mówiłem? – dokończyła za mnie. – Wiem, Ry. Wiem, że wielokrotnie mnie ostrzegałeś, ale nie cofnę czasu. Wtedy, przyjaźniąc się z całym gronem baletnic, czułam się jak członkini jakiegoś elitarnego klubu.

– Nie, Cammie – zaprzeczyłem i ścisnąłem jej dłoń. – Choć bardzo kusi. Chciałem tylko powiedzieć, że cieszę się, że trafiłaś na taką przyjaciółkę jak Sloane.

– Oj, nie widziałeś jej jeszcze w bojowym nastroju. Jak się ją wkurzy, potrafi być naprawdę paskudna.

Z trudem przychodziło mi wyobrazić sobie Sloane w takiej wersji. To była jedna z tych osób, które nawet morderstwo ze szczególnym okrucieństwem popełniłyby z uroczym uśmiechem na twarzy.

– Powinienem się bać? – zapytałem.

– Nieee. Nawet całkiem cię lubi. Ale nie mów jej, że ci powiedziałam.

Siedzieliśmy tak przez dobrą godzinę, może więcej. W końcu jednak w obu termosach pokazało się dno, skończyły się też ciastka, a Camryn coraz częściej ziewała. Atlas już nie pochrapywał, a głośno chrapał. To chyba oznaczało, że najwyższy czas wracać do domu.

– Ry? – zapytała nagle, gdy zapakowaliśmy się z powrotem do kabiny. Chwilę wcześniej owinęła się kocem, pod którym dotychczas siedzieliśmy, a Atlas od razu wrócił do spania, zajmując całą wolną przestrzeń wokół jej nóg.

– Tak?

Camryn milczała chwilę, jakby zastanawiała się, jak ubrać w słowa to, o czymś myślała.

– Twoja przyszła dziewczyna będzie szczęściarą.

Uśmiechnąłem się blado, choć na usta cisnęła mi się wyłącznie jedyna słuszna odpowiedź. Ale nie mogłem. Nie mogłem tego powiedzieć na głos.

*Chcę, żebyś to ty nią była, Cam.*



## Rozdział 18

### Camryn

Rozpoczęcie sezonu hokejowego zbliżało się wielkimi krokami. To oznaczało, że z Rileyem widywałam się głównie w drodze do szkoły, na lekcjach i gdy zabierał Atlasa na wieczorny spacer, chociaż coraz rzadziej miał jeszcze energię na bieganie. Popołudnia w większości spędzał bowiem na lodowisku lub na siłowni razem z Julianem. Za to ja przesiadywałam ze Sloane, zwykle u mnie w domu. Gdy już się uporałyśmy z pracą domową, robiłyśmy sobie maratony filmowe. Czasem, kiedy wygrzebywałyśmy z pokaźnej kolekcji taty starsze hity, dołączali też do nas moi rodzice lub Elliot.

Razem z mamą oglądałyśmy właśnie *Skarbonkę* z Tomem Hanksem, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Pójdę otworzyć – rzuciłam i podałam Sloane miskę z popcornem, a potem wstałam z łóżka i zbiegłam na dół.

Za drzwiami czekali Riley z Julianem. Obaj w dresach, z wilgotnymi włosami, jakby wyszli spod prysznic nie dalej niż kwadrans temu. Julian trzymał torbę z logo cukierni pani Sanchez, a Ry... Ry miał przy sobie tylko płaskie, zielone pudełko przepasane bordową i białą wstążką. Kokarda była nieco koślawa, jakby wiązana w pośpiechu.

– Sloane jest na górze? – zapytał Julian, mijając mnie w progu.

Obejrzałam się za nim, zupełnie zbita z tropu. Wszedł jak do siebie.

– Ciebie też miło widzieć, Julian! – zawołałam. – Jest tam też moja mama, więc nie odwalaj nic na wejściu, dobra? – Aż za dobrze znałam tego chłopaka i jego pomysły. – Co to w ogóle było? – zwróciłam się do Riley, który wciąż stał w progu, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– Poprosiłem go wcześniej, żeby się ulotnił, bo... chciałem ci dać to. – W jego oczach dostrzegłam niepewność, gdy podawał mi pudełko. – Julian strasznie się ze mnie nabijał przez te kokardki i to wszystko.

Uśmiechnęłam się i pociągnęłam za koniec wstążki. W środku była złożona koszulka Wilków. Ani trochę się nie czułam, jakbym przegrała zakład.

– Mnie się podobają te kokardki – zapewniłam i rozłożyłam koszulkę z nazwiskiem Riley. – Mam być twoją szczęśliwą maskotką na jutrzejszym meczu?

– Coś w tym stylu – przyznał nieśmiało. Riley na ogół dosyć trudno było speszyć. Nie należał raczej do nieśmiałych typów. Obserwowałam więc to zjawisko z zaciekawieniem.

– Wchodź, niedługo powinna przyjść pizza – zaprosiłam go do środka, żeby dłużej go nie dręczyć, bo zobaczyłam, że już przestępuje z nogi na nogę. – Jak było na treningu?

Skrzywił się nieznacznie i ruszył w ślad za mną na górę.

– Trener dał nam niezły wycisk. Jutrzejszy mecz nie zapowiada się wcale lepiej. Kolesie z przeciwnej drużyny są po prostu wielcy. Już z tego jednego powodu można się ich obawiać. Ponoć lubią faulować.

Poklepałam go pocieszająco po ramieniu.



– Chyba za mało się naoglądałaś waszego kapitana. Calen też jest wielki.  
– Jak się ma wzrost średnio wyrosniętego skrzata, to każdy wydaje się wielki – stwierdził i zaznaczył dłonią różnicę wzrostu między nami. Sięgałam Rileyowi do ramienia.

– I skrzat może cię zdeptać, zanim coś dostrzeżesz tam z góry – odparowałam, po czym pokazałam mu język. – Więc ja bym na twoim miejscu uważała, Reed.

– Dobra, dobra – mruknął, obejmując mnie ramieniem, a zaraz potem moje stopy oderwały się od podłogi. – Najpierw musiałybyś sięgnąć.

Riley nie przewidział jednak, że z braku laku kopnę go w piszczel. Zawył z bólu i natychmiast mnie odstawił.

– Jak widzisz, wzrost to żadna przeszkoda. Wystarczy dobry sposób. – Posłałam mu szeroki uśmiech, gdy wciąż rozcierał bolącą nogę. – Lepiej się pospieszmy, bo Julian nic nam nie zostawi z tych słodkości, a miałam nadzieję upolować jakiegoś pączka.

Do pokoju wróciliśmy w samą porę, żeby jeszcze na coś się załapać. Julian był strasznym łasuchem. Na swoje szczęście uprawiał sport, więc w większości to obżarstwo uchodziło mu płazem, jeśli nie liczyć paru sytuacji, kiedy tak objadł się słodkim, że zwyczajnie go zemdliło.

– Riley, dobrze cię widzieć. – Miałam wrażenie, że mama tak bardzo lubiła Rileya, że bardziej cieszyła się na jego widok niż na mój. – Dasz, proszę, znać swojej mamie, że jutro po meczu organizujemy grilla?

– Jasne, proszę pani – odpowiedział grzecznie.

– I wy też macie być, dzieciaki. – Spojrzała po nas surowo. – Calen i Weston mają wpaść ze swoimi rodzicami, jeszcze nie mam odpowiedzi od reszty.

– Pani Heart, przecież pani mnie zna – wtrącił się Julian. – Ja nigdy nie odmawiam jedzenia, mnie nie trzeba namawiać.

Mama tylko potrząsnęła głową i posłała mu pełne politowania spojrzenie. Aż za dobrze wiedziała, ile Julian jest w stanie zjeść. Szczególnie gdy dorwał się do naszej lodówki z Elliotem.

– Zostawię was, skoro macie już towarzystwo – zwróciła się do mnie i Sloane. – Tylko grzecznie mi tu, tak? Pamiętajcie, że mam numery do waszych matek.

Zachichotałam. Często to powtarzała moim przyjaciółom, ale chyba jeszcze nigdy nie musiała spełnić swojej groźby. Prędzej dzwoniła do innych matek, żeby trochę sobie poplotkować, a Dawn była u nas częstym gościem tak czy siak.

– Pani ma chyba o nas bardzo złe zdanie – zażartowała Sloane.

– To po prostu ograniczone zaufanie. – Mrugnęła porozumiewawczo do mojej przyjaciółki i wyszła z pokoju, zostawiając naszą czwórkę samą.

– Twoja mama jest super – odezwał się Julian, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. – Moja jest tak sztywna, jakby jej ktoś wsadził kij, a Yara jest dokładnie taka sama – westchnął. – I zaczęła być na powrót mega wredna. Posprzeczała się o coś z Isą tak, że tamta wybiegła od nas z płaczem. Yara znów tańczy, więc myślałam, że na powrót się zaprzyjaźnią, ale chyba coś poszło nie tak.

Uniosłam brwi zaciekawiona. Po imprezie po meczu towarzyskim myślałam, że znów są najlepszymi przyjaciółkami, ale wiedziałam też, że przyjaźń z Yarą nie jest łatwa, a już na pewno nie jest bezinteresowna.

– Isabelle jest niewiele lepsza od twojej siostry – stwierdziła Sloane, przełknąwszy duży kęs pączka z lukrem. – Moja kuzynka jest ten sam rocznik co jej młodsza siostra. Ponoć się nie znoszą. Isabelle podporządkowała cały dom swojej karierze w balecie.

– Żeby to jeszcze była kariera – mruknął Julian. – Spójrz na moją siostrę. Nawet Nowy Jork nie pomógł jej się dobrze sprzedać. Zresztą Yara spodziewała się, że będzie rozchwytywana, jak tylko się tam pojawi. A z tego, co wiem od Aideny, nie do końca tak to wyglądało.

Z oczywistych względów nie za wiele rozmawialiśmy z Julianem o Yarze przez ostatnie lata. Nie pytałam, co u niej. Nie pytałam też o Aidenę, chociaż wiedziałam, że Julian miał z nim kontakt. W końcu ten był chłopakiem jego siostry. Nawet jeśli bliźnięta nie darzyły się wielką miłością, to mimo wszystko wciąż pozostawały rodzeństwem, a Julian troszczył się o Yarę na swój własny sposób – zwykle za pośrednictwem Aideny, odkąd tylko ta dwójka zaczęła spotykać się ze sobą na serio.

– Yara mówiła coś o Aidenie? – zapytał nagle Riley, zaskakując mnie tym. Nie rozmawialiśmy o nim od dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o jego samobójstwie.

Julian pokręcił głową.

– Nie. Trochę jakby nigdy nie istniał. Może to żaloba, sam nie wiem. Do tańca też wróciła nagle, jakby nigdy nie przestała, i o tym też nie chce gadać. – Wzruszył ramionami. – Ale dość smęcenia. Jutro skopimy tyłki Rycerzom!

\*\*\*

Pierwszy mecz ściągnął jeszcze większe tłumy niż poprzedni towarzyski z Sokołami z Rochester. Teraz już obie drużyny walczyły o punkty w tabeli, więc do Harlow ściągnęło całkiem dużo kibiców Rycerzy. Wraz ze Sloane zajęłyśmy miejsca przy samym lodowisku. Zgodnie z treścią zakładu miałam na sobie koszulkę z nazwiskiem Riley'a na plecach i jego szczęśliwą trzynastką. Czułam się odrobinę dziwnie, jakby wszyscy się na mnie przez to gapili i zastanawiali, co łączy mnie i Riley'a, choć z pewnością nic takiego nie miało miejsca. Przecież wiele osób na stadionie nosiło przeróżne hokejowe koszulki, nie wyróżniałam się więc za bardzo w tłumie.

Włosy splotłam w koronę z warkocza, żeby wyeksponować barwy drużyny i nazwisko Reed. Gdy odsunęłam na bok to irracjonalne skrępowanie, byłam zwyczajnie dumna z mojego kumpla – najlepszego, jakiego kiedykolwiek miałam. Wiedziałam, jak ciężko pracował na swoją formę. Miałam też wrażenie, że na powrót widzę w nim pasję, której brakowało mu zaraz po powrocie do Harlow. Nie mówił mi już o wątpliwościach, o wypaleniu. Myślał za to o przyszłości. Zastanawiał się, co dalej.

Poruszyłam się niespokojnie na plastikowym siedzisku, gdy na lód po kolei wyjeżdżali zawodnicy. Wypatrywałam niecierpliwie Riley'a, który jako najświeższy nabytek zajął miejsce na szarym końcu, tuż przed bramkarzem. Nawet z daleka widziałam napięcie na jego twarzy. Byстрым wzrokiem omiół lodowisko, a potem trybuny i odnalazł mnie w tłumie. Posłał mu buziaka, na co się uśmiechnął.

W pierwszych minutach meczu Wilki grały pewnie, ale nie zdobyły żadnego punktu. Potem natomiast zaczęła się rzeź niewiniątek i niestety Ry miał rację. Kolesie z przeciwnej drużyny byli wielcy, to fakt. Na dodatek prędko zaczęli zapędzać Wilki w kozi róg, z dala od bramki. Zagrywali agresywnie. Było pełno szturchania i fauli. Tym sposobem pierwsza tercja skończyła się bez choćby jednego gola, za to z trzema karami dla Rycerzy.

W trakcie drugiej było niewiele lepiej. Gracze obu drużyn na zmianę siadali na ławce kar, a obaj trenerzy załamywali ręce i nie szczędzili im cichych przekleństw pod nosem, które jednak dało się odczytać z ruchu warg. Wilkom udało się strzelić jednego gola w połowie meczu... A potem już była masakra. Nieustanna agresywna walka o krążek. I tak aż do ostatnich minut meczu, kiedy to Rycerze wbili nam dwa gole, jeden za drugim. Nie zdołaliśmy już tego nadrobić, choć chłopaki uwijały się jak w ukropie, żeby dobić do dogrywki.

Grill na rozpoczęcie sezonu z początku mijał pod znakiem przegranej. Na dodatek połowa drużyny była nieco poobijana, więc kiedy skończył nam się domowy zapas suchego lodu, mama opróżniła zamrażarkę. Calen siedział z mrożonym groszkiem przy obitej szczęce, Weston przytrzymał worek fasolki przy stłuczonym barku, a Riley chłodził ramię szpinakiem. Tata wprawnym okiem ortopedy badał urazy chłopaków, ale żadnemu nic nie groziło poza siniakami.

Z czasem, gdy już wszyscy się najedli, nastroje zaczęły się nieco poprawiać. Początki sezonu bywają ciężkie, a sport to sport. Raz się wygrywa, innym przegrywa i tego typu stwierdzenia wielokrotnie padały przez resztę wieczoru.

Większość graczy przyszła z całymi rodzinami, a potem dołączyli do nas także najbliżsi sąsiedzi. W oczy rzucał się jednak brak dwóch osób. Na grillu nie pojawiła się ani Yara, ani jej mama. Julianowi towarzyszył tylko ojciec, który wcześniej był także na meczu. Obaj trzymali się nieco na uboczu i rozmawiali głównie ze sobą. Po ich minach wnioskowałam, że coś jest wyraźnie nie tak.



## Rozdział 19

### Riley

*Dwa lata wcześniej...*

*Gdy przenieśliśmy się do Harlow, byłem niemal pewny, że to niewielkie miasteczko już zawsze będzie moim domem. Rodzice obiecali mi, że dość przeprowadzek. Tata był chirurgiem naczyniowym z dużymi ambicjami. Z jego powodu pierwsze dwanaście lat życia spędziłem w czterech różnych stanach. W końcu jednak mama się zbuntowała. Chciała gdzieś osiąść, a ojciec się zgodził. Jeśli chciał gdzieś jeszcze jeździć, miał to robić sam. Rodzice na pewien czas przestali się kłócić. Mama dopięła swego i zapuściła korzenie w Harlow. Tata też był zadowolony, bo ten układ go nie ograniczał. Częste delegacje stały się jednak z czasem jeszcze częstsze, mimo etatu w szpitalu. A ja ojca widywałem coraz rzadziej, co nawet było mi na rękę, bo mama zawsze dawała mi nieco więcej swobody.*

*Wszystko zaczęło się psuć mniej więcej dwa lata po naszej przeprowadzce, choć wcześniej nic na to nie wskazywało. A przynajmniej ja niczego nie zauważyłem. W oczach moich rodziców nadal byłem dzieckiem i mama nie narzekała, jednak wieczorami, gdy myśleli, że już śpię, słyszałem, jak się kłócą. Najpierw raz w tygodniu, potem dwa, trzy, aż w końcu dzień w dzień. Tata krzyczał, ona płakała, wtedy on przeproszał. Jeśli był w domu, scenariusz się nie zmieniał. Gdy wyjeżdżał, albo w ogóle nie odbierał, albo znów się kłócili – dla odmiany przez telefon.*

*Wtedy coraz więcej czasu zacząłem spędzać u Camryn. Jej rodzice nigdy się nie kłócili. Byli też chyba jedyną znaną mi parą w wieku moich rodziców, która nadal nie szczędziła sobie czułości. Cam twierdziła, że są obrzydliwi, ale ja uważałem inaczej. Zdecydowanie wolałbym, żeby moi także byli w ten sposób obrzydliwi, jeśli to oznaczałoby spokój.*

*Dzisiaj rano tata wrócił z delegacji, więc niechętnie udałem się po szkole prosto do domu, bo mama mnie o to poprosiła. Chciałem znów pójść do Camryn, ale tym razem się nie zgodziła. Trochę się zdziwiłem, jednak nie zamierzałem się z nią sprzeczać o coś tak błahego. Wiedziałem, że mama dawała mi nad wyraz dużo swobody, więc zawsze spełniałem jej prośby.*

*Już od progu zrozumiałem, że coś się święci. Rodzice siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie przy stole w kuchni. Mama wyglądała na przybitą, a tata... Tata był niewzruszony, choć z jakiegoś powodu nagle wydał mi się starszy. Albo może widywałem go zbyt rzadko, by zauważyć, jak bardzo posiwiiał przez ostatnie miesiące. Brodę miał niemal zupełnie białą, a w ciemnych włosach pojawiło się wiele srebrnych pasm.*

*– Usiądź, Riley – poprosiła mama, wskazując krzesło koło siebie. – Chcemy z tobą o czymś porozmawiać.*

*Moją pierwszą myślą był rozwód. Niedawno rozwiedli się rodzice Knoxa i poinformowali go o tym zamiarze dokładnie w taki sam sposób. Usiadłem więc i czekałem, ale z ust mamy nie padło słowo rozwód, a... przeprowadzka.*

*– Obiecaliście przecież! – zaprotestowałem. – Mieliśmy się już nie przeprowadzać. Mamo... – Spojrzałem na nią błagalnie, ale po jej minie wiedziałem, że decyzja już zapadła. Nie pytali mnie o zdanie.*

Wyłącznie oznajmiali swoją decyzję. – Powiedz chociaż, że do domu... Że przeprowadzamy się do Kolorado.

Rodzice pochodzili z Denver. Tam więc spędziłem pierwsze lata życia. Niewiele z nich pamiętałem, ale co jakiś czas jeździliśmy w te strony w odwiedziny. W Kolorado nadal mieszkali dziadkowie i rodzeństwo mamy, nasza najbliższa rodzina.

– Wyprowadzamy się do Miami – odpowiedziała spokojnym tonem, zupełnie niewzruszona moim wybuchem. – Twój tata dostał propozycję pracy, a i dla mnie się coś znalazło. Za dwa tygodnie musimy się już stawić na miejscu.

– Za dwa tygodnie?! Ale przecież zaraz zaczyna się szkoła.

– I właśnie dlatego to idealny czas na przeprowadzkę – wtrącił ojciec. – Nie będziesz miał zaległości.

– Ale Camryn... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Przykro mi, Ry. To już postanowione. A z Camryn i resztą przyjaciół wciąż możesz utrzymywać kontakt z Miami. Pomyślimy z mamą, czy może mógłbyś przyjechać do Heartów na ferie zimowe.

Oni nic nie rozumieli. Zupełnie nic. Camryn potrzebowała teraz przyjaciół. Tu, na miejscu. Po operacji wciąż poruszała się o kulach, lekarze nie wiedzieli, czy kiedykolwiek zatańczy, a Yara i Aiden za moment wyjeżdżali do Nowego Jorku na stypendium. Nie mogłem i ja jej opuścić. Nie teraz.

– Wy nic nie rozumiecie! – oburzyłem się. – I znowu mi to robicie. Znowu się przeprowadzamy. Nie mogę tej choleralnej szkoły choć raz skończyć w jednym miejscu?

– Riley! – upomniał mnie tata. – Uważaj na słowa.

– Ale to prawda! – Nie ustępowałem. – Za każdym razem ta sama śpiewka. Że sobie poradzę, że będę miał kontakt z kolegami, i co? I gównu. Za każdym razem.

– Riley, proszę, to nie była dla nas łatwa decyzja, musisz nam uwierzyć – powiedziała mama, chwytając moją dłoń, ale ją wyszarpnąłem.

– Nie, nic nie muszę. Już za dużo razy się na to nabrałem.

Wstałem gwałtownie od stołu, zawołałem Atlasa i poszedłem do jedynej osoby, która mogła mnie teraz pocieszyć. Do Camryn Heart. Do mojej najlepszej przyjaciółki, opoki... Do dziewczyny, w której się zakochałem.



## Rozdział 20

### Camryn

Yara nie pojawiła się w poniedziałek na pierwszej lekcji. Ani na następnej. Dostrzegłam ją dopiero w porze lunchu. Siedziała razem z resztą dziewczyn ze szkoły baletowej, ale nie było wśród nich Isabelle. Spojrzała na mnie, gdy przechodziłam obok niej, jednak nie odezwała się nawet słowem. Ktoś mógłby pomyśleć, że po tylu latach czegoś, co nazywałyśmy przyjaźnią, zasłużyłam chociaż na nędzne „cześć”. Nic z tego.

Riley i Julian mieli udać się w trakcie przerwy lunchowej na spotkanie z trenerem, więc Sloane stwierdziła, że zjemy na zewnątrz, bliżej hali sportowej. Rozsiadłyśmy się z pudełkiem drożdżówek, które dziewczyna zgarnęła rano z piekarni prowadzonej przez jej mamę, i wygrzewałyśmy się na słońcu, pałaszując słodkości. Kiedyś nie pokusiłabym się o taki posiłek, ale teraz nie musiałam już tak dbać o to, co jem. Czasem jednak nadal łapałam się na tym, że górę brały stare nawyki. Nie było łatwo tak zwyczajnie się ich pozbyć.

Po trzech drożdżówkach z czekoladą było mi już tak słodko, że zaczynało mnie mdlić i tylko dlatego odpuściłam sobie zjedzenie kolejnej. Miałyśmy jeszcze kupę czasu do następnej lekcji. Opadłam więc plecami na trawę, zamykając oczy. Raziło mnie słońce, ale nie miałam jeszcze ochoty wracać do środka. Zresztą chłopaki mogły się pojawić w każdej chwili.

– Camryn, możemy pogadać? – Usłyszałam nagle nad sobą i usiadłam. Osłoniłam twarz dłońmi, żeby spojrzeć na Isabelle. W poprzecieranych dżinsach i zwykłej szarej bluzie przypominała Izzy, z którą się kiedyś kolegowałam.

– O czym? – zapytałam chłodno, mrużąc oczy. Powinnam powiedzieć, żeby spadała, jednak kierowała mną ciekawość. Może też naiwność? Nigdy nie zakładałam z góry czyichś złych intencji, a przynajmniej starałam się tego nie robić. Wręcz przeciwnie – miałam wielką nadzieję, że chcieli dobrze.

Isa spojrzała znacząco na Sloane, ale ta nie miała zamiaru się ulotnić. Za to spięła się tak, jakby szykowała się do odparcia ataku. Między innymi właśnie dlatego kochałam Sloane jak siostrę. Zawsze mogłam na nią liczyć.

– Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, Sloane zostaje – wyjaśniłam. – To jak?

Moja była przyjaciółka zaczęła nerwowo wyłamywać smukłe palce. Isa była wyższa ode mnie, więc gdy stała, a ja siedziałam na ziemi, czułam się nieco niezręcznie, ale nie dałam po sobie poznać, że wywołuje to u mnie dyskomfort. Zamiast tego czekałam, mrużąc oczy w słońcu.

– Riley miał rację – odezwała się cicho. – W głębi duszy chyba wiedziałam, że nie zrobiłabyś tego Yarze, ale... – Przymknęła na moment powieki i wzięła głęboki oddech, zanim na powrót na mnie spojrzała. – Tak łatwo było cię zniechęcić. Zawsze tak bardzo ci zazdrościłam. Miałam wrażenie, że nawet nie musisz się starać, a i tak wylądujesz z główną rolą. Wszyscy byli tobą zachwyceni.

Zalała mnie fala żalu. Poświęciłam tak wiele, by stać się najlepszą, ale i to nie wystarczyło. Co z tego, że wypruwałam sobie żyły, skoro nikt tego nie dostrzegł, nawet jedna z moich najbliższych koleżanek. Nic

jednak nie przychodziło samo. I nie przychodziło łatwo.

– Jeśli próbujesz mnie właśnie przeprosić, to robisz to bardzo pokrętnie – stwierdziłam.

– Masz rację – westchnęła Isa. – Ja... Ja powinnam się domyślić, że to stek bzdur. Nie jesteś taka. Nigdy nie byłaś, prawda?

Poczułam, jak ogarnia mnie gniew. Zrobiło mi się gorąco.

– Naprawdę mnie o to pytasz? – wybuchnęłam. Było mi obojętne, że robię scenę. W tym momencie wezbrał we mnie cały ten żal, który skrzętnie ukrywałam przez dwa lata. Czułam, jak mocno bije mi serce. Jakby starało się nadążyć za galopadą myśli. – Teraz? Dwa lata po fakcie? Znamy się od przedszkola, Izzy.

Isabelle przysiadła obok mnie na trawie, skracając dystans. Było to z jej strony odważne posunięcie, bo miałam ochotę nią potrząsnąć.

– Byłam głupia, Cam, wiem. – Przymknęła oczy, a gdy je otworzyła, zauważyłam, że zrobiły się szkliste. Zniknęła wyniosła Isabelle, którą widywałam przez ostatnie dwa lata. Na powrót miałam przed sobą kumpelkę z przedszkola, z którą bawiłam się lalkami Barbie i układałam klocki Lego. – Tak bardzo źle cię oceniłam.

– I potrzebowałaś, żeby Riley ci to uświadomił? – zapytałam z wyrzutem. – Jeszcze w sobotę to ty chciałaś przekonać jego, że jestem tą złą. Co się zmieniło?

Isabelle nie odpowiedziała od razu, a mnie przyszło do głowy, że musiało mieć to jakiś związek z Yarą. Yara, która po powrocie ponownie stała się naturalną liderką paczki ze szkoły baletowej. Tym samym wskoczyła na miejsce Isabelle. Gdy zabrakło mnie i Yary, to ona była najlepsza.

– Yara powiedziała mi coś, co dało mi do myślenia – stwierdziła w końcu Isa.

– Co takiego? Nie namaściła cię na wiceprezeskę klubu zołż? – wtrąciła butnie Sloane, a Isabelle, zupełnie zbita z tropu, posłała jej zaskoczone spojrzenie. – Nie udawaj, Isabelle. Świetnie się bawiłaś pod jej nieobecność. Miałaś posłuch wśród dziewczyn, bo cię podziwiała. A teraz jest ktoś lepszy, komu wolą się przypodobać.

Isabelle zacisnęła wargi tak mocno, że zmieniły się w wąską linię. Chwilę zajęło, nim odzyskała rezon.

– Nie – rzuciła dużo mniej przymilnie niż z początku. Patrzyła na Sloane, jakby miała ochotę ją udusić. – Powiedziała, że mnie będzie się pozbyć dużo łatwiej niż ciebie. I zrobiła to.

Zamrugałam. Yara nie zachowywała się jak ktoś, kto chwilę temu pochował ukochanego człowieka. Nie mieściło mi się w głowie, że wciąż uciekała się do gier. Najpierw ja, teraz Isabelle. Isabelle, która jeszcze niedawno wydrapałaby mi oczy w imię kłamstwa, które dziewczyna jej wmówiła. A więc Julian miał rację. Te dwie rzeczywiście musiały się posprzeczać.

– Jak? – zapytałam cicho.

– Jak to jak? – prychnęła Isa. – Właśnie się dowiedziałam, że dostała moją rolę w *Dziadku do orzechów*. Dzisiaj po południu mieliśmy mieć pierwszą próbę.

Wyglądała, jakby miała się rozpłakać. *Dziadek do orzechów* był ulubionym baletem Isabelle. Dzięki niemu zaczęła tańczyć i marzyła o głównej roli w nim.

Yara po raz kolejny dopięła swego. Najpierw zajęła moje miejsce, a potem Isabelle, choć jeszcze niedawno nic nie wskazywało na to, że będzie jeszcze tańczyć. Przystawałam już cokolwiek z tego rozumieć.

– I teraz już mi wierzysz? – zapytałam.

– Wierzę – odpowiedziała i pociągnęła nosem.

\*\*\*

To był pierwszy wieczór, jeśli nie liczyć tych, które tak czy siak spędzałam z Rileyem, kiedy nie czekałam na chłopaka na tarasie. Zamiast tego leżałam na łóżku w moim pokoju, gapiąc się na koślawe gwiazdy na suficie.

Wciąż myślałam o rozmowie z Isabelle i rozkładałam na czynniki pierwsze wszystko, co od niej usłyszałam. W mojej głowie rozbrzmiewały słowa:

*Powiedziała, że mnie będzie się pozbyć dużo łatwiej niż ciebie.*

Pozbyć? Zajęła moje miejsce, bo miałam wypadek i nie mogłam tańczyć, ale to, co zrobiła Isabelle, to już był zupełnie inny kaliber. Między nami baletnicami zawsze panowała ostra rywalizacja. Oczywiście, że każda chciała dla siebie główną rolę. Nigdy jednak nie rzucałyśmy sobie kłód pod nogi. Wręcz przeciwnie

– uczyliśmy się od siebie. Co się zmieniło?

Byłam tak zagubiona we własnych myślach, że aż podskoczyłam, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołałam i usiadłam na łóżku.

Pierwszym, co zobaczyłam, był futrzasty pysk Atlasa. Pies szczeknął radośnie na mój widok. Zaraz za nim wszedł Riley. Miał na sobie dresy, więc musiał wracać ze swojej cowieczornej przebieżki.

– Nie widziałem cię na dole, więc pomyślałem... – zaczął, nagle zmieszany, jakby podjął decyzję pod wpływem impulsu i teraz przestał być jej pewny.

– W porządku – uspokoiliam go. – Nie gniewam się, że wpadłeś. W zasadzie to chyba przyda mi się towarzystwo, bo mam wrażenie, że zaraz eksploduje mi głowa.

– Chcesz pogadać? – zapytał, przysiadając na skraju łóżka. Atlas za to zrobił dwa kółka i położył się na miękkiej wykładzinie, tuż koło nóg swojego pana.

Opowiedziałam Rileyowi o rozmowie z Isabelle. Nie chciałam mu o tym mówić przy Julianie. Relacje między moim przyjacielem a jego siostrą były wystarczająco napięte i bez tego.

– To bardzo podobne do Yary, nie sądzisz? Wypychanie konkurencji – prychnął.

– Była moją dublerką, oczywiście, że musiała zająć moje miejsce – zauważyłam. – Z Isabelle to zupełnie co innego.

– Jesteś pewna?

Westchnęłam cicho.

– Weszła na moje miejsce, bo ja nie mogłam tańczyć. Mogę jej za to nie znosić, mogę jej zazdrościć, ale to był tylko wypadek, prawda?

Riley nie zgodził się ze mną ani nie zaprzeczył. To powinno dać mi do myślenia, jednak w tym konkretnym momencie moje myśli krążyły już tylko wokół dnia, który przekreślił moją dalszą karierę.

\*\*\*

*Dwa lata wcześniej...*

*W dzień próby generalnej ogarnął mnie taki stres, że ledwo cokolwiek zjadłam. Julian w trakcie lunchu wmusił we mnie batonika proteinowego i dał mi też jeden na później.*

*– Musisz jeść, Cammie – przypomniał. – Inaczej zaczniesz ci się kręcić w głowie od tych wszystkich obrotów.*

*Wstał, demonstracyjnie zrobił mało zgrabny piruet, wywołując tym samym mój śmiech, po czym usiadł ciężko na krześle obok. Ry się spóźniał. Musiał poprawić ostatni sprawdzian z fizyki, jeśli chciał zagrać w kolejnym meczu. Trener bardzo pilnował ocen swoich zawodników i jeżeli nie były zadowolające, odsyłał gracza na ławkę rezerwowych.*

*– Jem, widzisz? – rzuciłam po tym, jak przeżułam duży kęs batonika.*

*Chłopak posłał mi w odpowiedzi znaczące spojrzenie i wrócił do swojej porcji sałatki makaronowej. Julianowi akurat zawsze dopisywał apetyt.*

*– Widziałeś dziś Yarę albo Aidenę? – zagaiłam, mniąc w dłoni plastikowe opakowanie po przekąsce.*

*– Chciałam z nim pogadać przed próbą, a wiesz, że oni się niemal ze sobą nie rozstają.*

*Julian wzruszył ramionami.*

*– Widziałem Yarę rano, ale wychodziłem pierwszy z tatą, więc z nią nie gadałem. Zresztą od tygodnia jest taka nerwowa, że raczej usuwam się jej z drogi. – Skrzywił się. Julian i Yara byli pełnym zaprzeczeniem stereotypu bliźniąt. Przez większość czasu ledwo się znosili.*

*Na Aidenę natknęłam się dopiero w sali treningowej. Zwykle to ja byłam pierwsza, jednak dzisiaj mnie ubiegł.*

*– Już myślałam, że się przede mną ukrywasz – zażartowałam i usiadłam koło niego, żeby założyć pointy. – Miałam nadzieję, że zanim pojawi się reszta, może uda nam się przećwiczyć jeszcze raz to podnoszenie w pas de deux?*

*– Taa, jasne, możemy – odparł obojętnie. Wydawał się dziwnie rozkojarzony. Zupełnie jak nie Aiden, którego znalazłam od lat. Zawsze był skupiony i dokładny, dlatego tak lubiłam z nim tańczyć. Dzisiaj jednak wyraźnie nie był sobą.*

*– Wszystko w porządku, Aiden? – zapytałam, poważniejąc. – Wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać, prawda? Coś z Yarą?*

– *Nie – odpowiedział z mocą i wstał. – Nie o wszystkim mogę z tobą rozmawiać, Cam.*

*Zamrugalam zaskoczona.*

– *Jeśli nie chcesz, to oczywiście nie musisz – wybąkałam, zupełnie zbita z tropu jego wybuchem. – Po prostu pomyślałam...*

– *Źle myślałaś – przerwał mi. – Przecwiczmy lepiej to podnoszenie.*

*Nie odezwałam się już słowem, tylko dokończyłam wiązanie wstążek i podeszłam do wieży, żeby włączyć muzykę. Wzięłam głęboki wdech, po czym zaczęłam wykonywać kolejne elementy choreografii, aż dotarliśmy do podnoszenia. Z gracją wyprężyłam ciało w rękach Aideny, przyjmując pozycję, po czym gładko wylądowałam.*

– *Brawo! – pochwaliła nas pani Blanchard, która musiała stać w progu już dłuższą chwilę. – Zatańczcie tak jutro wieczorem, a nauczyciele z Nowego Jorku padną z wrażenia!*

*Nowy Jork. Właśnie tam chciałam się znaleźć od przyszłego roku szkolnego.*





## Rozdział 21

### Camryn

*Dwa lata wcześniej...*

*W weekendy na salę treningową zawsze przychodziłam pierwsza. Do Duluth jechałam wcześniejszym pociągiem niż Yara i Aiden, a na miejscu witałam się z podstarzałym portierem, panem Jonesem, który wręczał mi z uśmiechem klucz.*

*– Dzień dobry, Camryn – odpowiedział na moje zwyczajowe powitanie. – Co u rodziców? Jak się ma doktor Heart?*

*Pan Jones był pacjentem mojego taty. Parę lat temu spadł z drabiny, gdy pomagał zięciowi w ogrodzie, i złamał nogę. Tata go operował, a potem pomógł mu wrócić do pełnej sprawności. Zawsze ucinali sobie pogawędkę, jeśli akurat nadarzyła się ku temu okazja. Mnie za to traktował ze sporą dozą sympatii.*

*– Wszystko u nich dobrze, panie Jones – zapewniłam. – A jak się pan miewa?*

*– Drogie dziecko, w tym wieku, jeśli dałem radę sam wstać z łóżka, to jest wspaniały dzień.*

*Zachichotałam. Co tydzień udzielał mi dokładnie takiej samej odpowiedzi.*

*Pożegnałam się z nim i pobiegłam po schodach na górę. Pomieszczenia szkoły baletowej znajdowały się na ostatnim piętrze kamienicy, więc na start miałam już krótki trening kardio.*

*Drzwi do sali zaskrzyptały, gdy je otworzyłam. Przez wysokie okna wpadało dużo światła, przez co szybko robiło się tu duszno. Otworzyłam kilka z nich na końcu pomieszczenia i rzuciłam w kąt swoje rzeczy, po czym usiadłam na podłodze, żeby trochę się porozciągać, uprzednio odpalając stoper.*

*Po kilku minutach rozgrzewki schowałam adidas do torby i wyciągnęłam pointy. Wczoraj wieczorem musiałam trochę podszyć wysłużone już wstążki, zalałam też boki klejem, ale reszta wyglądała okej. Miałam jeszcze jedną parę do dobiecia, a nowe oszczędzałam na premierę za trzy tygodnie. Musiałam do tego czasu jakoś dotrwać w zużytych.*

*Stałam przy drążku i zaczęłam swoją typową sekwencję. Kilka demi plié, grand plié, battement tendu, tendu jeté, rond de jambe par terre, adagio i grand battement. Tak zastała mnie madame Blanchard.*

*– Jak zwykle jesteś wcześniej – zauważyła z uśmiechem. – Pan Jones powiedział mi, że byłaś tu już dobre pół godziny temu.*

*– Chciałam trochę poćwiczyć partię Odylii. W domu nie mam na to tyle miejsca.*

*– Śmiało. – Kivnęła głową w stronę środka sali. – Mamy jeszcze z kwadrans, zanim reszta zacznie się schodzić.*

*Czułam się lekko speszona. Wiedziałam, że madame Blanchard nie umknie żaden błąd. Była wymagającą nauczycielką, bardzo dokładną. Samo to, że przydzieliła mi główną rolę, stanowiło z jej strony najwyższą formę uznania. Wiązało się to jednak z tym, że oczekiwała ode mnie jeszcze więcej – więcej zapału, więcej precyzji – dlatego niezmordowanie ćwiczyłam w kółko te same sekwencje. Przychodziłam wcześniej i, jeśli była taka możliwość, zostawałam dłużej.*

*Robiłam jedno fouetté za drugim, cały czas pilnując każdego ruchu i lądowania w tym samym*

miejscu. Śledziłam wzrokiem płamę na ścianie, będącą moim punktem odniesienia, i liczyłam w myślach. Po zakończonej sekwencji spojrzełam wyczekująco na nauczycielkę.

*Madame Blanchard klasnęła dwa razy w dłonie i podeszła bliżej.*

*– Musisz trochę rozluźnić ręce – poleciała. – Poruszasz nimi sztywno i przez to nie nadążasz za nogą.*

*Po tych słowach poruszyła dłońmi, jakby wykonywała obrót. W każdym jej geście można było dostrzec finezję, którą dało się osiągnąć jedynie długimi latami nauki.*

*– Pomyśl o tym, co Odylia chce osiągnąć tym tańcem – ciągnęła. – Chce zdobyć księcia. Zaimponować mu i odebrać go Odette. Musisz włożyć w każdy gest całą pewność siebie, jaką masz, tak żeby inni też w nią uwierzyli. Żeby widownia uwierzyła w twoją determinację. I masz zrobić to z uśmiechem na ustach, Camryn, bo Odylia jest przekonana o swojej wygranej. Ty też musisz być.*

*– Brzmi jak opis tańca godowego pawia. – Skrzywiłam się.*

*– Bo nim właśnie jest – stwierdziła, lekko rozbawiona moim porównaniem. – Paw rozkłada kolorowy ogon, a Odylia tańczy. Ty tańczysz. I masz sobie wytańczyć drogę do serca Zygryda. Nie myśl o tym wyłącznie jak o choreografii. Musisz poczuć w sobie to pragnienie Odylii, by Zygryd poprzysiągł jej miłość, tym samym skazując Odettę na cierpienie. Jesteś w stanie to zrobić?*

*Przytaknęłam gorliwie, po czym na powrót przyjąłam pozycję wyjściową. Odetchnęłam głęboko, myśląc o wszystkim, co powiedziała madame Blanchard. W głębi duszy kibicowałam Odette, ale moja nauczycielka miała rację, musiałam zrozumieć także Odylię, wczuć się w jej pragnienia. Gdy teraz wykonywałam kolejne obroty, nie myślałam już wyłącznie o technikaliach, a o celu. O Zygrydzie. O mitycznym księciu. O wyeliminowaniu Odetty. W mojej głowie zniknęła sala treningowa. Byłam na balu, a parkiet skąpany w blasku szklanych żyrandoli migotał mi przed oczami. Byłam Odylią, Czarnym Łabędziem i zgubą kochanków.*

*Kiedy się zatrzymałam, w drzwiach dostrzegłam Aidenę i Yarę. On posłał mi uśmiech na powitanie, ale Yara... Yara patrzyła na mnie, jakbym właśnie odebrała jej księcia.*

\*\*\*

Obudziłam się w środku nocy zlaną potem. Wilgotne włosy kleiły mi się do czoła, a noga pulsowała. Wyprostowałam ją i syknęłam z bólu, który promieniował już na całą łydkę. Czułam, jak do oczu napływają mi łzy. Zaciśnęłam szczęki i wyciągnęłam się na tyle, żeby sięgnąć do stolika nocnego. Nadal nie miałam vicodinu, więc musiałam zadowolić się słabszymi lekami przeciwbólowymi. Połknęłam od razu dwie tabletki i przymknęłam powieki.

Noga ostatnio dokuczała mi bardziej niż zwykle. Wszystko zaczęło się parę tygodni temu, gdy upadłam w ogrodzie u dziadków. Od wypadku miewałam okresy nasilonego bólu, ale nie aż tak. Nie z taką częstotliwością. Zrzucałam to na dawny uraz, ale zaczynałam się zastanawiać, czy słusznie. Nie powinno mnie tak boleć, co do tego byłam przekonana.

Gdy leki zaczęły działać, udało mi się jeszcze trochę zdrzemnąć, ale zaraz po piątej już sączyłam kawę na dole.

*– Co tak wcześnie dzisiaj? – zapytał tata, wchodząc do kuchni. Zaraz stłumił ziewnięcie.*

*– Obudził mnie w nocy ból w łydce. Marnie spałam – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.*

*Zmarszczył brwi i przyklęknął koło mnie.*

*– Pokaż tę nogę, Cammie.*

*Uniosłam nogawkę spodni, a tata zaczął uciskać nogę w różnych miejscach, pytając, czy boli. Bolało.*

*– Doktor Veyette ma dziś dyżur. Zrobimy ci USG i zobaczymy, co tam się zadziało – powiedział w końcu i wstał. – Pójdę się tylko przebrać.*

Przytaknęłam bez oporów. Słowa taty sprawiły, że nawet poczułam lekką ulgę. To znaczyło, że nie zwariowałam już do reszty i coś rzeczywiście mogło być nie tak.

Pięć minut później siedzieliśmy w samochodzie. Po drodze dałam znać chłopakom, że nie wiem, czy i o której pojawię się w szkole. Było jednak za wcześnie, żeby którykolwiek mi odpisał.

Doktor Veyette przyjęła mnie od ręki. To głównie ona była odpowiedzialna za moje leczenie, choć tata z oczywistych względów mocno się angażował. Także dzisiaj miała przeprowadzić badanie. Ojcu trudno było traktować mnie wyłącznie jak pacjentkę.

*– Nie musisz ci chyba udzielać instrukcji, co, Camryn? – zagadnęła mnie pogodnie, gdy siedziałam*

już na kozetce w gabinecie.

– Nie – odpowiedziałam, zdejmując buty i skarpetki. Specjalnie założyłam luźne, materiałowe spodnie, więc tylko musiałam je podciągnąć.

– W porządku? Wygodnie ci? – zapytała jeszcze przed uruchomieniem maszyny do USG. – Możliwe, że nabawiłaś się jakiegoś mikrourazu. Tata mówił mi, że kilka tygodni temu się przewróciłaś. Od tego czasu ból jest częstszy?

– Dawno nie bolało tak bardzo – przyznałam niechętnie.

– Rozumiem. – Lekarka ściągnęła brwi w skupieniu, nakładając żel na moją nogę. – Zobaczymy, co się dzieje.

Przytaknęłam i słuchałam jej kolejnych poleceń. Po kwadransie było po wszystkim. Po kolei wyświetliła kilka zdjęć na dużym ekranie i przyjrzała im się dokładnie, mrużąc przy tym oczy.

– Tutaj. – Pokazała palcem. – Naderwałaś ścięgno Achillesa, Camryn. Wygląda na przechodzony uraz, nic dziwnego, że tak cię bolało. Skonsultuję to jeszcze z twoim tatą, dobrze? Możesz poczekać na zewnątrz.

Ubrałam się i wyszłam na korytarz. Tata już stał pod drzwiami gabinetu, a potem zniknął w środku na całą wieczność, a przynajmniej tak mi się wydawało. Czekałam jak na ścięcie, bo wiedziałam, że jeśli doktor Veyette chce z nim porozmawiać, to temat nie zakończy się na kilku zastrzykach przeciwbólowych.

Kiedy tata opuścił gabinet, wiedziałam już wszystko po samej jego minie. Czekala mnie kolejna operacja.



## Rozdział 22

### Camryn

Termin operacji doktor Veyette wyznaczyła na następny dzień, więc zostałam już w szpitalu. Szczęśliwie oznaczało to kroplówkę i końską dawkę przeciwbólowych, które od razu mnie uspiły. Gdy się obudziłam, zobaczyłam trzy nieodebrane połączenia od Riley'a. Zerknęłam na zegarek. Lekcje trwały już w najlepsze, a Ry miał teraz francuski. Napisałam mu więc krótką wiadomość z informacją, że u mnie wszystko okej. Nie minęły dwie minuty, a już do mnie oddzwonił.

– Ry, czy ty nie powinieneś być teraz w klasie? – zapytałam na powitanie.

– Powinienem – odpowiedział półszepem. W tle mogłam usłyszeć echo jego kroków. – Wziąłem przepustkę do toalety, żeby do ciebie zadzwonić.

– Ry... – Westchnęłam, choć nie ukrywałam, że trochę mnie tym rozbawił. I może odrobinę rozczulił. Ale tylko tak ciut. – To naprawdę nie było konieczne.

– Jak się czujesz? – Zignorował moją uwagę.

– Dostałam silne leki przeciwbólowe, więc udało mi się trochę przespać. Jest lepiej.

– Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Coś ci przywieźć po szkole?

Uśmiechnęłam się pod nosem. Potrafił być naprawdę słodki i kochany.

– Nie trzeba, serio, mama po pracy podrzuci mi torbę z rzeczami – zapewniłam go. – Wracaj do klasy, Ry, zanim dostaniesz szlaban. Trener nie byłby zadowolony, gdybyś trening spędził w kozie.

– Obiecuj, że dasz znać... – zaczął, ale nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Dam, a teraz wracaj.

Zaśmiał się cicho. Zrobiło mi się jakoś cieplej na ten dźwięk.

– Okej, okej – zgodził się. – Wpadnę do ciebie po szkole.

– Nie musisz...

– Ale chcę. Do zobaczenia, Cam – powiedział i rozłączył się, zanim zdążyłam kolejny raz zaprotestować.

Po południu mama przywiozła mi rzeczy, tak jak obiecała, i posiedziała ze mną trochę, ale nie odzywałyśmy się do siebie za wiele. Wiedziałam, że się martwi, ale rozmowa o tym w niczym by nam nie pomogła. Niczego by nie zmieniła.

Po szkole wpadł do mnie także Elliot. On też głównie milczał, co już kompletnie mnie dobijało, bo był raczej gadułą.

– Słodki jeżu w malinach, oboje z mamą jesteście dziś tacy cisi, jakbym co najmniej znajdowała się na łożu śmierci. – Nie wytrzymałam w końcu. – Co jest?

– Jest trochę tak jak dwa lata temu – stwierdził. – Rodzice też się tak zachowują.

Skrzywiłam się. Sama byłam zdania, że dwa lata temu wyglądało to dużo gorzej. Przede wszystkim miałam wtedy otwarte złamanie, dużo poważniejsze niż naderwane ścięgno. Na szczęście przez leki niewiele z tego pamiętałam.

– Nic mi nie będzie. Poskładają mnie i będę jak nowa.

Elliot posłał mi powątpiewające spojrzenie.

– Ostatnim razem też tak miało być, a już nie tańczysz.

Miał rację. Wtedy nawet w to wierzyłam. Musiałam wierzyć. Tak samo jak teraz. Starłam się nie myśleć o późniejszej rehabilitacji i jej efektach. Nie mogłam znów sobie tego robić.

– To co innego, Elliot – zapewniłam brata, tłumiąc tym samym własne obawy, i poczochrałam pieszczotliwie jego blond włosy. Elliot po wypadku był dla mnie dużym wsparciem. Zbliżyliśmy się do siebie wtedy bardziej niż kiedykolwiek. Byliśmy mocniej zżyci niż większość rodzeństwa w naszym otoczeniu. – Nie masz dzisiaj treningu?

– Nie – odpowiedział, próbując doprowadzić swoją fryzurę do ładu. – Dopiero jutro.

– Powinieneś zagadać z Rileyem, żeby trochę z tobą potrenował. Może w weekend?

Bursztynowe oczy Elliota aż zabłyszczały z ekscytacji.

– Sądziś, że się zgodzi? – zapytał niepewnie.

– Pewnie, że się zgodzi. – Do tego byłam akurat całkowicie przekonana. Riley traktował Elliota jak młodszego brata. Nie wyobrażałam sobie, że mógłby mu odmówić, wiedząc, ile sprawia to chłopakowi frajdy. – Powinien niedługo tu być. Może na niego zaczekasz?

– Ry tu przyjdzie? Między wami coś jest, no nie?

Poczułam, jak zdradziecki rumieniec wypływa na moje policzki. Zapierałam się rękami i nogami, ale... Nie potrafiłam oszukać serca, które trzepotało jak pisklę uwięzione w klatce na samą myśl o tym, że go dziś zobaczę. Stopniowo docierało do mnie, co to oznaczało. *Zakochiwałam się w Rileyu Reedzie*. Z tego miejsca nie było już odwrotu i wiedziałam o tym. Przerazało mnie to jednak dużo mniej, niż się tego spodziewałam. Bałam się tak wielu rzeczy, ale nie tego. Już nie.

– Sama nie wiem – odpowiedziałam wymijająco. Nie zaprzeczyłam. To wystarczyło Elliotowi, bo spojrzał na mnie ze znaczącym uśmiechem.

– Czyli mam rację.

– Oj, daj spokój. – Szturchnęłam go lekko w ramię. – Daj żyć.

– Dobra, dobra. Na razie ci odpuszczę.

– Jakiś ty litościwy, braciszku – zakpiłam i akurat w tym momencie do sali wszedł Riley. O wilku mowa.

Jego twarz rozpromieniła się na mój widok. Wyglądał, jakby przybiegł tu prosto z treningu. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, miał też przekrzywiony kaptur, a policzki zaczerwienione z wysiłku. Musiał się naprawdę spieszyć.

– Hej, Cammie! Cześć, Elliot! – zawołał od progu. Całe szczęście, że reszta łóżek w sali była pusta i miały się zapełnić dopiero jutro, jeśli nic się nie wydarzy. – Chciałem ci przywieźć coś słodkiego, ale rozmawiałem z twoją mamą i powiedziała, że nie możesz nic jeść przed operacją. Więc wziąłem tylko pracę domową dla ciebie.

Mój mózg zawiesił się na pierwszym zdaniu. Zamrugiałam.

– Rozmawiałeś z moją mamą? – zdziwiłam się.

– Coś nie tak? – zapytał, marszcząc brwi, jakby się zastanawiał, czy może jednak zrobił coś, czego nie powinien.

– Nie, jasne, że nie – zreflektowałam się. – Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nie wiedziałam, że masz do niej numer.

– Nie miałem – odparł. – Poprosiłem swoją mamę, żeby mi go podała.

– Och... – Tylko tyle zdołałam wykrztusić. Riley zadzwonił do mojej mamy wyłącznie po to, żeby zapytać, czy może mi coś przywieźć. Potrzebowałam chwili, żeby to przetrawić. Z opresji wybawił mnie brat.

– Ry, może znalazłbyś czas w weekend, żeby trochę ze mną potrenować? – zagadnął. – Trener każe mi popracować nad podaniami.

Rileya wyraźnie zbiła z tropu nagła zmiana tematu, ale szybko się zreflektował i spojrzał na mnie, jakby chciał zapytać o zgodę. Skinęłam nieznacznie głową. Wiedziałam, że dla Elliota trenowanie ze starszym kolegą będzie nie tylko wyzwaniem i nauką, ale też sprawi mu dużo satysfakcji. Byłam pewna, że pochwali się tym potem kumplom. Pewnie trochę wyolbrzymi co nieco, jednak trudno go winić. Naprawdę

podziwiał Rileyę.

– Jasne – zgodził się Ry i uśmiechnął ciepło do Elliota. – Znam dobre miejsce, w którym moglibyśmy trochę poćwiczyć. Nie przeszkadza ci przesiadka na rolki? To nie to samo, ale na taki trening ujdzie.

– Pewka, wszystko jedno. – Mój brat prawie podskakiwał z ekscytacji na taborecie. – Może Cam mogłaby do nas dołączyć? – wypalił, ale zaraz potem spojrzał na moją nogę i posmutniał.

– Jeśli znajdziecie dla mnie miejsce, to mogę wam towarzyszyć jako motywator. Krzyknę czasem, że gracie jak ostatnie patałachy albo coś – zaproponowałam, obracając całą sytuację w żart. Nie chciałam, żeby Elliot potem sobie wyrzucał, że powiedział coś nie tak.

– Jak patałachy, mówisz? – Ry uniósł zaczepnie jedną brew, w lot podchwycił moją grę. – Jak myślisz, Elliot? Udowodnimy jej, że się myli?

– Bez dwóch zdań – odpowiedział chłopak i przybił z Rileyem piątkę.

Mogłam się tylko roześmiać i właśnie tego śmiechu potrzebowałam, żeby zapomnieć o czekającej mnie operacji.

\*\*\*

Noc miałam niespokojną. Budziłam się co chwilę, aż w końcu tuż po szóstej ze snu na dobre wyrwała mnie pielęgniarzka robiąca obchód. Wiedziałam, że już nie zasnę, więc od razu poszłam wziąć prysznic, żeby przygotować się do zabiegu. Staralam się też zignorować głód. Nie miałam nic w ustach od wczorajszego poranka, jeśli nie liczyć niewielkich ilości wody.

Chwilę przed ósmą przyszła po mnie mama Rileyę, żeby zabrać mnie na blok.

– Twój tata poprosił, żebym to ja ci towarzyszyła – wyjaśniła i uśmiechnęła się ciepło. – Gotowa?

– Bardziej nie będę – odpowiedziałam, czując, jak żołądek skręca mi się ze stresu.

Zimny stół operacyjny przyprowadził mnie o dreszcze, gdy tylko się na nim położyłam. Żadnym sposobem nie dało się ułożyć na nim tak, żeby było wygodnie, a każda pozycja wydawała się dziwnie nienaturalna.

– Jak się czujesz, Camryn? – zapytał mnie anestezjolog, którego nazwiska nie potrafiłam sobie przypomnieć. Rodriguez? Ramirez? Coś w tym stylu.

– Dobrze – odpowiedziałam mimo stresu ściskającego żołądek.

– Podam ci zaraz znieczulenie i spokojnie sobie zaśniesz. Możesz poczuć lekki chłód, gdy je wstrzyknę, w porządku? – Mówił spokojnym, kojącym tonem. Mógłby czytać dobranocki.

– W porządku – potwierdziłam, mimowolnie zaciskając dłonie w pięści.

– Twój tata czeka zaraz za drzwiami – poinformowała mnie doktor Veyette. Jej włosy skrywał czepek, a większość twarzy przesłaniała maska, więc widziałam tylko jej ciepłe, brązowe oczy. – Gdy się obudzisz, będzie po wszystkim.

Poczułam chłód w dłoni, gdy po moim ciele zaczęło rozlewać się znieczulenie. Nagle wszystko stało się dziwnie ciężkie i odrętwiałe. Głowa, powieki, w końcu język. Odpląnąłam.

\*\*\*

W tle słyszałam szelest opakowania i głośne chrupanie. Ktoś jadł chipsy. Wciąż miałam ciężkie powieki, a gardło było podrażnione po intubacji, ale poza tym czułam się okej, nie licząc wrażenia sztywności w nodze.

Zamrugałam, oslepiona jasnym światłem jarzeniówek. Próbowalam unieść się na łokciach, jednak ciało pozostawało jeszcze zbyt ospałe i wiotkie. Odpuściłam więc sobie i rozejrzałam się wokół na tyle, na ile pozwalała mi na to pozycja.

Przy stoliku na środku ktoś rzeczywiście jadł chipsy. A dokładniej mój tata.

– Obudziłaś się – zauważył i wytarł ręce w lekarski fartuch, podchodząc do mnie. – Jak się czujesz?

– Jest okej – odpowiedziałam. – Dałbyś mi, proszę, trochę wody?

Pomógł mi zmienić pozycję na półleżącą i podetknął butelkę wody ze słomką. Upiłam ostrożnie niewielki łyk.

– Doktor Veyette powiedziała, że wszystko poszło zgodnie z planem. Teraz jakiś czas będziesz miała nogę w gipsie, więc z mamą będziemy musieli obmyślić jakiś plan odwożenia cię do szkoły i odbierania po

lekcjach.

– Tato, przecież nadal mogę jeździć z Julianem i Rileyem. Pomogą mi ze wszystkim, znasz ich. Większość lekcji mam z nimi lub chociaż z Sloane.

– No dobrze – ustąpił, choć widziałam, że już zdążył się zafiksować na tym punkcie. Nie był już doktorem Heartem tylko nadopiekuńczym tatą. – Ale pogadam sobie z nimi wcześniej.

– To tylko noga w gipsie, dam radę. – Ścisnęłam jego dłoń. – Będę mogła wrócić dziś do domu?

– To już oceni doktor Veyette, ale myślę, że nie powinno być przeszkód, jeśli za parę godzin będziesz się dobrze czuła.

– Super... – westchnęłam z ulgą. Miałam nadzieję, że kolejną noc spędzę już w swoim łóżku.

Nie minął kwadrans, a już zostałam przewieziona z powrotem na oddział, gdzie czekała już na mnie mama. Była blada i wyglądała, jakby minionej nocy nie zmrużyła oka. Elliot miał rację. Rodzice zachowywali się, jakbyśmy cofnęli się w czasie.

– Camryn! – zawołała z ulgą i dopadała do mojego łóżka. – Jak się czujesz, skarbie?

Wymusiłam zmęczony uśmiech. Na powrót robiłam się senna.

– Dobrze, mamó. Nie musisz się martwić, jest okej – zapewniłam, choć wiedziałam, że nie przekonam jej, dopóki nie wyjdę ze szpitala.

Zasnęłam w trakcie naszej rozmowy. Nawet nie wiedziałam, kiedy odpłynęłam ani na czym skończyłyśmy, a gdy się ocknęłam, w sali byli nie tylko moi rodzice wraz z Elliotem, ale także Sloane, Julian i Riley... który trzymał w ręce balonik z helem w kształcie kotożca. Nie dałam rady. Na ten widok wybuchnęłam głośnym śmiechem.

– No w końcu! – Julian poderwał się ze swojego miejsca. – Laska, ile można spać?

– Długo tu jesteście? – zapytałam, sunąc wzrokiem po twarzach moich bliskich.

– Tylko chwilę – powiedział Riley i od razu wiedziałam, że ściemniał, ale było to niewinne kłamstwo. – Zdążyliśmy opracować ewentualny plan porwania cię stąd.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Właśnie to chciałam usłyszeć.



## Rozdział 23

### Camryn

Riley po tym, jak wyszłam ze szpitala, był przy mnie niemal non stop. Pomagał mi poruszać się po szkole, nosił mój plecak. Asekurował mnie przy wsiadaniu do auta, przy wysiadaniu. Spędzał też u mnie niemal wszystkie wieczory z przerwą na spacer z Atlasem, który również stał się moim stałym towarzyszem. Gdy miałam gorsze dni, wilczarz kładł się przy moim boku i nie opuszczał mnie na krok, sprawnie umykając przy tym przed kulami. Kiedy po sześciu tygodniach w końcu zdjęto mi gips, Ry woził mnie na rehabilitację, jeśli tylko nie kolidowała z jego treningami. Wtedy zastępowała go Sloane.

W weekendy moi przyjaciele wraz z rodzicami przychodzili do nas na kolację. Julian wpadał tylko z tatą, ale nikt nie zwracał już na to uwagi. On, Ry, Sloane i Elliot robili wszystko, żeby niczego mi nie brakowało i byłam im za to wdzięczna. I nie tylko ja. Moi rodzice dzięki temu przestali się aż tak zamartwiać, a częste towarzystwo przyjaciół dobrze zrobiło także i im. Nieustanny gwar w domu stał się już dla nas codziennością.

– Widziałaś ogłoszenie? – zapytała mnie Sloane podczas lunchu. Chłopaki miały do nas dołączyć niedługo po spotkaniu z trenerem, bo w weekend był kolejny mecz. – Yara rzeczywiście wygryzła Isabelle z głównej roli w *Dziadku do orzechów*.

– Nie jestem zdziwiona – westchnęłam i wgrzyłam się w kanapkę. Chwilę żułam kęs w zamyśleniu. – Sądziysz, że użyła jakichkolwiek argumentów poza „tańczyłam w Nowym Jorku, zrobię to lepiej”?

Sloane prychnęła.

– Szczerze wątpię – odparła. – W takiej dziurze jak nasza to brzmi jak wygrana na loterii. Wiem, że masz dobre zdanie o madame Blanchard, ale naprawdę wątpisz w to, że bez wahania oddała rolę Isabelle Yarze?

– Masz rację – przyznałam niechętnie. – Pewnie omal nie posikała się z wrażenia, gdy Yara w ogóle do niej przyszła.

– A dziwisz się jej? Ty nie mogłaś już tańczyć, a pozostała dwójka najlepszych pojechała na stypendium. Isabelle jest dobrą baletnicą, ale nie jest tak dobra jak byłaś ty czy Yara. Jest po prostu...

– Dobra – dokończyłam za przyjaciółkę, choć czułam, że to strasznie nie fair.

Otoczona przez bliskich zdażyłam na wiele tygodni zapomnieć o rozmowie z Isabelle o Yarze. Wyrzuciłam to wszystko z głowy. Zbliżała się dopiero końcówka października i bardziej myślałam o Halloween, jednak wiedziałam, że ledwo zdążę mrugnąć, a nastanie listopad, a potem Święto Dziękczynienia. Od niego prowadziła już prosta droga do Bożego Narodzenia, a to wiązało się z jednym konkretnym wydarzeniem w naszym liceum – balem zimowym.

– Zaprosisz Riley'a na bal? – zapytała nagle Sloane, a ja omal nie zakrztusiłam się sokiem.

W liceum imienia Franklina Delano Roosevelta zawsze były one wielkim wydarzeniem. Przed i po balu zimowym miały miejsce wszelkie możliwe wydarzenia artystyczne. Zespół baletowy wystawiał *Dziadka do orzechów*. Za to grupa teatralna co roku miała wybrać co innego, ale wiecznie padało na



*Opowieść wigilijną.* Do tego dochodziły jeszcze różne warsztaty artystyczne ze stolarki czy garncarstwa, tematyczne kiermasze, ale i tak wszyscy czekali na ostatnią sobotę przed świętami, kiedy to odbywał się sam bal.

I to dziewczyny zapraszały na niego chłopaków. Taką tradycję wprowadziła pierwsza dyrektorka szkoły i tak zostało. Adelaide Reynolds była nie tylko wspaniałą pedagog, ale także feministką. To ona jako pierwsza przeforsowała w naszym liceum damskie drużyny sportowe, które cieszyły się z nie mniejszym uznaniem niż te męskie.

– Jezu, nie wiem – odpowiedziałam, choć w głębi duszy chciałam to zrobić. Chciałam iść z Rileyem na bal. Z nikim innym. – A ty zaprosisz Juliana?

Sloane zarumieniła się aż po same uszy i pozwoliła, by rude włosy przysłoniły jej twarz. Moja rekonwalescencja sprawiła, że z Julianem zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej, jednak oboje z uporem maniaka się wypierali. Wiedziałam jednak, że odwoził ją co wieczór, a Sloane pąsowała za każdym razem, gdy o tym wspominałam.

– Sądysz, że się zgodzi? – Zabrzmiała tak niepewnie, że miałam ochotę nią potrząsnąć, a zaraz potem mocno przytulić.

– Oczywiście, że tak! – Nie wątpiłam w to ani odrobinę. Znałam Juliana od przedszkola i wiedziałam, że interesował się różnymi dziewczynami, jednak dla Sloane z miejsca stracił głowę. Dotychczas nie zachowywał się tak przy żadnej innej. Przy niej z pewnego siebie flirtarza stawał się potulnym szczeniakiem, który lubił drapanie za uszami.

– Dobra – powiedziała z mocą. – Jak ja zaproszę Juliana, to ty zaprosisz Riley'a.

Serce zabiło mi mocniej na samą myśl. Teraz to ja się wściekle zarumieniłam.

– Okej – zgodziłam się w końcu. – Ale robimy to tego samego dnia, bo na bank jeden wygada się drugiemu i będzie tylko większa presja.

– Tak sądzisz? – Sloane zmarszczyła jasne brwi.

– Ja to wiem – odparłam. – Przyjaźń z tymi dwoma nauczyła mnie jednego: faceci to jeszcze większe plotkary niż my.

\*\*\*

Wraz ze Sloane postanowiłyśmy zaprosić chłopaków na bal wieczorem po meczu. Zaplanowaliśmy na potem seans filmowy u Riley'a, bo jego mama akurat miała dyżur. Ktoś musiał zająć się Atlasem, więc wybór miejsca był oczywisty. Z tego samego powodu odpuściliśmy sobie kolejną imprezę u Calena. Na dodatek z gipsu przerzuciłam się na ortezę i nadal nie mogłam przeciążać nogi, więc nasiadówka przed telewizorem wydawała mi się dużo bardziej atrakcyjna. A już z pewnością dużo bardziej przystępna, gdy wciąż poruszałam się o kulach. Na ten moment nie byłam pewna, czy pozbędę się ich do balu. Przez to zaczynałam w sobie wątpić. Może Riley wolałby jednak pójść z kimś innym? Z kimś, z kim mógłby chociaż zatańczyć?

Biłam się z myślami przez cały poranek. Nawet Elliot, zwykle zbyt podekscytowany meczem, zauważył, że coś jest nie tak.

– Siostra, blada jesteś jakoś – powiedział przy śniadaniu. – Dobrze się czujesz? Znowu cię mdli po lekach?

Z powodu operacji brałam tyle przeciwbólowych, że co drugi dzień rzygałam jak kot. Przynajmniej przez pierwsze dwa, trzy tygodnie, kiedy zwyczajnie nie byłam w stanie bez nich funkcjonować. Teraz sięgałam po nie głównie wtedy, gdy w ciągu dnia się przeciążyłam, co nie było trudne, skoro budynek szkoły miał aż trzy piętra.

– Nie, to nie to – zapewniłam brata i uśmiechnęłam się uspokajająco. Potrafił być naprawdę kochany, kiedy nie doprowadzał mnie do szewskiej pasji, co ostatnio, na całe szczęście, zdarzało mu się coraz rzadziej. Szczególnie odkąd przynajmniej raz w tygodniu trenował z Riley'em. Miałam wrażenie, że Ry pomaga mi w zbieraniu jakichś punktów supersiostry, bo Elliot bywał teraz aż nazbyt potulny.

– Na pewno? – Spojrzał na mnie badawczo, choć nie byłam pewna, czy wyczytałby kłamstwo z mojej twarzy. Przez ostatnie dwa lata musiałam nauczyć się całkiem nieźle ściemniać, żeby jakoś przetrwać, jak wtedy mi się wydawało, najgorszy okres w życiu.

– Jest okej, Elliot – obiecałam, na pozór zupełnie szczerze. Było okej. Po prostu powoli dostawałam

świra i nie wiedziałam, czy bardziej stresuje mnie to, że Riley się zgodzi, czy może że mógłby odmówić. Bo przecież mógłby, prawda? Niepewność ścisnęła mi gardło, siała zamęt w sercu. Co, jeśli nie będzie chciał? Co, jeśli się okaże, że jakaś dziewczyna już go zaprosiła?

Mecz był dopiero o piętnastej, więc do tego czasu zaczęłam już prawie dostrzegać siwe pasma w moich blond włosach. Z nerwów prawie nic nie jadłam w ciągu dnia, ale musiałam wziąć leki przeciwbólowe i tuż przed wyjściem z domu zaczęło mi się kręcić w głowie. Wsparłam się o ścianę, żeby nie upaść.

– Cam, dobrze się czujesz? – zapytała mama, patrząc na mnie z twarzą ściągniętą troską. – Może lepiej, żebyś dziś została?

– Nie, to nic – zdążyłam z siebie wyrzucić, zanim puściłam się pędem, na tyle, na ile pozwalała mi noga w ortezie, do łazienki i zwymiotowałam. Zimny pot zrosił mi czoło.

– Zostajemy w domu – oznajmiła mama tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wzięła czysty ręcznik, zmoczyła go w zimnej wodzie i otarła mi twarz. Cała dygotałam targana torsjami, jednak nie miałam już czym wymiotować.

– Ale mammo... – zaprotestowałam słabym głosem.

– Nie, Cammie. Jesteś blada jak ściana. Nic się nie stanie, jeśli przegapisz jeden mecz.

– Ale... – spróbowałam jeszcze raz.

Pokręciła tylko głową, po czym pomogła mi usiąść na zamkniętej toalecie. Koszulka z nazwiskiem Riley'a kleiła mi się do pleców. Przymknęłam oczy, próbując zapanować nad mdłościami.

– Zadzwońię do mamy Sloane i dam jej znać – poinformowała mnie. – Elliot, zostań proszę z Cam.

Gdy wyszła z łazienki, obok zjawił się mój brat, dotychczas stojący niepewnie w progu. Wyglądał na lekko zmieszanego.

– Pewnie wolałbyś iść na mecz – odezwałam się.

– Daj spokój, Camryn – odpowiedział. – Wiem, że wyobrażasz sobie, że nie mam innych priorytetów niż hokej, ale to nie do końca tak.

– A jak?

Z jego oczu wycierał smutek, na jaki wydawał mi się zdecydowanie za młody.

– Widywałem cię już w takim stanie, Cam – przypomniał mi. – Po pierwszej operacji brałaś takie ilości przeciwbólowych, że regularnie wymiotowałaś. Mogłabyś chociaż coś jeść, wiesz?

– Wiem – odpowiedziałam słabym głosem. Czułam żal i złość. Byłam zła na siebie, bo Elliot miał rację. A żal... Żal wypełniał mnie całą.

– Chodź, przetransportujemy cię na kanapę. Zrobi ci się lepiej, jak się położysz. – Wyciągnął ręce w moim kierunku i pomógł mi wstać. Na moment znów zacisnął mi się żołądek, ale spazmy przeszły po kilku głębokich oddechach.

Elliot poprowadził mnie do salonu, gdzie powoli położyłam się na kanapie. Przykrył mnie kocem, a potem poszedł zrobić mi słabą herbatę. Popijałam ją małymi łyčzkami, gdy dołączyła do nas mama i przykleknęła na podłodze koło mnie.

– Lepiej? – Czułym gestem odsunęła mi wilgotne włosy z czoła.

– Lepiej – potwierdziłam, zerkając z wdzięcznością na Elliota. – Chyba spróbuję się przespać.

– Brzmi jak dobry pomysł. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Tata zawsze powtarza, że sen to najlepsze lekarstwo.

We śnie dręczyły mnie jednak koszmary. Moja noga łamała się z trzaskiem raz za razem, a bębenki w uszach pękały od mojego własnego wrzasku.



## Rozdział 24

### Camryn

Obudziły mnie przyciszone głosy. Było mi przyjemnie ciepło pod kocem, a w okna bębnił deszcz. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam Riley'a rozmawiającego z Elliotem w progu salonu. Atlas siedział grzecznie obok swojego pana, dysząc delikatnie.

– Gdzie Julian i Sloane? – zapytałam, rozglądając się za przyjaciółmi.

– Pojechali z resztą coś zjeść u April – odpowiedział Riley, robiąc parę kroków w moją stronę. Uśmiechał się łagodnie, z lekką rezerwą. – Wygraliśmy.

– Ile? – dopytałam.

– Dwa do jednego. Zaliczyłem jedną asystę.

Przysiadł koło mnie na kanapie. Włosy miał lekko wilgotne, ale jego ubrania wydawały się zupełnie suche. Jak długo tu był?

– Nie miałeś ochoty do nich dołączyć? – zasugerowałam nieśmiało. Nie chciałam myśleć, że coś go omija ze względu na mnie. Zasłużył na świętowanie wygranej.

– Nie. – Nie zawahał się choćby przez ułamek sekundy. – Chciałem sprawdzić, jak się ma moja ulubiona maskotka, bo bardzo mi jej dzisiaj brakowało.

Zalała mnie fala gorąca, gdy zobaczyłam w jego oczach żar i determinację, która pomagała mu zdobywać punkty na lodowisku, ale też utorowała drogę do mojego serca. W błękitnych tęczęwkach Riley'a odnalazłam także czułość. Zachodziłam w głowę, jak można tyle pomieścić w samych tylko oczach.

– Musiałem też wyprowadzić Atlasa – dodał, przywołując psa, który zamachał radośnie ogonem. – Nie wybaczyłyby mi, gdyby przez moje zachcianki ominęła go seria głaskania u ciebie.

Nie miałam pewności, ile z tego, co mówił Riley, było na wyrost, a ile tkwiło w tym prawdy. Ale bezsprzecznie Atlas niemal staranował swojego właściciela, żeby położyć włochaty, mokry pysk na moich kolanach. Ten wilczarz zrobiłby po prostu wszystko dla pieszczot. Roześmiałam się cicho i podrapałam go za uszami, tak jak lubił.

– Czasem zaczynam być o niego zazdrosny – mruknął Ry, zerkając na Atlasa, który mrużył bursztynowe oczy w reakcji na czułości.

– Ciebie też podrapać za uszami? – zapytałam z przekąsem.

Riley odsunął się ode mnie nieznacznie, na co parsknęłam śmiechem.

– Może jak umyjesz ręce – stwierdził w końcu.

Spojrzałam na niego, próbując coś wyczytać z jego twarzy. Myślałam, że będzie niezadowolony, że ominęłam mecz, ale nie. Nie wyglądał na złego. Nawet nie na rozczarowanego, choć możliwe, że na to akurat zasłużyłam. Jego twarde rysy wyglądał jednak spokojny.

– Przepraszam – odezwałam się w końcu. – To było nieodpowiedzialne z mojej strony. Ja po prostu...

– Po prostu musisz jeść, gdy bierzesz silne leki, Cammie. I obiecaj mi, że od tej pory będziesz się

bardziej pilnować, dobra?

Zduśiłam w sobie bunt. Oczywiście, że nie chciałam słyszeć kazania na ten temat. Wiedziałam, co zrobiłam źle. Parę razy uszło mi to na sucho, tym razem nie i tyle.

– Obiecuję – odpowiedziałam, trochę od niechcenia, ale to nie zadowoliło Rileyę.

Uniósł brwi, jakby chciał zapytać, czy sobie z niego żartuję, i wyciągnął w moją stronę mały palec. A obietnic na mały palec się nie łamało. Zawahałam się przez moment, co z pewnością nie umknęło uwadze chłopaka, bo zgromił mnie wzrokiem. Obiecałam jednak. Na mały palec także.

Tak zastała nas moja mama. Uśmiechnęła się, gdy szybko rozdzieliliśmy ręce, zupełnie jakby przyłapała nas na czymś, czego nie powinna widzieć. Przyniosła mi miseczkę delikatnego bulionu warzywnego, a dla Rileyę gorącą herbatę.

– Przypilnuj, proszę, żeby wszystko zjadła – poprosiła mojego towarzysza, dotykając przelotnie jego ramienia.

– A ty coś jadłeś? – zapytałam nagle zmieszana. Musiał umierać z głodu po meczu. Zrobiło mi się głupio.

– Spokojnie, zjadłem wcześniej kolację z twoją mamą i Elliotem. Spałaś, więc cię nie budziłyśmy.

– Tak długo tu jesteś? – zdziwiłam się.

– Jest już późno – odpowiedział wymijająco, pewnie nie chcąc mnie wpędzać w jeszcze większe poczucie winy. – Jedz, Cam.

Nie chciałam podpaść jeszcze bardziej ani jemu, ani mamie, więc małymi porcjami zjadłam całą zupę. Było coś magicznego w bulionie warzywnym, który rodzice robili, gdy chorowaliśmy. Coś w stylu Wróżki Zębuszki, tylko takiej nie na niby, bo to serio działało. Mogłam być obłożnie chora, ale mamina zupa zawsze poprawiała mi samopoczucie.

– Opowiedz mi o meczu – poprosiłam, robiąc Rileyowi więcej miejsca koło siebie. Podzieliłam się też kocem, a Atlas położył się na futrzastym dywanie pod kanapą i niemal zupełnie zlał się z otoczeniem.

Ry nie szczędził mi detali, miejscami modulując głos jak komentator z NBC, czym wywoływał u mnie kolejne parsknięcia śmiechem. Czułam się jednak prawie tak, jakbym tam była, a może raczej jakbym słuchała relacji w radiu – jeśli tylko pominąć niewybredne i zupełnie nieobiektywne komentarze Rileyę na temat drużyny przeciwnej, które doprowadzały mnie do łez. Wiedziałam, że przesadzał, ale doceniałam jego próby rozbawienia mnie, na dodatek zwieńczone sukcesem.

– Dzięki, Ry – odezwałam się w końcu, kiedy zakończył swoją nad wyraz barwną opowieść. – Przepraszam, że mnie nie było.

– Daj spokój, Cam. To tylko mecz, zawsze jest jakiś następny.

Zamilkłam na dłuższą chwilę. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć prócz tego, że mi przykro, bo naprawdę chciałam być tam razem z nim. Szczególnie że po meczu... No właśnie. Miałyśmy ze Sloane wszystko zapięte na ostatni guzik, a ja nawaliłam.

– Ry, mogę cię o coś zapytać? – zagałam niepewnie, czując, jak na mojej twarzy i dekolcie wykwitają krwiste rumieńce. Teraz albo nigdy, inaczej stchórzę, co do tego nie miałam wątpliwości. Znałam siebie.

– Jasne – odpowiedział, odstawivszy na bok herbatę. Miałam jego pełną uwagę.

– Ja... – Stres ścisnął mi gardło, a w ustach nagle zrobiło się zupełnie sucho. – Wszystko z Sloane tak świetnie zaplanowałyśmy i ja... – Spróbowałam jeszcze raz. Musiałam wziąć głęboki wdech, zanim znów odzyskałam głos. – Chciałabym pójść z tobą na bal zimowy. Jeśli oczywiście ty też byś pójść chciał... W sensie ze mną. Chociaż tak ogółem też, bo nie chcę cię ciągnąć na siłę. – W myślach się modliłam, żeby zwyczajnie walnął we mnie jakiś piorun, który zatrzymałby ten słowotok. Też byś pójść chciał... Słodki jeżu w malinach...

Byłam pewna, że po tak pokracczym zaproszeniu Riley odmówi. Może nawet wspomni, że jakaś dziewczyna już go zaprosiła. On jednak tylko się uśmiechnął. Nie roześmiał się. Uśmiechnął. Tak zwyczajnie. Ciepło i czule.

– Chętnie pójde z tobą na bal, Cam – odparł. – I tak ogółem też bym pójść chciał.

Parsknęłam nerwowym śmiechem przechodzącym w chichot, nad którym nie potrafiłam już zapanować. Zaprosiłam Rileyę Reeda na bal zimowy. Naprawdę to zrobiłam. A on się zgodził.

– Czy to jedna z tych imprez, na której powinienem mieć krawat pod kolor twojej sukienki i tak

dalej? – zapytał nagle, marszcząc brwi, jakby właśnie do niego dotarło, na co się zgodził.

– Nie musisz, naprawdę. To zwykła potańcówka, nie przywiązywałabym do tego aż tak dużej wagi – powiedziałam luźno, jakbym wcale przed chwilą nie miała słowotoku ze stresu. Ale nieee, to wcale nie jest dla mnie takie ważne. Wcale.

– Skoro tak mówisz, to właśnie chyba oznacza, że powinienem mieć krawat pod kolor – stwierdził Riley, uśmiechając się do mnie znacząco. Od razu rozszyfrował mój blef, a jakżeby inaczej. – Tylko daj mi znać chwilę wcześniej, dobra? I nie mów mi, że mam kupić jakiś łososiowy albo... Kabaczkowy. Bo to się po prostu je, nie komponuje się z tego garderoby.

– Powiem twojej mamie, jaki ma ci kupić krawat, będzie łatwiej. Chociaż kabaczkowy... Jest taki w ogóle?

– A bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Ja mam w szafie tylko trzy kolory: biały, szary i czarny. I ta wiedza w zupełności wystarcza mi do życia. Wy, dziewczyny, macie jakieś... antracyty, fuksje. – Machnął sugestywnie rękami.

– Antracyt? Czyli jednak znasz jakieś barwy – stwierdziłam z uznaniem.

– Głównie dlatego, że przez ostatni miesiąc obejrzałem z tobą chyba wszystkie możliwe filmy z Anne Hathaway, a to często komedie romantyczne – przypomniał mi. – Ale nie pytaj mnie, jakie to kolory, bo nie mam zielonego pojęcia.

Roześmiałam się. Z tym pierwszym akurat miał rację. Nic nie zapewniało większego komfortu psychicznego niż komedie romantyczne z początku lat dwutysięcznych, a tego akurat pilnie potrzebowałam w ostatnich tygodniach. Śmiechu i szczęśliwych zakończeń. I może też... odrobiny koloru.



## Rozdział 25

### Camryn

Na następny weekend zaplanowałyśmy ze Sloane zakupy. Ona także zaprosiła Juliana w ten sam wieczór, co ja Riley, jednak z opowieści przyjaciółki wynikało, że poszło jej znacznie lepiej niż mnie. A z pewnością obyło się bez jąkania i słowotoku. Ry był na szczęście dżentelmenem, więc nie wypominał mi tego. Chyba też nie sprzedał mnie Julianowi, bo kiedy rozmawiałam z kumplem przed hiszpańskim, głównie rozplýwał się nad Sloane. Poza tym wspominał tylko, że cieszy się, że idę z Rileyem, chociaż było to bardziej w tonie „cieszę się, że nie idzie z kimś innym, bo ciebie lubię”. Tak czy siak zyskałam jego aprobatę i zaplanowaliśmy już, że na bal zabierzemy się razem, jednym samochodem.

Po sukienki postanowiłyśmy pojechać do Duluth. W Harlow nawet nie było gdzie kupić czegoś, co nadałoby się na bal. Tutaj ludzie raczej przyjeżdżali na ryby i by poobcować z naturą, a nie na wystawne imprezy. W co drugim sklepie dało się więc znaleźć gumowce i przynętę, natomiast niekoniecznie błyszczące kreacje.

Z tej okazji po dwóch latach oszczędzania rozbiłam moją świnkę skarbonkę. Ze smutkiem pożegnałam się z Gretą, ale nie miałam serca ciągnąć kasy od rodziców na bal. Moje zawirowania zdrowotne i hokej Elliota kosztowały ich już wystarczająco dużo. Odkładane pieczołowicie drobniaki złożyły się na całkiem niezłą sumkę. Nie na drogą suknię balową, bo na to przyjdzie jeszcze czas, gdy będę kończyć szkołę, ale na coś ładnego, może z drugiej ręki...

Sloane miała pokazniejszy budżet ode mnie. Odkąd skończyła szesnaście lat, pomagała mamie przy prowadzeniu piekarni, a ta normalnie płaciła jej godzinkówkę jak reszcie pracowników. Dziewczynie udało się więc trochę odłożyć i postanowiła nieco zaszaleć. Na początek wybrałyśmy się do sklepu, który wielokrotnie mijaliśmy po drodze do Myrny. Manekiny na wystawie zawsze miały na sobie jakieś perełki, których aż chciało się dotknąć. Każda sukienka kosztowała jednak nawet kilkaset dolarów.

– Myślałaś już nad kolorem? – zagała Sloane, przesuając z wprawą kolejne wieszaki. Gdy wpadała w szal poszukiwań, lepiej było jej nie przeszkadzać.

– Nie... – westchnęłam. – Zupełnie nie mam pomysłu. – Sama też od niechcienia przerzucałam kolejne sukienki, choć byłam przekonana, że na żadną z nich się nie zdecyduję. Wyzerowałaby mój budżet do cna, a planowałam kupić jeszcze jakieś dodatki. Może buty? W przeciwnym razie musiałabym pójść w trampkach.

– A ta? – zasugerowała Sloane, zerknąwszy na mnie znad kreacji w odcieniu krwistej czerwieni.

Potrząsnęłam stanowczo głową.

– Zbyt intensywna.

– Daj spokój, przy twoich jasnych włosach i cerze wyglądałabyś super!

Posłałam przyjaciółce znaczące spojrzenie. Mocne kolory były raczej jej domeną. Ja nie lubiałam przyciągać tyle uwagi. Jedynie na scenie mnie to nie peszyło. Wtedy mogłam włożyć najbardziej krzykliwy kostium i nosić go z dumą.

– Myślałam raczej o czymś... O, może coś takiego. – Wskazałam sukienkę ze srebrzystego materiału, który mienił się w sztucznym świetle. Odrobinę przypominał śnieg w słoneczny dzień.

– Nie za blado?

Wzruszyłam ramionami. Czego bym nie założyła, obawiałam się, że i tak zniknęłabym w tłumie przy Sloane. Szczególnie że wybór mojej przyjaciółki padł na najbardziej intensywny odcień ciemnej zieleni. Przez to jej włosy wydawały się jeszcze bardziej rude, ale właśnie o taki efekt chodziło. Gdy tylko ją przymierzyła, nie szukała już dalej. Tym samym temat sukienki dla niej zamknęłyśmy w pół godziny. Ze mną było jednak dużo gorzej.

Złaziłyśmy już połowę sklepów w mieście, a ja nadal nie znalazłam nic dla siebie. Wszystko wydawało się... nie takie. Zbyt strojne, za mało wow, w złym kolorze, nie taki krój lub rozmiar. Byłam drobnej budowy, na dodatek, choć Riley sobie ze mnie pieśczośliwie żartował, naprawdę mogłam się równać wzrostem z wyrosniętym skrzatem. Większość sukienek kończyła się więc w najbardziej przypadkowych i niekorzystnych miejscach, a te długie zwyczajnie wały się po podłodze. Byłam już gotowa się poddać. Zaczynała mnie też boleć noga, mimo że poruszałam się o kulach, i coraz częściej musiałyśmy robić krótkie przystanki.

– To nie ma sensu – stwierdziłam w końcu. – Chodźmy do Myrny na coś dobrego.

Sloane z początku zrobiła minę, jakby nie zamierzała odpuszczać tak łatwo, ale musiała dostrzec moją rezygnację.

– Przerwa dobrze nam zrobi. Myślę, że zasłużyłyśmy na coś słodkiego, nie sądzisz?

Uśmiechnęłam się. Właśnie tego potrzebowałam. W takich chwilach nie tęskniłam za moimi koleżankami z zespołu baletowego, które trudno było namówić na słodycze. Baletnica musiała mieć bowiem nie tylko wyćwiczone stopy oraz właściwą postawę – musiała być też wystarczająco lekka, by wybierano ją do partii *pas de deux*, które wymagały podnoszenia. Większość dziewczyn pilnowała więc diety. Nie głodziły się, ale zdecydowanie uważały na to, co jedzą, żeby koledzy mogli je podnieść z taką lekkością, jakby ważyły nie więcej niż worek pierza.

– Camryn, już myślałam, że przepadaś! – Myrna uściskała mnie serdecznie na powitanie. – A cóż to? – Wskazała moją ortezę.

Od operacji nie byłam w Duluth, choć Sloane wielokrotnie namawiała mnie do zmiany otoczenia, bo głównie siedziałam w domu. Twierdziła, że jeszcze trochę, a przyrosnę do kanapy i pewnie miała trochę racji. Teraz po każdej rehabilitacji zdychałam. Wystarczyło parę tygodni lenistwa, żeby zupełnie siadła mi kondycja.

– Naderwane ścięgno – wyjaśniłam. – Ale już jest okej.

Staruszka pokręciła głową ze współczuciem i ścisnęła troskliwie moje ramiona.

– Zaparzę ci zaraz coś dobrego. Moja babka mawiała, że takie napary kobiety szykowały wojownikom za czasów Alfreda Wielkiego. – Zaczęła przeczesać szafkę w poszukiwaniu odpowiedniego słoika. Oprócz herbat z głównego menu miała pochowane jeszcze wiele innych mieszanek ziół na specjalne okazje.

– A wojownicy w średniowieczu nie pili czasem piwa? – zapytałam, marszcząc brwi w lekkiej obawie. Myrna miewała czasem dziwne pomysły.

– Pili ale[1], złotko – odpowiedziała z dobrotliwym uśmiechem. – Miałam jednak na myśli napary, których recepturę wieszczki przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie, zanim jeszcze zamieniły kościane młoty Thora na srebrne krucyfiksy.

Czasem miałam wrażenie, jakby Myrna i Niamh pochodziły z innych czasów. Niektórzy uważali je za dziwaczki, mnie jednak wydawały się fascynujące. Posiadały też ogrom nietypowej wiedzy i często narzekały, że nas w tych amerykańskich szkołach to już niczego się nie uczy. W tej swojej zgryźliwości były mimo wszystko miłe, sympatia do nich przychodziła więc dosyć naturalnie.

– Niekiedy się obawiam, że kiedyś nas otruje – szepnęła do mnie Sloane, gdy zajęłyśmy nasz zwyczajowy stolik.

– A wiesz, co jest najlepsze? Że najpewniej uszłoby jej to na sucho.

Obie zaczęłyśmy się śmiać. Lubiłam przesiadywać w herbaciarni. Wydawało mi się, że czas płynie tu znacznie wolniej i nie przecieka tak przez palce. Do tego w powietrzu zawsze unosił się słodkawy aromat ziół, który sam w sobie działał już wystarczająco odprężająco.

– Nadal uważam, że świetnie wyglądałabyś w czerwonym – stwierdziła Sloane, gdy zatopione w miękkich fotelach popijałyśmy już swoje herbaty, zastanawiając się przy tym, gdzie jeszcze mogłybyśmy zajrzeć w poszukiwaniu sukienki dla mnie.

Upiłam łyk mocnego naparu, który przyjemnie rozgrzewał od środka. Miał tak bogaty smak, że trudno było wskazać pojedyncze aromaty. Patrząc na drobne fioletowe kwiaty, typowałam między innym lawendę. Lawenda...

– Może powinnam poszukać fioletowej sukienki – pomyślałam na głos.

Sloane przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie, jakby próbowała sobie to wyobrazić. Test chyba wypadł pozytywnie, bo uśmiechnęła się szeroko.

Może jednak rzeczywiście było coś wyjątkowego w tym naparze.

\*\*\*

Idealną sukienkę znalazłyśmy w najbardziej niepozornym sklepie jakiś kwadrans drogi od herbaciarni. Na tym etapie nawet entuzjazm Sloane już opadł. Obiecałyśmy sobie więc, że to już ostatnie miejsce, a potem zostaną nam tylko poszukiwania w sieci.

Gdy pchnęłam ciężkie, drewniane drzwi, nad moją głową zadzwonił połączony dzwoneczek. W powietrzu można było wyczuć słodki zapach, ale inny niż w herbaciarni Myrny. Bardziej jakby ktoś przez cały dzień obrabiał tu owoce na sok. Tak samo pachniało w kuchni babci latem. Zza lady wyszła jednak młoda kobieta, nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Ciemne, gęste włosy spływały jej falami na plecy, a wokół dużych, zielonych oczu pojawiły się już pierwsze zmarszczki. Musiała dużo się uśmiechać, zupełnie jak teraz.

– W czym wam mogę pomóc? – zapytała, podchodząc bliżej.

– Szukam sukienki na bal zimowy – odpowiedziałam.

– Fioletowej – dodała Sloane, a sprzedawczyni musiała dosłyszeć zmęczenie w jej głosie, bo uśmiechnęła się pokrępijając.

– Zobaczmy, co da się zrobić.

Sięgnęła po miarę krawiecką i zbliżyła się do mnie.

– Mogę? – spytała, a ja przytaknęłam.

Z wprawą sprawdziła chyba wszelkie możliwe wymiary poza wzrostem. O ten mnie zapytała, a ja z nadzieją pomyślałam, że może w końcu uda się znaleźć coś, w czym nie będę wyglądała dziwnie nieproporcjonalnie.

Potem kobieta przez dłuższą chwilę przekopywała się przez wieszaki. W końcu wróciła z całym naręczem kreacji w każdym odcieniu fioletu, jaki tylko mogłam sobie wymarzyć.

– Powiedz, gdybyś potrzebowała pomocy – powiedziała, prowadząc mnie do przymierzalni w rogu sklepu ukrytej za ciężką, aksamitną zasłoną. Szybko porozwieszała sukienki na żeliwnej rurce pomalowanej złotą farbą i zasunęła za mną kotarę.

Odetchnęłam głęboko i zaczęłam przyglądać się po kolei każdej z nich, zanim wybrałam pierwszą do przymiarki. Śliska satyna barwy dojrzałej śliwki opinała mnie jak druga skóra, nie czułam się w niej jednak skrępowana. Była ładna, ale wiedziałam, że to nie to. Przymierzyłam więc kolejne, aż w końcu dotarłam do tej właściwej. Warstwy tiulu w kolorze zimnego, jasnego fioletu przywodziły na myśl stroje baletowe. Dół był wyjątkowo lekki, a brokatowa podszewka nie tylko pięknie odbijała światło, ale też nie prześwitywała. Najbardziej urzekł mnie jednak gorset wyściełany od środka gładkim atłasem, z zewnątrz natomiast wyszywany milionem koralików tworzących misterne wzory. Ich sznurki zdobiły też ramiona. Z początku myślałam, że będzie mi to przeszkadzać, ale nie. Efektu nie psuł nawet mój toporny but ortopedyczny.

– Wyglądasz jak baletnica – skomentowała uradowana Sloane, oglądając mnie z każdej strony.

Wtedy już miałam pewność, że to ta – sukienka, która dawała mi chociaż namiastkę utraconego marzenia. Która choć na moment sprawiła, że poczułam się jak dawniej.

Jakbym miała zaraz wyjść na scenę.





## Rozdział 26

### Riley

Święto Dziękczynienia nigdy nie było moim ulubionym. Zwykle mieszkaliśmy zbyt daleko od rodziny, żeby opłacał nam się taki krótki wyjazd i oszczędzaliśmy na Boże Narodzenie. Na ogół więc, zanim rodzice się rozwiedli, spędzaliśmy Dziękczynienie we dwójkę lub we trójkę. Znajomi zapraszali nas do siebie, ale rzadko korzystaliśmy. Inaczej jednak było w Harlow, ponieważ kiedy otrzymywało się zaproszenie na Święto Dziękczynienia od Florence Heart, nie wypadało odmówić.

Z tej okazji w domu Heartów co roku spotykała się nie tylko rodzina, ale także najbliżsi sąsiedzi. Każdy przynosił coś od siebie. Nie tylko jedzenie, ale czasem też własne krzesła, a z salonu wynoszono prawie wszystkie meble, żeby jakoś się pomieścić – wszystkie poza stołem i telewizorem. W tle bowiem obowiązkowo musiał lecieć najpierw mecz futbolu, a potem już, w zależności, kto grał, padało albo znów na futbol, albo na hokej, choć zwykle na to drugie.

Moja mama zrobiła przemysłową ilość ciasta z orzechami pekan i całą górę różnokolorowych babeczek dla młodszych dzieci z sąsiedztwa. Gdy się w nie wgryzło, ze środka wysypywała się posypka. Kolorowe cukierki wymiataliśmy z zakamarków kuchni jeszcze tydzień później. Mamie jednak całe przygotowania sprawiały tyle frajdy, że nie zamierzałem narzekać. Miałem wrażenie, że po opuszczeniu Harlow dwa lata temu nie była jeszcze taka szczęśliwa.

Julian spędzał Dziękczynienie u rodziny w Minneapolis, ale za to Sloane miała wpaść do Heartów razem z rodzicami. Z Camryn więc już z samego rana wszystko tak poustawialiśmy, żeby usiąść koło siebie. Miałem im robić za rodzynka, jak to określiła Sloane, ale nie protestowałem. Wiedziałem, że z nimi dwiema nie mam szans.

Cała impreza zaczynała się dopiero o czwartej po południu, jednak z Camryn, Sloane i Elliotem pomagaliśmy od samego rana. A to trzeba było coś zrobić w kuchni, a to coś poprzenieść, a że Cam wciąż chodziła w ortezie, dostawała lżejsze prace. Za to ja, Sloane i Elliot nie usiedliśmy aż do kolacji. W międzyczasie zdążyliśmy się także zapchać wszystkim, co udało nam się podwędzić z ogromnych półmisków, więc nawet na indyka za bardzo nie czekałem. Po prostu chciałem sobie w końcu klapnąć na krzesło.

– Macie już kreacje na bal zimowy? – zagała moja mama, kiedy wszyscy zasiedliśmy już do stołu.

Twarz Camryn nagle pojaśniała, a potem dziewczyna spojrzała na mnie i oblała się lekkim rumieńcem. Wspomniała mi, że kupiła już sukienkę, ale jak na razie nie zdradziła nawet jej koloru, choć nagabywałem ją o to średnio... tak kilkanaście razy dziennie.

Sloane wybawiła przyjaciółkę z opresji i rozpoczęła opowieść o swojej sukience. Padło tam tyle różnych nazw kolorów, materiałów, dziwnych określeń, że szybko przestałem się przesłuchiwać. Nie miało to sensu, gdy i tak połowy nie rozumiałem.

Camryn jednak wciąż milczała i tylko robiła się coraz bardziej czerwona, im dłużej się jej przypatrywałem.

– Czemu się rumienisz, Skrzacie? – zapytałem cicho, a wtedy podniosła na mnie swoje duże, brązowe oczy. W sztucznym świetle mieniły się złote plamki wokół jej czarnych źrenic.

– Co, jeśli ci się nie spodoba?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem i nachyliłem się do niej tak, żeby tylko ona mogła mnie usłyszeć. Byliśmy tak blisko siebie, że z łatwością zdołałbym policzyć wszystkie piegi na jej nosie, choć im bliżej zimy, tym robiły się bledsze.

– Ty mi się podobasz, Skrzacie – powiedziałem otwarcie, zdobywając się na odwagę. – Powiesz mi więc w końcu, jaki kolor ma twoja sukienka, bo zamierzam iść z tobą na ten chrzaniony bal choćby nie wiem co.

– Pokażę ci potem – odszepnęła, po czym spuściła wzrok na swój talerz, nie przestawała się jednak uśmiechać.

\*\*\*

Ucztowanie trwało do późnego wieczoru. Zjadłem tyle, że nie mogłem się zdecydować, czy zapadnę w śpiączkę spożywczą, czy wręcz przeciwnie – nie dam rady zasnąć do rana z przejedzenia. Ostatni goście, jeśli nie liczyć mnie i mamy, wyszli dopiero grubo po dziewiątej. We dwoje postanowiliśmy zostać, żeby pomóc Heartom przywrócić normalny wygląd salonu. Dźwiganie wszystkie z powrotem i ustawianie na właściwym miejscu było o tyle trudniejsze niż wynoszenie rano, że teraz za każdym razem, kiedy się schyliłem, czułem ciasto z pekanami podchodzące mi do gardła. Zaczynałem się powoli zgadzać z tym, że obżarstwo to grzech.

Kiedy udało nam się już ze wszystkim uporać, nasi rodzice rozsiedli się jeszcze w kuchni z lampką wina, a Elliot zamknął się u siebie, żeby w końcu pograć z kolegami na konsoli. A mnie Camryn zabrała mnie do swojego pokoju, który znałem już tak samo dobrze jak własny. Za nami podreptał Atlas. Po tym, ilu ludzi dzisiaj spotkał, trzymał się mojej nogi jeszcze bardziej niż zwykle. Chyba trochę się przebodźcował, choć na ogół nie miał problemu z tłumami. Spędziłem jednak masę czasu na tłumaczeniu innym, żeby go nie zaczepiali. Był łagodnym psem, ale wciąż psem, a nie pluszakiem do miziania. Większość kolacji spędził więc wciśnięty między mnie a Camryn, gdzie miał najwięcej spokoju. Czasem skapnęło mu też coś ze stołu.

Wyciągnąłem się wygodnie na łóżku Cammie i spojrzałem na gwiazdy na suficie. Zachodziłem w głowę, czemu ich nie zamalowała. Wyglądały doprawdy pokraccie. Te spod jej ręki mogły jeszcze ująć w tłoku, ale ja nie potrafiłbym narysować prostej linii nawet pod groźbą śmierci. Pociągnięcia pędzla w wielu miejscach były nierówne, poszarpane, jakbym malował zupełnie na ślepo. Mój talent artystyczny nie był wart choćby złamanego centa.

– Nie za dobrze ci? – zapytała Camryn, dołączając do mnie. Jej blond włosy rozsypały się wokół i zagubiony kosmyk połaskotał mnie w twarz, zanim przewróciła się na bok. Oczy utkwiła w moim profilu.

– W sam raz – odparłem, po czym posłałem jej szeroki uśmiech, choć wcale nie czułem się taki pewny siebie. Gdy chodziło o Cam, niczego nie byłem pewny. Nie potrafiłem odgadnąć, co jej chodzi po głowie i... czy czuje to samo co ja.

Szturchnęła mnie lekko w ramię ze śmiechem, ale nic już nie powiedziała. Zamiast tego ułożyła się wygodnie i przymknęła oczy.

– Hej, nie śpij jeszcze, miałaś mi pokazać sukienkę – przypomniałem jej, na co zmarszczyła nos, lekko naburmuszona. Z pewnością myślała, że zapomniałem.

– Powiedziałam, że zrobię to potem – odparła z psotnym uśmieszkiem.

– Jest potem. – Nie odpuszczałem. Co to, to nie. Do balu zostało tylko nieco ponad dwa tygodnie.

– No dobra... – Z głębokim westchnieniem podniosła się z łóżka. Atlas, zaciekawiony, poderwał łeb i śledził ją wzrokiem, nie ruszył się jednak ze swojego ulubionego puchatego dywanika. Ja za to usiadłem na skraju materaca.

Cam wyjęła z szafy pokrowiec i rozsunęła go. Od razu dostrzegłem, co ją urzekło w tej sukience. Do złudzenia przypominała kostiumy, w których kiedyś wielokrotnie ją widywałem na scenie. Jasnioletowy materiał wydawał się niemal migotać w świetle. Wstałem i podszedłem bliżej, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

– Piękna – powiedziałem cicho.

Nie patrzyłem jednak na sukienkę. Patrzyłem na Camryn trzymającą w rękach marną namiastkę marzeń, które już nigdy nie miały się spełnić. Na moją najlepszą przyjaciółkę i najsilniejszą dziewczynę, jaką

kiedykolwiek poznałem. Dziewczynę, w której zadurzyłem się po same uszy, choć wiedziałem, że może mnie znienawidzić za prawdę, którą przed nią zataiłem.

Nie byłem gotowy, by zaryzykować. Jeszcze nie. Czas jednak uciekał, właściwie przeciekał przez palce, a ja obiecałem, że wszystko jej wyjawię. Byłem to winny Camryn. I chyba także Aidenowi.



## Rozdział 27

### Camryn

W szkole wszyscy żyli już balem, a ja ćwiczyłam ze zdwojonym zapalem podczas rehabilitacji. Mój rehabilitant był ekszołnierzem i cóż, zdecydowanie nie brał jeńców. Gdy powiedziałam mu, że chcę zatańczyć na balu zimowym, zaczął wyciskać ze mnie siódme poty. Niewiele sobie robił z mojego marudzenia, ale za to zaczynałam odczuwać wdzięczność dopiero teraz. Decyzję w sprawie ortezy doktor Veyette miała podjąć decyzję na tydzień przed balem, jednak widziałam coraz większe szanse na jej zdjęcie. Wszystko goiło się prawidłowo, a intensywne rehabilitacja pomogła mi nabrać sił.

Isabelle przestała już siadywać na lunchu z Yara i resztą dziewczyn. Teraz towarzyszyła Matty'emu, który zajmował stolik z kilkoma chłopakami z drużyny. Czasem pytałam Riley'a i Juliana, czy nie woleliby usiąść z nimi, ale za każdym razem zgodnie odmawiali.

Większość uniwersytetów zaczynała rekrutację zaraz po przerwie zimowej, więc zostało nam niewiele czasu na ostatnie szlify przy naszych aplikacjach. Riley, wiedząc, że będzie zmieniał liceum na ostatni rok, zebrał w poprzedniej szkole wszystkie rekomendacje i w zasadzie miał gotową aplikację zaraz po tym, jak dokończyliśmy nasze eseje. Zostało jednak najtrudniejsze – wybrać uczelnie, na które będziemy startować.

Ze wstępnych rozmów wynikało, że nasza czwórka rozsypie się po całych Stanach. Sloane marzyła o Columbii, Julian celował w Stanford, tym samym idąc w ślady swojego taty, Riley wahał się między chęcią powrotu do Denver na uniwersytet stanowy a poczuciem obowiązku wobec mamy – żeby jednak pozostać bliżej niej. Ja natomiast za nic nie potrafiłam się zdecydować. Przez tyle lat planowałam tańczyć, że nie do końca do mnie docierało, że plany awaryjne przesunęły się na szczyt listy. Moja ostateczność została jedynym wyborem i choć myśl o studiach mnie ekscytowała, nie potrafiłam uwolnić się od gorzkiego smaku rozczarowania. Przerzucałam więc w nieskończoność foldery, które podsuwali mi nauczyciele, jednak żadne miejsce nie wydawało mi się właściwe.

– Może spróbuj wypisać sobie wady i zalety każdej uczelni – podsunęła Sloane, skubiąc bez przekonania sałatkę. Znów była na diecie, bo bała się, że nie zmieści się w sukienkę na bal. – Waszyngton bym sobie odpuściła, tam wiecznie leje.

– Na Florydzie jest tak wilgotno, że latem masz wrażenie, że się rozpuszczasz – podpowiedział Riley. – I jest mega drogo, zdecydowanie nie na studencki budżet.

– Alaskę też bym sobie odpuścił, jeszcze zeżre cię jakiś niedźwiedź – dodał Julian, przewracając oczami. – Wątpię, że to pomoże Cam – stwierdził. – Zastanów się lepiej, jaki uniwersytet da ci najlepsze perspektywy na to, co chcesz robić w życiu.

Wzruszyłam ramionami.

– Właśnie w tym leży problem, Julian – wyjaśniłam. – Ja nie do końca wiem, co chcę robić. Myślałam o medycynie, jak mój tata, ale to długie lata nauki. Co, jeśli nie podołam?

Ry ścisnął dyskretnie moje kolano pod stołem i zaraz zabrał dłoń, żeby jak gdyby nigdy nic wrócić do

jedzenia niebieskiej babeczki. Po moim ciele rozlało się przyjemne ciepło.

– A co, jeśli się uda? – zasugerował, przełknąwszy duży kęs. – Założmy, że chcesz iść na medycynę. Co będziesz studiować przed szkołą medyczną?

– Psychologię albo biologię? – Moja odpowiedź była tak niepewna, że bardziej zabrzmiała jak pytanie.

– W takim razie mamy plany na wieczór – oznajmił i wpakował do ust resztę muffinki.

– To znaczy? – Zmarszczyłam brwi.

– Odbiorę cię z rehabilitacji, a potem wybierzemy dla ciebie uniwerki, na które mogłabyś aplikować.

– W jego ustach zabrzmiało to jak najprostsza rzecz na świecie, choć wybór dotyczył tego, gdzie spędzę kolejne cztery lata. Na samą myśl robiło mi się niedobrze, a po drodze czekała mnie jeszcze rehabilitacja. Była więc szansa, że Mike tak mnie wymęczy, że wieczora zwyczajnie nie dożyję.

\*\*\*

– Jeszcze trochę, dasz radę! – dopingował mnie Mike, gdy pedałowalam na rowerku stacjonarnym i czułam, jak pot płynie mi po skroni. W ortezie zrobiło mi się piekielnie gorąco.

Czułam się trochę jak dwa lata temu. Wtedy to też on był moim rehabilitantem, dlatego miałam do niego duże zaufanie. Wiedziałam, że w tamtym momencie nie mógł już zrobić dla mnie nic więcej, żebym mogła tańczyć. Nie balet. Nie miałam już takiej elastyczności w uszkodzonej kostce, żeby wchodzić na pointy – i tego nie dało się zmienić kolejnymi godzinami rehabilitacji. Kości rosły się w określony sposób, a że akurat kostka w większości przyjęła impet uderzenia, to operacja ponoć przypominała składanie puzzli. Teraz jednak zyskałam inną motywację i choć niekiedy bywało ciężko i miewałam też gorsze dni, jak na przykład dziś, to chciałam w końcu rozstać się z ortezą, która mnie ograniczała. Brakowało mi spacerów z Rileyem i Atlasem, jeżdżenia samochodem, nawet odwożenia Elliota na treningi, gdy rodzice byli zajęci. Tych wszystkich drobnych rzeczy, o które walczyłam dwa lata temu.

– Dobra, starczy! – krzyknął Mike i zatrzymał stoper. – Zrobimy jeszcze kilka ćwiczeń i będziesz wolna na dziś.

Już ja dobrze znałam te jego kilka ćwiczeń, po których później z trudem ruszałam małym palcem.

Po wszystkich z sali treningowej wyszłam na lekko miękkich nogach i ucieszyłam się, że Riley siedział już przed budynkiem w samochodzie pożyczonym od mamy. Nie byłam pewna, czy ustałabym, gdybym miała na niego czekać.

– Jedziemy do mnie czy do ciebie? – zapytał, podając mi wodę. Wzięłam duży łyk, a potem przyłożyłam zimną butelkę do gorącego czoła.

– Do mnie, muszę wziąć prysznic – odpowiedziałam i skierowałam na siebie chłodny nawiew. Przymknęłam oczy. Czułam zmęczenie, ale też satysfakcję, tak jak zawsze po rehabilitacji. Może to rzeczywiście moja droga? Stanąć po drugiej stronie i leczyć ludzi, tak jak inni leczą mnie? Nie byłam jednak pewna, czy pragnę tego z właściwych powodów.

Zostawiłam Rileyę w salonie z Elliotem. Przez ostatnie tygodnie niemal w każdy weekend razem trenowali, a mój brat był w siódmym niebie. W najbliższą sobotę Elliot miał mecz wyjazdowy w Rochester i z Rileyem postanowiliśmy zrobić mu niespodziankę, pojawiając się tam. Po operacji opuściłam kilka ostatnich meczów brata, tak samo jak Ry, chciałam więc trochę nadrobić. Chodzenie po trybunach o kulach nie należało do najłatwiejszych wyzwań. Zwyczajnie też nie czułam się na siłach. Przez trzy tygodnie byłam bardzo osłabiona i nawet samo pójście do szkoły mnie wykańczało.

Teraz wzięłam szybki prysznic, przebrałam się w miękkie dresy i podsuszyłam trochę mokre włosy, żeby nie zamarznąć. Nie mogłam się doczekać, aż zejść do chłopaków i ogrzeję się trochę przy kominku. Doktor Veyette w zeszłym tygodniu stwierdziła, że mogę zrezygnować z kul i zostać przy ortezie, więc poruszanie się po piętrowym domu stało się nieco łatwiejsze.

Rileyę i Elliota zastałam pochylonych nad telefonem, ale brat na mój widok szybko zablokował ekran i zrobił się cały czerwony.

– Mam tylko nadzieję, że nie pokazywałaś mu żadnego porno, bo będę musiała nakablować waszym mamom – zażartowałam.

Teraz i Ry się zarumienił, ale zaprzeczył moim przypuszczeniom:

– To nie porno, twój brat chyba został zaproszony na randkę przez dziewczynę, która mu się podoba.

Elliot jęknął i spojrzął na chłopaka z wyrzutem.

– No nie, myślałem, że jesteś po mojej stronie! – zaperzył się.

– Bo jest. Żaden z was nie jest dziewczyną, więc to ja mogę pomóc. Pokaż, co tam masz.

Elliot wahał się dłuższą chwilę, jakby się obawiał, że telefon wybuchnie w moich rękach, gdy skążę go swoim dziewczynskim dotykiem. W końcu jednak odblokował ekran i podał mi aparat. Nazwa kontaktu z imieniem Bree została opatrzona dwoma serduszkami.

– O rany, to Brianna? – Prawie pisnęłam z podekscytowania. Elliot przyjaźnił się z nią od przedszkola i dotychczas myślałam, że są właśnie tym, tylko przyjaciółmi. Jak widać, chyba nie do końca. Bree bowiem zapraszała go na komedię romantyczną do kina.

– Tak, to Brianna – odpowiedział, czerwieńjąc się jeszcze bardziej, choć wydawało mi się, że nie jest to możliwe. – Nie wiem, co mam robić. Jasne, chodziłem już z Bree do kina, ale komedia romantyczna?

– Jeśli lubisz Bree w ten sposób, to w czym problem? – Zmarszczyłam brwi. – Może przypisujesz temu zbyt wiele, to tylko wyjście do kina. To całkiem neutralny grunt.

– A przeczytałaś, co jest wyżej?

Przejrzałam poprzednie wiadomości i cóż... Elliot i Ry chyba mieli rację, bo to nie brzmiało już jak niewinne wyjście do kina, a raczej podwójna randka.

– Okej, już czaję. Odpisz wreszcie tej biednej dziewczynie i się zgódź! – Wcisnęłam bratu telefon do rąk. – Pewnie już tam odchodzi od zmysłów. No już!

– Dobra, dobra, już! – odparł i wystukał szybko krótką odpowiedź. – Rany, co, jeśli to naprawdę randka? – jęknął cicho.

– Wtedy, mój drogi, oficjalnie wyjdiesz z friendzone'a. – Szturchnęłam go lekko w ramię, po czym mocno uściskałam.

– Cam, dusisz mnie – wysapał. Puściłam go więc i zajęłam miejsce między nim a Rileyem.

– Rany, siostra, skąd ty masz tyle pary w rękach, co? – zapytał Elliot, rozmasowując sobie ramię.

– Zapomniałaś chyba, kto z tobą trenował, gdy byłeś młodszy, co? – Wyszczrzyłam się w uśmiechu.

– Uwierz, że mój tyłek nadal pamięta przepychanki z tobą na lodzie.

W to akurat nie wątpiłam ani przez moment...



## Rozdział 28

### Riley

– Mamo, pomożesz mi z tym? – poprosiłem po pięciu próbach zawiązania krawatu. Za każdym razem węzeł wyszedł koślawo.

Mamie oczywiście udało się za pierwszym razem. Miała wprawę po piętnastu latach małżeństwa z facetem, który nawet w weekendy nosił koszule. Tata twierdził, że to stara szkoła, ale ja uważałem, że po prostu ma kij w tyłku, zupełnie jak jego ojciec. Dlatego też rzadko odwiedzałem jego rodziców, nawet przed rozwodem. Dużo bardziej wolałem dom dziadków od strony mamy, gdzie nikt na mnie nie krzyczał, gdy się pobrudziłem lub coś zepsułem.

– Proszę bardzo. – Mama wygładziła też kołnierzyk mojej koszuli i czułym gestem przeczesła mi włosy, jakbym miał siedem, a nie siedemnaście lat. – Przystojnie wyglądasz, wiesz, synu?

Uśmiechnąłem się na ten komplement.

– Dzięki, mamo.

– I pamiętaj, że jest ślisko na drodze, masz uważać, tak?

W nocy spadł pierwszy śnieg i przestało sypać dopiero godzinę temu. Trzy razy odśnieżałem dzisiaj podjazd w obawie, że jeśli będę czekał z tym do wieczora, to nie dam rady ruszyć samochodu. Na wszelki wypadek wrzuciłem też łańcuchy do bagażnika, choć wątpiłem, że się przydadzą.

Miałem odebrać Camryn tuż po szóstej, a potem ruszyć po Juliana i Sloane. Musiałem długo przekonywać mamę, żeby nie jechała ze mną. I tak byłem pewny, że nie wyjdziemy od Cam, zanim jej mama nie zrobi nam całej sesji zdjęciowej. Camryn zdążyła mnie już uprzedzić o takich zamiarach.

Czułem się trochę dziwnie, stojąc pod domem Heartów w garniturze, a nie w dresie, jak to zwykle bywało. W ręce trzymałem niewielkie pudełeczko z korsarzem z żywych kwiatów. Lekko drżałem z zimna, z ust leciała mi para. Odrobinę żałowałem, że zostawiłem płaszcz w samochodzie.

W końcu drzwi otworzyła pani Heart i zaprosiła mnie gestem do środka, po czym zawołała głośno Camryn. Zaparło mi dech, gdy zobaczyłem Cam na szczycie schodów. Blond włosy upięte miała w misterną koronę z warkocza, odsłaniając w ten sposób strojny gorset sukienki, która mieniła się w świetle przy każdym jej kroku. Nie mogłem jednak powstrzymać uśmiechu na widok białych trampek za kostkę. Wyglądała...

– Przepięknie... – Usłyszałem swój cichy głos, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

Nie mogłem oderwać od dziewczyny wzroku. Od jej pełnych gracji ruchów i od niepewnego uśmiechu na twarzy, gdy spoglądała na mnie spod długich rzęs.

– Cześć, Ry – odezwała się, pokonując ostatni stopień.

– Hej, Skrzacie – odpowiedziałem, powstrzymując chęć pogłaskania palcami jej rumianych policzków. – To dla ciebie. – Zreflektowałem się i wyjąłem korsarz z pudełka. Dostrzegłem błysk w jej oczach.

– Założysz mi go? – poprosiła, zadarłszy głowę, żeby utrzymać ze mną kontakt wzrokowy.

Z trudem oderwałem spojrzenie od twarzy Camryn, żeby zawiązać cienką tasiemkę na jej drobnym nadgarstku. Ręce mi drżały, gdy robiłem kokardkę, a oddech przyspieszył. Byłem tak blisko Cam, że czułem ciepło bijące od jej skóry, a słodki zapach perfum wypełnił moje nozdrza.

– Wyglądasz pięknie, Cammie – szepnąłem jej na ucho i jednocześnie musnąłem ustami policzek.  
– Ty też wyglądasz niczego sobie, Ry. – Uśmiechnęła się, pociągnawszy lekko za mój srebrny krawat, pasujący do brokatu i koralików, którymi wyszywany był gorset jej sukienki.  
– Gotowa? – Zaoferowałem Cam ramię, na co cicho zachichotała, ale zaraz je ujęła.  
– Gotowa – odpowiedziała, nie przestając się uśmiechać.  
– Moment, moment! – zatrzymała nas pani Heart. – Nie wyjdziecie stąd bez zdjęcia. Ry, obiecałam twojej mamie.

Nie mieliśmy więc innego wyboru, jak tylko zapozować w kilku miejscach wskazanych przez Florence. Całe szczęście przyjechałem po Camryn odpowiednio wcześniej, by nie martwić się czasem. Co nie zmieniało faktu, że Julian już do mnie wydzwaniał, ledwo zdążyliśmy wsiąść do samochodu. Prawie chodził po ścianach, czekając na nas. Stresował się przed spotkaniem z Sloane.

Tej dwójce także się nie upiekło i zanim do nas dołączyli, musieli przetrwać małą sesję zdjęciową. Pod szkołą byliśmy w zasadzie na styk, a minęła też dłuższa chwila, zanim udało mi się zaparkować gdzieś na szarym końcu. Dziewczyny więc prawie szczękały zębami z zimna, gdy pokonywaliśmy dystans dzielący nas od sali gimnastycznej.

Teraz trudno było rozpoznać, że na co dzień graliśmy tu w koszykówkę. Ściany zostały w całości przykryte srebrzystym płótnem zasłaniającym też wszystkie okna. Ostre jarzeniówki zastąpiły punktowe światła rozmieszczone w strategicznych miejscach, przez co w pomieszczeniu panował półmrok.

– Wow, klub teatralny poszalał w tym roku – stwierdziła Sloane. Dla niej, podobnie jak dla Juliana, nie był to pierwszy bal zimowy. Jednak ja i Cam byliśmy nowicjuszami i oboje nieco niepewnie rozglądaliśmy się wokół, trzymając się za ręce.

Na sali panował już tłok i grała głośna muzyka. Minęła dłuższa chwila, zanim znaleźliśmy wolny stolik, a Julian skoczył po coś do picia dla dziewczyn.

– Daj mi znać, gdyby noga zaczęła ci dokuczać i chciałabyś wrócić wcześniej do domu, dobra? – zwróciłem się do Camryn stojącej tak blisko mnie, że w zasadzie byliśmy sklejeni ramionami.

– Dobra – zgodziła się, ściskając lekko moją dłoń. – Pod warunkiem, że chociaż raz ze mną zatańczysz.

Byłem beznadziejnym tancerzem, ale nie mogłem jej odmówić. Czekałem więc na jakiś wolniejszy kawałek, żeby poprosić ją do tańca. Stwierdziłem, że bujanie się nie może być aż takie trudne i powinienem dać sobie z tym radę.

W końcu się doczekałem, ale wyciągałem Camryn na parkiet z sercem w gardle. Musiała wyczuć, jak bardzo się denerwuję, bo uśmiechnęła się pokrzepiająco, zarzucając ręce na mój kark.

– To nie takie trudne, zobaczysz – szepnęła mi do ucha. Jej ciepły oddech łaskotał moją szyję, przez co z trudem się skupiałem, a miałem jeszcze przy tym wszystkim tańczyć.

To ona nas prowadziła, jednak nie potraktowałem tego jako ujmy dla mojego męskiego ego. Dlaczego bym miał? Chciałem zadowolić Cammie, a jeśli właśnie taniec sprawiał jej tyle radości, byłem gotów zrobić z siebie błazna.

Staralem się jej nie deptać, przez co nasze ruchy miejscami wydawały się nieco niezgrabnie, ale z twarzy Cam nie schodził uśmiech, więc nic więcej się dla mnie nie liczyło.

*I keep looking at you and it feels right*

*I've been staring at the sun, got me hypnotized*

*Can't look away, can't look away*

*Hey, hey, hey*

Obróciłem Camryn i na powrót zamknąłem w swoich ramionach, a wtedy z jej ust wydobył się perlisty śmiech. Przymknęła na moment oczy, a gdy je na powrót otworzyła, błyszczały żarem.

*I need to see it, feel it, breathe it*

*Don't let the light go, light go*

*I need to see it, feel it, breathe it*

*Don't let the light go, light go[2].*



Chciałem ją pocałować. Właśnie tutaj. Właśnie teraz. Ale nie mogłem. Nie tak. Nie, dopóki nie dowie się wszystkiego.

W końcu piosenka się skończyła, a chwila minęła. Objąłem dłońmi twarz Camryn i oparłem czoło o jej skroń.

– Co się dzieje, Ry? – zapytała cicho, wyraźnie zaniepokojona.

– Nie mogę cię pocałować, nie mówiąc ci wcześniej prawdy – wyznałem wprost.

Rozchyliła różowe wargi i odetchnęła głęboko, odsuwając się ode mnie. Zniknął uśmiech, a z brązowych oczu uleciał nagle cały blask. Skinęła krótko głową na znak zgody.

Trzymając się za ręce, wyszliśmy na ciemny korytarz, po czym usiedliśmy obok siebie na schodach. Byłem pewny, że gdy nadejdzie ten moment, poczuję w końcu ulgę. Zamiast tego dowiedziałem się, że serce potrafi naprawdę boleć.



## Rozdział 29

### Riley

*Miami, dwa miesiące po wyprowadzce z Harlow...*

*Na stadionie wysiadł prąd i po kwadransie sterczenia w ciemności trener wysłał nas do domu. Mama była w pracy, a tata jak zwykle nie odbierał, więc zabrałem się z kolegą, który mieszkał po sąsiedzku. Jechaliśmy z jego starszym bratem. Ridge niedługo wcześniej skończył studia i wszystko, o czym opowiadał, wydawało mi się szalenie ciekawe, niemal... egzotyczne. Nawet się cieszyłem, że z dzisiejszego treningu nic nie wyszło. Historie Ridge'a były dużo ciekawsze.*

*Drzwi do domu były zamknięte na klucz, więc w pierwszej chwili myślałem, że taty nie ma. Zazwyczaj zapominał to zrobić, czym doprowadzał mamę do szału. Na takie szaleństwa mogliśmy sobie pozwolić w Harlow, gdzie policja częściej wpadała do April na herbatkę, niż łapała przestępców, bo zwyczajnie nie miała kogo łapać. Zupełnie inaczej sprawy wyglądały w Miami. Czasem miałem wrażenie, że tu syreny nigdy nie cichły. Szum ruchu ulicznego nie słabł nawet w późnych godzinach nocnych, przez co tym bardziej tęskniłem za Harlow, gdzie zamiast autostrady w pobliżu był las. Jednak przede wszystkim w Harlow była Camryn Heart, moja najlepsza przyjaciółka, w której skrycie się podkochiwałem. Skrycie, bo Julian udusiłby się ze śmiechu, gdybym czymś się zdradził. Mama mówiła, że to ten okres w dorastaniu, kiedy dziewczyny albo są super, albo jeszcze fuj. Ale Camryn zawsze była super.*

*Miałem już zawołać Atlasa, żeby zabrać go na spacer, gdy zza uchylonych drzwi do gabinetu taty dobiegł mnie znajomy głos. To była mama Juliana, pani Hill. Nie robiła tak dobrych ciasteczek jak moja mama i wydawała się wiecznie z czegoś niezadowolona, jednak ogółem nie była chyba taka zła... Przynajmniej Julian nie mówił o niej za dużo. Zwykle opowiadał o tacie, a z jego mamą głównie mijalem się w drzwiach, kiedy wpadałem do niego w odwiedziny. Julian zawsze miał najnowsze gry szybciej od reszty kolegów. Tata kupował mu je na przeróżnych wyjazdach służbowych.*

*– ...tłumaczyłam jej, że już nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Aiden chce się przyznać, ale na co to się zda? Camryn nie może tańczyć, a nikt nie jest w stanie udowodnić, że do jej upadku doprowadził umyślnie. Nikt się też przecież nie zorientował. Najważniejsze, że Yara i Aiden dostali te stypendia. Teraz i tak nikt się nie dowie, co naprawdę zaszło, bo i skąd?*

*Wmurowało mnie w ziemię. Zaczęłem przetwarzać to, co usłyszałem, i zrobiło mi się zimno. Aiden upadł specjalnie? Skrzywdził Camryn, by utorować Yarze drogę do stypendium? Nie wierzyłem własnym uszom. Nie wierzyłem, że mógł to zrobić. Że ktokolwiek mógłby to uczynić, i to komuś takiemu jak Camryn. Cammie zawsze miała serce na dłoni dla wszystkich. Godzinami trenowała z Yarą, gdy ta miała problem z opanowaniem jakiejś choreografii. Pomagała też Aidenowi, kiedy nie mógł poradzić sobie z algebrą. Sam miałem w drużynie chłopaków, za którymi za szczególnie nie przepadałem, jednak nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby umyślnie kogoś kontuzjować.*

*– To prawda? To nie był wypadek? – zapytałem cicho.*

*Tata dopiero wtedy mnie dostrzegł i natychmiast pobladał.*

– Muszę kończyć, kochanie – rzucił do telefonu, po czym się rozłączył.

„Kochanie”. Nawet do mamy tak nie mówił. Nigdy jej tak przy mnie nie nazwał. Moi rodzice przez większość czasu zachowywali się bardziej jak współlokatorzy niż małżeństwo. Teraz wszystko zdawało się układać w jedną całość. Zrozumiałem, czemu mama Juliana mnie nie lubiła. Czemu byliśmy pomijani, gdy pani Hill organizowała sąsiedzkie barbeque. Czemu mój ojciec ostatnio wyjeżdżał częściej niż zwykle i bardzo często akurat w tym samym czasie, kiedy nie było też mamy Juliana. Czulem, jak mocno wali mi serce.

– Mama wie? – udało mi się tylko wydusić.

Skinął głową i cofnął się o krok, jakby spodziewał się ataku z mojej strony, ale w tym konkretnym momencie nie miałem siły na konfrontację. Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem na górę poszukać psa.

Potem długie godziny włóczyłem się po okolicy z Atlasem przy boku, z pustką w sercu i chaosem w głowie. W tym momencie chciałem tylko cofnąć czas, wrócić do Harlow, udawać, że nic się nie wydarzyło. Że ten dzień się nie wydarzył.

Spojrzałem w niebo, ale przez te wszystkie światła wokół nie było widać gwiazd. Tego też mi brakowało po wyprowadzce. Brakowało mi gwiazd, bo te przypominały mi o Camryn. Camryn... Ona nie mogła poznać prawdy. Nie mogła się dowiedzieć, że dwójka jej przyjaciół zdradziła ją w najgorszy możliwy sposób. Odebrali Cammie marzenia.

\*\*\*

Gdy wróciłem do domu kilka godzin później, mama mocno mnie uściskała i się rozplakała.

– Błagam cię, nie rób tak więcej – poprosiła cicho, tuląc mnie do siebie. – Dzwoniłam już na policję, wszyscy sąsiedzi cię szukali. Hayden, zadzwoń proszę na posterunek i daj im znać, że Ry wrócił.

Ojciec tego dnia chyba po raz pierwszy nie zaprotestował, gdy mama go o coś poprosiła. Odszedł na bok, żeby wykonać telefon, po czym też chciał mnie objąć, ale odsunąłem się gwałtownie.

– Nawet nie udawaj, że bardzo się przejąłeś – warknąłem.

– Ry, wystarczy – upomniała mnie mama. – Oboje bardzo się o ciebie martwiliśmy.

– Ale, mamo, on cię zdradza!

Po tych słowach skrzywiła się, jakby dostała w twarz. Po jej minie wiedziałem jednak, że to nie była dla niej nowość. Nie wyglądała na zaskoczoną – wyłącznie zranioną.

– Wiem, Ry – odpowiedziała cicho. – Właśnie dlatego się przeprowadziliśmy. To była ostatnia szansa twojego taty.

\*\*\*

Następnego dnia rodzice prawie się do siebie nie odzywali. Tata przesiadywał w swoim gabinecie, ja siedziałem z mamą w salonie i oglądaliśmy bez większego zaangażowania głupawe komedie, które dziś ani trochę nas nie bawiły. Na kolację zamówiliśmy pizzę, ale nawet wtedy ojciec do nas nie dołączył. Wynurzył się ze swojej jaskini dopiero, kiedy był przekonany, że już śpię. Ja jednak, leżąc w łóżku, przypomniałem sobie, że nie naszykowałem Atlasowi świeżej wody na noc. Ledwo dotarłem do schodów, gdy usłyszałem podniesione głosy rodziców.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz, Hayden – warknęła mama. – Tej dziewczynie należy się prawda i odszkodowanie za głupotę własnych przyjaciół, a ty i Elle ich chronicie. W imię czego?

– Nie zrobiłabyś tego samego dla Riley'a?

– A ty? Zrobiłbyś to dla niego?

Odpowiedziała jej wymowna cisza.

– Tak właśnie myślałam – podsumowała. – Ciebie w ogóle mało co obchodzi nasza rodzina, co?

– Dawn, uspokój się...

– Ależ ja jestem spokojna – przerwała mu. – Inna na moim miejscu wyrzuciłaby cię na bruk już wiele miesięcy temu, ale nie, ja naiwna dałam ci kolejną szansę. Przeprowadziliśmy się z dala od Harlow, jednak to niczego nie zmieniło. Dalej jeździłeś na te swoje cholerne konferencje, by pod przykrywką spotykać się z Elle. Nie mylę się, prawda?

Nie poruszyłem się. Zacisnąłem tylko nieco mocniej dłoń na balustradzie. Nie chciałem uronić choćby słowa.

– Wynajęliśmy dom, jaki chciałaś, masz wszystko, Ry ma wszystko, czego ty jeszcze ode mnie chcesz, Dawn?

– Cholerne go rozvodu, Hayden. Chcę rozvodu – powtórzyła z mocą. – Z orzeczeniem o twojej winie i z moim wyłącznym prawem do opieki nad Rileyem.

– Nie zapędziłaś się trochę?

Serce zabiło mi mocniej. Chciałem zostać z mamą. Musiałem zostać z mamą.

– Nie, Hayden, i nawet nie udawaj, że chociaż trochę cię tym przejmujesz. Nie tego chciałeś?

– Rozwód? W porządku. Ale wyłączoną opiekę dostaniesz tylko w sytuacji, kiedy oboje z Rileyem nie puścicie pary z ust na temat wypadku Camryn. Jeśli choćby nabiorę podejrzeń, złożę wniosek do sądu o prawa do opieki.

– Czy ty mi grozisz, Hayden?

– Grożę – odpowiedział dobitnie. – I spełnię swoją groźbę. Ry jest jeszcze za młody, żeby samodzielnie podjąć decyzję, z kim chce mieszkać.

– Szastasz dobrem naszego syna, by chronić czyjeś dzieci. – Głos mamy stał się tak cichy, że z trudem rozróżniałem słowa.

– Naprawdę chcesz tak ryzykować?

– Nie – odpowiedziała krótko. – Ja i Ry niczego nie powiemy, a ty zrzekniesz się praw do opieki.

Poczułem ucisk w gardle. Camryn miała nigdy nie dowiedzieć się prawdy w zamian za spokój mój i mamy. Mój los tkwił w rękach dorosłych, a ojca stać było na dobrego prawnika. Znacznie lepszego niż mamę. Nie wierzyłem już w sprawiedliwość. Nie po tym, czego się dowiedziałem w ciągu ostatniej doby. Nie chciałem słyszeć ani słowa więcej, więc wróciłem po cichu do swojego pokoju i długo leżałem, zanim udało mi się zasnąć. Przed oczami w kółko widziałem Camryn w szpitalnym łóżku, zaraz po wypadku, który... Tak naprawdę nie był tylko wypadkiem. Ale tego miała się nigdy nie dowiedzieć.

\*\*\*

Gdy wstałem rano, ojca już nie było, podobnie jak jego rzeczy. Nawet się ze mną nie pożegnał. Mama za to podała mi starter z nowym numerem.

– Od dziś używaj tego numeru i nie odzywaj się do nikogo z Harlow, rozumiesz? I spakuj się, pojedziemy na kilka dni do Kolorado.

– Ale... – zaprotestowałem.

– Nie, Riley. Obiecuj mi, że spełnisz moją prośbę. Musisz mi to obiecać.

Przelknąłem łzy, które zbierały mi się na samą myśl o tym, że stracę kontakt z dwójką najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem. Że stracę Cam i Juliana.

– Obiecuj mi, Ry – powtórzyła mama.

– Obiecuję – odpowiedziałem cicho, a potem włożyłem do telefonu nową kartę SIM.

Gdy mama nie patrzyła, zapisałem jednak jeden numer, zanim wyczyściłem pamięć telefonu. Numer do Camryn. Tak na wszelki wypadek.

\*\*\*

Nowy Jork, kilka miesięcy później

Wykorzystałem to, że mama musiała lecieć na szkolenie do Nowego Jorku, i zamiast pojechać do dziadków do Kolorado albo zostać u znajomych w Miami, zabrałem się razem z nią. Po czasie nie wiedziałem, co mnie podkusiło, ale gdy miałem trochę wolnego czasu, poszedłem do szkoły baletowej, do której uczęszczali Yara i Aiden. Siedziałem przed budynkiem przez kilka godzin, aż w końcu dostrzegłem znajomą postać.

– Riley? – zapytał Aiden z niedowierzaniem i zatrzymał się nagle, jakby wryło go w ziemię. Zrobił się blady jak ściana. – Co ty tu robisz?

– Moja mama ma szkolenie dwie ulice dalej. – Wzruszyłem ramionami.

– Ty wiesz, prawda? – Chyba cały się trząsł. Zniknął gdzieś pewny siebie chłopak, którego pamiętałem, a w jego miejsce pojawił się udręczony nastolatek.

Przytaknąłem.

– A Camryn?

*Zaprzeczyłem ruchem głowy.*

*– Nie mamy ze sobą kontaktu od kilku miesięcy.*

*Aiden rozejrzał się wokół, a gdy znów na mnie spojrział, w jego bladych oczach dostrzegłem łzy.*

*– Musisz mi uwierzyć, ja chciałem jej powiedzieć, Ry. Naprawdę chciałem, ale rodzice Yary są dużo lepiej ustawieni niż moi. Jej mama zniszczyłaby moją rodzinę i zrzuciła na mnie całą winę, a Yara wszystkiego by się wyparła.*

*Miałem ochotę powiedzieć mu, że właśnie na to zasłużył. Że zasłużył na to wszystko, odbierając Camryn marzenia. Nie zrobiłem jednak tego.*

*Nie zrobiłem nic, bo bałem się swojego ojca równie mocno, jak Aiden matki Yary.*

Camryn

Czułam pustkę w sercu, która rosła z każdym słowem Riley'a. Pod koniec byłam już pewna, że w mojej klatce piersiowej ziele otwór, choć wiedziałam, że to niemożliwe. Ale było właśnie tak, jakby wszystko wokół zamilkło. Tylko po to, by z głośnym wrzaskiem wyrwać mi serce z piersi.

Yara i Aiden. Moi przyjaciele. Tak o nich myślałam przez lata. I Riley. On też był moim przyjacielem. Spojrzałam na niego, ale łzy rozmazywały jego twarz ściągniętą bólem. Uderzyłam go pięścią w pierś. A potem jeszcze raz i jeszcze. Nie szlochałam już. To, co teraz wydostawało się z moich ust, przypominało skowyt zranionego zwierzęcia.

– Jak mogłeś, Ry? Jak mogłeś trzymać to przede mną tak długo w tajemnicy? – wychrypiałam, z trudem panując nad kolejną falą płaczu. Miałam wrażenie, że za moment dostanę ataku paniki.

– Chciałem ci powiedzieć, gdy tylko się dowiedziałem, ale ja... – Urwał nagle. On też płakał. Płakał jak dziecko. – Bałem się, że on naprawdę odbierze mnie mamie. Oboje siedzieliśmy więc cicho, bo i tak nikt by nam nie uwierzył, gdyby wkroczył do akcji wraz z matką Yary. Dwóch dorosłych przeciw słowom dzieciaka, który nie lubi swojego starego.

– Aiden... – Poczułam ból w piersi na samą myśl o dawnym przyjacielu i partnerze w tańcu. – To go zabiło, prawda?

– Nie wiem na pewno, ale możliwe, że po części tak – odpowiedział Ry. – Bardzo go to gryzło, ale miał też świadomość, że Yara wszystkiemu by zaprzeczyła.

Ogarnęła mnie wściekłość. Bezbrzeżna wściekłość. Słyszałam wołającego za mną Riley'a, ale się nie zatrzymałam. Wbiegłam z powrotem do sali i odnalazłam wzrokiem Yarę, a potem podeszłam i wymierzyłam jej siarczysty policzek.

– Oszalałaś?! – krzyknęła, łapiąc się w miejscu, w którym pozostał ślad po mojej dłoni.

– Ja?! – prychnęłam. – Ja oszalałam, tak?! Ty namówiłaś swojego chłopaka, żeby mnie kontuzjował, ale to mnie odbiło?

Krew odpłynęła jej z twarzy. Wokół nas zdążył zgromadzić się całkiem spory tłum i byłam pewna, że wszyscy mnie słyszeli.

– Skąd ty... – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Miał nikomu nie mówić, nikt nie miał się dowiedzieć.

– Riley mi powiedział. Wszystko mi powiedział. Jak ty w ogóle możesz spojrzeć w lustro po czymś takim? Jak możesz wstać z łóżka, wiedząc, że Aiden zginął z takim ciężarem na barkach? Jak możesz...

Nie zdążyłam dokończyć, bo poczułam szarpnięcie. W moje ramię od tyłu wbiły się czyjeś długie paznokcie.

– Panno Heart, to nie czas i miejsce na takie przedstawienia. – Usłyszałam za sobą głos pani Hill.

– A ja myślę, że to idealny czas i miejsce, mamy wspaniałą widownię! Jakże łaskawie ze strony pani córki, że kolejnej rywalce tak dla odmiany nic nie złamała. Może dlatego, że tym razem nie mogła liczyć na Aidena? A może pani kochanek nie ma już siły przebicia?

– Camryn – rzuciła ostrzegawczo, ale w jej twarzy dostrzegłam strach.

– Obie jesteście sobie warte. – Wskazałam Yarę i jej matkę. – Ale w nosie mam wasze groźby, bo co gorszego może mnie spotkać? Piekło zamarnie?

– Mamo, to prawda? Zdradzałaś tatę? – Zza moich pleców dobiegł głos Juliana.

– Nie będę rozmawiać na takie tematy przy uczniach!

– A czemu nie, skoro zaraz się okaże, że w swoje gierki zaangażowałaś pół szkoły? Camryn, Riley,

Aiden... Ktoś jeszcze? Może jacyś chętni?

Wszyscy wokół jak oniemiała przypatrywali się rozgrywającej się scenie – dopóki nie pojawił się trener Burke.

– Reed, Hill, wynocha stąd, zanim obu posadzę na ławce na resztę sezonu. Ty też, Heart, ruchy! – Zaklaskał w dłonie, jakby prowadził trening na lodowisku. – Pani dyrektor – zwrócił się uprzejmie do pani Hill. – Parkiet należy do pani, proszę się dobrze bawić.

Obrócił się na pięcie i pogonił naszą trójkę na zewnątrz.

– Dzwonię po kolei po waszych rodziców i bez dyskusji. Albo odbierze was rodzic, albo będziecie tu spać, dopóki nie przyjdą, jasne?

Przytaknęliśmy niemrawo. Czułam się tak, jakbym oderwała się od własnego ciała. Uderzyłam Yarę, zrobiłam awanturę na balu i jeszcze powiedziałam przy wszystkich o romansie dyrektorki. Mogłam zapomnieć o MIT[3] po takim cyrku. O jakiegokolwiek rozsądnej uczelni.

Pierwszy przyjechał ojciec Juliana i po krótkiej rozmowie z trenerem oznajmił synowi, że najbliższych kilka nocy spędzą w hotelu. Potem pojawiła się Dawn. Nie mogła powstrzymać łez, gdy objęła najpierw mnie, a następnie Rileyę. Zaraz za nią przyszedł mój tata w stanie kompletnego szoku po tym, co usłyszał od wuefisty.

Rodzice zostawili nas na moment pod czujnym okiem trenera Burke'a. Dawn płakała, pan Hill zwiesił ramiona – nagle stał się zupełnie niepodobny do pewnego siebie biznesmena, którego znałam, a tata nie przestawał kręcić głową z niedowierzaniem. Wiedziałam jedno – obaj uwierzyli Dawn. W każde jej słowo.



## Rozdział 30

### Camryn

Nie pamiętałam drogi do domu. Byłam odrętwiała. Ry wrócił z mamą hondą, ja pojechałam z tatą. Nie miałam pojęcia, co się stało ze Sloane, napisałam więc do niej krótką wiadomość. Odpisała natychmiast, że wszystko u niej okej i żebym się nie martwiła.

Tak bardzo cieszyłam się na ten bal. To miał być wyjątkowy wieczór i w jakimś sensie był, przez krótką chwilę.

Mama czekała na nas już w drzwiach, owinięta ciepłym swetrem. Przytuliła mnie mocno.

– Tak mi przykro, Cam – wyszeptała. – Wolałabym, żeby to był tylko wypadek.

– Ja też, mamó. Ja też – odpowiedziałam cicho, zaciskając powieki, żeby więcej już nie płakać. Zdrada przyjaciół bolała. Przez moment byłam piekielnie zła na Rileya, ale potem zalała mnie czysta furia i nienawiść do Yary. Dawna przyjaciółka tak po prostu odebrała mi marzenia i miałam wrażenie, że nie czuła się winna. Nie chciała tylko, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Dawn i Ry powinni tu zaraz być – dodała mama, wypuszczając mnie z uścisku, gdy planowałam już ruszyć do siebie na górę. – Idź do kuchni, Cammie. Z tobą też będziemy chcieli porozmawiać.

Przytaknęłam. Wiedziałałam, że sobie nagrabiłam. Zadziałał impuls, teraz jednak cała szkoła wiedziała nie tylko o tym, że mój wypadek nie był zwykłym wypadkiem, ale także o romansie dyrektor Hill. Nawet nie chciałam myśleć o tym, co będzie się działo, gdy wrócimy tam po weekendzie. I Julian... Gdybym mogła cofnąć czas, ugryzłabym się w język. Teraz jednak było już za późno, mleko się rozlało.

Nastawiłam wodę na herbatę i sięgnęłam po ręcznik kuchenny. Zwilżyłam go wodą, po czym wytarłam nim policzki, zmywając część smug po tuszu do rzęs, który spłynął razem ze łzami. Trochę bolała mnie też ręka po tym, jak uderzyłam Yarę. Na filmach wyglądało to jakoś dużo prościej i mniej boleśnie.

Pierwszy do kuchni wszedł Riley. Miał podpuchnięte, czerwone oczy, ale już nie płakał. Ja też nie miałam więcej łez do wylania.

– Ry... – wydusiłam, a on objął mnie i mocno do siebie przytulił. Oparł brodę na czubku mojej głowy, po czym zaczął nas lekko kołysać.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz – obiecał cicho. – Wiem też, żeby ci się nie narażać, bo ten plaskacz to był całkiem niezły.

Zachichotałam, po czym, słysząc zbliżające się kroki, wyswobodziłam się z jego uścisku. Riley złapał mnie za rękę. Nie puścił jej nawet, gdy siadaliśmy przy stole.

– To, co zrobiłaś, było bardzo głupie, Cam. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę – zaczął mój tata i posłał mi surowe spojrzenie.

– Wiem, ja... Nie pomyślałam – przyznałam niechętnie, choć zupełnie szczerze. – Gdy Ry mi wszystko opowiedział... Coś we mnie pękło.

– To akurat całkiem zrozumiałe – wtrąciła Dawn. – Faktem jest jednak, że to nie dotyczyło tylko ciebie czy Yary, ale też Juliana, Aidena i nas. – Wskazała na siebie i Rileya. – Konsekwencje tego, co się

dzisiaj wydarzyło, będą dużo większe, niż ci się wydaje.

– Co się stanie z rodzicami Juliana? – zapytałam, choć znałam odpowiedź.

– Vincent domyślał się od dłuższego czasu, że Elle ma romans. Ich małżeństwo od dawna trzymało się na włosku, więc Vincent najprawdopodobniej złożył pozew o rozwód.

– A Julian? Będzie mógł zdecydować o zostaniu z tatą?

Pękało mi serce na myśl o Julianie, ale jednocześnie bałam się, czy będę w stanie spojrzeć mu w twarz po tym, jak rozwaliliśmy jego rodzinę na oczach całej szkoły.

– Myślę, że tak, jest prawie dorosły – pocieszyła mnie mama. – To będzie dla niego trudny czas, więc przyda mu się wasze wsparcie.

– Nie wiem, czy po tym wszystkim w ogóle będzie chciał mnie widzieć. – Westchnęłam, krzywiąc się.

– Na pewno będzie potrzebował chwili, żeby ochłonąć, ale przyjaźnicie się od przedszkola, Cam – przypomniał mi tata. – I myślę, że gdy się z tym wszystkim prześpi, nie będzie miał do ciebie żalu.

– Mam taką nadzieję...

Nie wyobrażałam sobie życia bez Juliana. Zawsze był gdzieś obok i gdy Ry wyjechał, miałam w nim największe wsparcie. Jasne, że czasem doprowadzał mnie do szewskiej pasji, ale tak to już bywało z przyjaciółmi – czasem ścieraliśmy się o różne głupoty. Nigdy jednak nie zdarzyło nam się pokłócić na dłużej niż kilkanaście godzin. Widywaliśmy się w zasadzie codziennie od dnia, w którym poznaliśmy się w przedszkolu. Dwaj muskietierowie, ja i Julian. Potem było nas troje, gdy pojawił się Ry, a ostatnio czworo, kiedy dołączyła do nas również Sloane. Nie chciałam nawet myśleć, że mogłoby być inaczej.

– A co z Yarą? – wtrącił Riley. – Poniesie jakiegokolwiek konsekwencje?

– Sam mówiłeś, że to słowo przeciwko słowu – przypomniałam mu. – A Aiden nie żyje.

– Camryn ma rację, Ry – poparła mnie Dawn. – Nic nie możemy im teraz udowodnić. Już Elle i twój ojciec dobrze to sobie przemyśleli. Zgodziliśmy się z rodzicami Camryn, że na tę rodzinę spadnie teraz wystarczająco dużo nieszczęścia. Na dodatek Fisherowie wciąż są w żałobie.

– I nic? Yara tak po prostu będzie dalej zatruwać innym życie? – drażył Ry, coraz bardziej podburzony, choć już musiał sobie uświadomić to co ja. Że byliśmy bezradni.

– Jutro za Yarę zatańczy Isabelle – oznajmiła mama. – Madame Blanchard chyba nadal ma mnie dodaną do listy, bo dostałam od niej wiadomość skierowaną do rodziców uczniów szkoły baletowej. Napisała w niej, że w zespole oczekuje zdrowej rywalizacji i że Yara została odsunięta od wszelkich występów do czasu wyjaśnienia sytuacji. Myślę, że to dla dziewczyny wystarczająca kara. Wieści szybko się rozchodzą.

– To się porobiło... – podsumował cicho Riley.

– Mam nadzieję, że ty również zdawałeś sobie sprawę, jakie mogą być skutki tego, co powiesz Camryn. – Dawn spojrzała znacząco na syna, a ten przytaknął w odpowiedzi.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli oboje zostanieiecie w domu w przyszłym tygodniu, porozmawiam o tym z wicedyrektorem – zasugerował tata, wymieniając spojrzenia z mamą i Dawn. – I niech żadnemu choćby nie przemknie przez myśl, by iść jutro na balet.

– Ale... – zaczęłam, jednak nie pozwolił mi skończyć. Zawsze chodziłam na występy organizowane przez moją szkołę baletową, nawet gdy już nie mogłam tańczyć.

– Nie, Camryn – odpowiedział stanowczo. – Dość się stało, jutro zostajesz w domu. To nie podlega dyskusji. Co najwyżej możesz pojechać z nami do dziadków.

Nie protestowałam już. Wiedziałam, że klamka zapadła, a i tak miałam szczęście, że obyło się bez szlabanu. Bez względu na okoliczności uderzyłam przy wszystkich koleżankę ze szkoły. Ba, spodziewałam się, że jutro do rodziców zadzwoni ktoś z sekretariatu z informacją o moim zawieszeniu.

Rodzice odesłali nas do mojego pokoju, żeby jeszcze porozmawiać, tym razem na osobności. Usiedliśmy koło siebie na łóżku – ja z głową opartą na rękach, a Ry z dłońmi splecionymi luźno na kolanach.

– Myślisz, że zawieszą mnie akurat na resztę dni przed świętami czy będę jeszcze odsiadywać swoje po przerwie świątecznej? – zapytałam, mrużąc oczy w półmroku. Nawet nie zapaliliśmy światła. Byłam wyczerpana.

– Wątpię, że w ogóle cię zawieszą – stwierdził. – Wicedyrektor nigdy nie był wielkim fanem pani Hill. Raczej się ucieszy, że ona i Yara dostały po nosie, ale nie powie tego na głos.



Zachichotałam cicho. Możliwe, że Ry miał rację. Oni rzeczywiście się nie lubili, jednak wiedziałam, że w naszej szkole panuje zero tolerancji dla przemocy, a ja, jakby tego nie usprawiedliwiać, uderzyłam Yare w twarz. Nie byłam pewna, na ile pan Stockdale będzie miał pole manewru w temacie mojego zawieszenia. Złamałam punkt regulaminu i temu akurat nie dało się zaprzeczyć.

– No nic, pewnie jutro poznam wyrok, gdy tata zadzwoni do wicedyrka. – Wzruszyłam ramionami. Na tym etapie zaczynało mi być wszystko jedno.

– Nie przejmowałbym się tym za bardzo na twoim miejscu.

– To może wylądować w moich papierach, Ry – przypominałam mu. – Nie wiem, czy zaimponuję tym MIT.

– A więc MIT? – Uśmiechnął się.

Długo ostatnio rozmawialiśmy o ewentualnych uczelniach, na które mogłabym pójść, i coraz bardziej rozważałam MIT, choć nie miałam pojęcia, czy mam realne szanse, żeby się tam dostać. Nasz szkolny doradca zawodowy twierdził, że tak, ale pan Lang był tak miły, że czasem zastanawiałam się, czy nie mówi nam po prostu tego, co chcielibyśmy usłyszeć.

– Może – odpowiedziałam, siląc się na obojętny ton, choć coraz bardziej mi zależało. Chciałam chociaż spróbować. Jeśli okaże się, że pójdzie w ślady taty nie jest dla mnie, znajdę kolejny plan awaryjny. Zawsze jakiś znajdowałam.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę, a potem przypominałam sobie, od czego zaczęła się dzisiejsza katastrofa i spojrzałam na Rileyę.

– Ry? – odezwałam się cicho.

– Hm? – mruknął w odpowiedzi, przenosząc na mnie wzrok.

– Zanim to wszystko się dziś wydarzyło... – Odetchnęłam głęboko, bo czułam, jak zaczynają palić mnie policzki. – Powiedziałeś, że nie możesz mnie pocałować, nie mówiąc mi wcześniej prawdy. Ale ja już znam prawdę, Ry.

W półmroku niebieskie oczy Rileyę wydawały się ciemnoszare. Jego grdyka się poruszyła, gdy nerwowo przełknął ślinę... A potem mnie pocałował. Z początku ledwo musnął wargami moje usta. Nieśmiało, niepewnie... słodko, choć czułam jeszcze na języku słony smak łez. A wtedy Ry ujął moją twarz w dłonie, pogłębiając pocałunek. Nie przerywając pieszczoty, wspięłam się na jego kolana i usiadłam na nim okrakiem. Straciłam kontakt z rzeczywistością. Istniał tylko Riley. Jego usta, jego dłonie, jego dotyk. Nie myślałam w tym momencie o niczym poza chłopakiem, który pięć lat temu wygrzebywał piłkę z róz mojej mamy. Chłopakiem, w którym zakochałam się po same uszy, choć przysięgałam sobie, że tego nie zrobię. Czasem jednak serce wiedziało lepiej.

Były bowiem rzeczy warte wybaczenia.

## Rozdział 31

### Riley

Camryn udało się uniknąć zawieszenia. Zamiast tego miała pomóc przy uprzątnięciu dekoracji z sali gimnastycznej i przez tydzień pełnić dyżur w szkolnej bibliotece, gdy tylko wrócimy do szkoły po przerwie zimowej. Natomiast pani Hill została odsunięta ze stanowiska dyrektora ze skutkiem natychmiastowym, gdy tylko rodzice uczniów zaczęli wydzwaniać do szkoły. Yara również przez cały tydzień przed świętami nie pojawiła się na żadnych zajęciach, podobnie zresztą jak Julian. Chłopak po kilku dniach spędzonych w hotelu pojechał z tatą do dziadków do Rochester. Sloane informowała nas o wszystkim na bieżąco, bo Julian na razie nie odezwał się ani do mnie, ani do Cammie.

Dodatkowy tydzień wolnego spędziliśmy z Camryn na obijaniu się. Siedzieliśmy albo u niej, albo u mnie, chodziliśmy na długie spacery z Atlasem, dwa razy pojechaliśmy też do dziadków Camryn, żeby pomóc w przygotowaniach do świąt. Nie obyło się bez wybierania drzewka w lasku za domem państwa Heart, gdzie brnęliśmy po kolana w śniegu. Mieliśmy z tym jednak dużo frajdy, choć byliśmy przemarznięci aż do kości. Potem jeszcze dekorowaliśmy dom z zewnątrz jakimś milionem światełek, przez co przez dobrą godzinę nie mogłem potem rozprostować palców.

Na dzień przed Wigilią planowaliśmy polecieć z mamą do Denver na święta i resztę przerwy zimowej. Po raz pierwszy od mojego powrotu do Harlow miałem się rozstać na tak długo z Camryn. Na dodatek postanowiliśmy oszczędzić Atlasowi stresu podczas podróży samolotem, więc zostawialiśmy go u Heartów. Zwykle czekałem cały rok na wyjazd do Kolorado, ale tym razem najchętniej zostałbym w domu.

Atlas w dniu wyjazdu od rana był niespokojny. Musiał wyczuwać moją zmianę nastroju, bo niemal nie odstępował mnie na krok, a gdy wyciągnąłem walizkę spod łóżka, miałem wrażenie, że patrzy na mnie oceniająco. Nie pomagał mi też przy pakowaniu. Wyciągał wszystko, co wsadziłem do bagażu, i wędrował z tym po całym domu. Potem więc zbierałem skarpetki z kuchni, a prezent dla dziadków schował aż w łazience.

– Wiem, że nie lubisz, gdy cię zostawiam, ale jeszcze bardziej nie znosisz podróży samolotem – powiedziałem do psa, kucając koło niego. Mlasnął głośno językiem i zdążyłem odsunąć się w ostatniej chwili, zanim polizał mnie po twarzy. Zrobiłem to jednak tak gwałtownie, że wywaliłem się na tyłek. – Dobra, dobra, mam za swoje! – Zaśmiałem się, a Atlas szczerknął głośno. – Zostaniesz z Camryn, dobrze się tobą zajmie. Pewnie przemyci ci też trochę smakołyków i będzie cię rozpieszczać.

Co do tego ostatniego nie miałem akurat żadnych wątpliwości po tym, jak odkryłem zapas smaczków u Cam w pokoju. Nic dziwnego, że tak się do niej łąsił. Mój pies przede wszystkim był łąsy na jedzenie i na pieszczoty, a Cammie nie szczędziła mu żadnej z tych rzeczy.

Około południa wrzuciliśmy bagaże do samochodu, a Atlasa wpuściłem na tylną kanapę. Lot mieliśmy dopiero za trzy godziny, ale musieliśmy jeszcze dojechać do Duluth na lotnisko.

– Nie wyglądasz na podekscytowanego wyjazdem – zauważyła mama, zatrzymując auto pod domem Heartów.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie lubię tak zostawiać Atlasa – odpowiedziałem.

– I nie lubisz się też rozstawać z Camryn, co? – zagaiła ze wszystkowiedzącym uśmiechem.

Dwa dni temu przyłapała mnie i Cam, gdy całowaliśmy się w moim pokoju. Powiedzieć, że zrobiło się nieco niezręcznie, to jakby nic nie powiedzieć, bo Camryn spaliła buraka stulecia, a potem nie chciała nawet zostać na kolację. Mamę cała sytuacja bardziej rozbawiła, niż zgorszyła, ale Cammie nie dała się przegadać.

– To też – przyznałem, unikając wzroku mamy, gdy wysiadałem z samochodu.

Otworzyłem tylne drzwi, żeby wypuścić Atlasa, i zgarnąłem z bagażnika całą torbę jego rzeczy. Był tam zapas karmy na czas wyjazdu, góra smaczków oraz drugie tyle zabawek, a także kocyk, z którym spał od szczeniaka. Myślałem, żeby zabrać dla niego także posłanie, ale Cam stwierdziła, że Atlas i tak pewnie wybierze pluszowy dywan w jej pokoju, który właściwie przysposobił sobie już na stałe.

Wilczarz posłusznie dreptał przy mojej nodze na luźnej smyczy. Drzwi otworzył nam pan Heart. Przywitał się ze mną uściskiem dłoni, a Atlasa pogłaskał po kudłatym pysku.

– Będzie mu u nas dobrze – obiecał mi, przejmując torbę z rzeczami. – To tylko niewiele ponad tydzień.

Ukucnąłem przed psem po raz drugi tego dnia. Był moim kompanem, druhem na dobre i na złe. Czuję się więc tak, jakbym zostawiał go tu na pastwę losu, choć wiedziałem, że u Heartów nie będzie mu niczego brakować.

– Jak cokolwiek zniszczysz, będziesz oddawał w smaczkach – powiedziałem Atlasowi, głaszcząc go. – Nie przynieś mi wstydu.

– Będzie grzeczny, nie strofuj go tak – wtrąciła Cam, schodząc na dół. – A nawet jak narozrabia, to i tak ci nie powiem.

– Właśnie w tym problem – odparłem, wyprostowawszy się. Camryn posłała mi przeciągłe spojrzenie, a jej wzrok powędrował bezwiednie w kierunku moich ust. Jej tata wyczuł moment i zostawił nas samych.

– Czy te oczy mogą kłamać? – zapytała i zarzuciła mi ręce na szyję. Musiała stanąć na palcach, żeby mnie pocałować.

– Odwracasz moją uwagę – stwierdziłem między pocałunkami.

– I jak mi idzie? – Wyszczерzyła zęby w uśmiechu.

– Aż za dobrze.

Wyglądała więcej niż uroczo w różowej bluzie w bałwanki. Włosy zaplotła dziś w luźny warkocz, którego końcówkę oplótłem sobie właśnie wokół palca.

– Będę za tobą tęsknił, Skrzacie.

– Ja za tobą też, Ry, ale szybko minie, zobaczysz.

Nie chciałem jej znów zostawiać. Gdy ostatnim razem wyjeżdżałem z Harlow, nie było mnie dwa lata i teraz nie mogłem się pozbyć tego nieprzyjemnego uczucia w dole żołądka, choć wiedziałem, że tym razem wrócę. Że tym razem to naprawdę tylko na chwilę.

– Pozdrów ode mnie Iris – poprosiła. – Też wpada na święta, prawda?

Iris była moją parę lat starszą kuzynką. Kiedyś odwiedziła nas latem w Harlow, a teraz, odkąd skończyła studia, praktycznie co roku mieszkała gdzie indziej. Jeśli nic mnie nie ominęło, dorabiała sobie obecnie na recepcji w studiu tatuażu gdzieś w Oregonie. Nie dało się za nią nadażyć, ale też mało kto próbował.

– Z tego, co mówiła, to tak. Powinna już być w Denver, miała przylecieć kilka dni przed nami.

– Widzisz? W takim razie z pewnością nie będziesz się nudził.

W to akurat nie wątpiłem, nawet i bez Iris. Moja rodzina od strony mamy należała do tych całkiem dużych i raczej głośnych, szczególnie w święta. Jednak Denver od dawna nie było już moim domem.

– Czy mówiłem już, że będę za tobą tęsknił?

– Tak ze sto razy przez ostatnie dwa dni! – zaśmiała się Cam. – Ale obiecaj mi coś, dobra?

– Co takiego?

– Wróć do mnie, Ry.

Przysiągłem więc na mały palec, że wrócę. Że zawsze do niej wrócę.



## Rozdział 32

### Camryn

W wigilię zadzwonił dzwonek do drzwi. Było za wcześnie na naszych gości, więc wyjrzałam przez wizjer i gdy zobaczyłam, kto stoi po drugiej stronie, prawie pisnęłam z radości.

– Julian! – wykrzyknęłam i rzuciłam się przyjacielowi na szyję.

– Hej, Cam – odpowiedział ze śmiechem, odwzajemniając uścisk. – Ciebie też dobrze widzieć.

– Wchodź, zanim oboje zamarzniemy na kość. Jesteś głodny? Może zrobimy coś do picia?

– Wystarczy herbata. Nie wpadłem na długo.

Chłopak zdjął puchową kurtkę i ciepłe trapery, a potem podążył za mną do kuchni. Tam dołączył też do nas Atlas, wyraźnie uradowany obecnością Juliana, który nie mógł się od niego opędzić.

– Sloane wspominała, że Atlas u was został na czas wyjazdu Riley'a i jego mamy do Denver – zagaił mój przyjaciel, kiedy postawiłam przed nim kubek gorącej herbaty.

– Tak było łatwiej – wyjaśniłam. – Lot to tylko dla niego niepotrzebny stres, a nie wyjechali na aż tak długo. Ale chyba nie przyszedłeś tu, żebyśmy rozmawiali o psie, prawda?

Westchnął ciężko, ale przytaknął.

– Moi rodzice się rozwodzą, ale tego pewnie i tak już się domyśliłeś. Ty i pół miasta.

– Przepraszam, że dowiedziałeś się w taki sposób... – Było mi naprawdę przykro. Gryzło mnie to od dnia balu, szczególnie gdy Julian przestał się do mnie odzywać.

– Fakt, gorzej być nie mogło – przyznał. – Ale może dobrze, że tak się stało. Sam nie wiem. Rozmawiałem z tatą, nie ma do ciebie pretensji. Raczej pomogło mu to w podjęciu ostatecznej decyzji. Już jakiś czas nosił się ze złożeniem pozwu, więc w zasadzie miał już wszystko gotowe.

– A co z tobą? – zapytałam. – Masz mi to za złe?

Julian spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Już nie. W pierwszej chwili trochę tak, ale teraz... – Urwał na moment. – Rozumiem, dlaczego tak się stało i dlaczego powiedziałaś to, co powiedziałaś. Ani Yara, ani mama niczemu nie zaprzeczyły, gdy tata się z nimi skonfrontował. Jak mogę mieć do ciebie pretensje, jeśli to tobie stała się największa krzywda, Cam? Ja nie wiedziałem o niczym, musisz mi wierzyć...

Ścisnęłam jego dłoń leżącą na stole.

– Wierzę ci, Julian – zapewniłam. – Ani przez moment nie pomyślałam, że mógłbyś być w to zamieszany. Raczej martwiłam się o ciebie i twojego tatę.

– Damy sobie radę – powiedział, jakby powtarzał to wiele razy w ciągu ostatnich dni. – Tata znalazł nam dom na ulicy Calena. Nie jest jeszcze gotowy do wprowadzenia się, ale po przerwie zimowej powinniśmy powoli się zadomawiać. Brat taty nam pomaga z remontem.

– A twoja mama i Yara?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem na pewno, ale chyba pojechały do Miami do ojca Riley'a.

– Więc wciąż mają romans?

– Na to wygląda – odparł. – Tata wysłał im rzeczy w kartonach, ale nie pytałem gdzie.

Pokiwałam głową. Rozumiałam Juliana, choć serce pękało mi na samą myśl o tym, co teraz przechodził. Ja miałam czas, by stopniowo przeżyć żałobę po wypadku. By oswoić się z rzeczywistością, której tak naprawdę nijak nie zmieniło to, że poznałam prawdę. Inaczej było z Julianem. W jego przypadku prawda zmieniła wszystko. Rozbiła jego rodzinę, wymusiła przeprowadzkę.

– Tak bardzo mi przykro, Julian...

– Daj spokój, Cam – przerwał mi, zanim zdążyłam dodać coś więcej. – Naprawdę nie mam do ciebie pretensji. Małżeństwo rodziców od dawna było już fikcją. To po prostu musiało się kiedyś stać.

Uściskałam go mocno po raz drugi, tym razem dłużej.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – powiedziałam cicho. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Wiem, Skrzacie. Wiem.

W końcu wypuściłam chłopaka z objęć i usiadłam przy stole naprzeciwko niego.

– A co z tobą i Sloane?

Na dźwięk jej imienia uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł.

– Zobaczymy, ale wiesz co? Chyba złożę papiery na Columbię.

Rozpromieniłam się. Julian jak nikt inny zasługiwał na szczęście, a wiedziałam, że Sloane może mu je dać. Jeśli tylko oboje uwierzą w to wystarczająco mocno.



## Rozdział 33

### Riley

Grałem z Iris na konsoli, sromotnie przy tym przegrywając, gdy nagle z dołu dobiegły jakieś hałasy. Nie byłoby to dziwne, biorąc pod uwagę, ile osób przewalało się przez dom moich dziadków w ostatnich dniach, ale teraz większość domowników, tych stałych jak i tymczasowych, pojechała na zakupy przed imprezą sylwestrową. Zostałem tylko ja, Iris, mama oraz babcia, które już szykowały przekąski na rodzinne obchody przyjścia nowego roku.

– Albo indyk ożył, albo nie wiem, co te dwie tam wyprawiają – rzuciła Iris i zapauzowała grę. – Lepiej sprawdźmy, czy nie potrzebują pomocy. Babcia potrafi mieć szalone pomysły.

Gdy zszedłem na dół, stanąłem jak wryty. Przy drzwiach stał mój ojciec. Płaszcz miał oblepiony śniegiem. Wyglądał też znacznie starzej niż w dniu, w którym widziałem go po raz ostatni. Na jego twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, a włosy miał niemal zupełnie siwe.

– Jeśli przyjechałeś po mnie, to nigdzie z tobą nie idę – powiedziałem od razu, nawet nie siląc się na powitanie.

– Chciałem tylko porozmawiać z twoją matką – odpowiedział, wystawiając przed siebie otwarte dłonie, jakby chciał w ten sposób pokazać, że nie ma złych zamiarów. – O tym, co wydarzyło się ostatnio w Harlow.

– O rany, naprawdę chciało się wujowi fatygować? – mruknęła Iris, wyraźnie znudzona całą sytuacją. – Ry jest dorosły.

– Prawie dorosły – poprawił ją.

– I co? Zabierzesz go od ciotki Dawn na miesiąc przed osiemnastką? Po tym, jak dwa lata nie miałeś z nim kontaktu?

– Umawialiśmy się na coś, Dawn – zwrócił się do mamy. Wodził po nas wzrokiem jak obłąkany. – Nikt miał się nie dowiedzieć.

– Mama ci to obiecała – wtrąciłem. – Nie ja. Opuść, tato. Choć raz sobie opuść.

Spojrzał na mnie, jakby zobaczył mnie pierwszy raz w życiu. I chyba trochę tak było. Nie miał już nade mną władzy. Nie mógł mi też więcej grozić, bo stracił wszystkie karty przetargowe. Nie bałem się go.

– Po co tu tak naprawdę przyjechałeś, Hayden? – zapytała mama. – Dotrzymałam słowa tak długo, jak długo było to rozsądne. Nie możesz winić Riley'ego za to, co się wydarzyło, bo to ty i Elle ukrećiliście na siebie ten bicz.

– To koniec, tato – dodałem. – Nie masz już nad nami władzy. Ani nade mną, ani nad mamą.

– Albo wujek sobie pójdzie, albo dzwonię na policję – zagroziła Iris, machając telefonem z numerem alarmowym na ekranie. – Liczę do trzech!

Nie doszła do dwóch, a ojciec już obejrzał się na mnie po raz ostatni i wyszedł. Iris zatrzęsnęła za nim drzwiami tak głośno, że aż podskoczyłem.

– Czego chciał ten stary zgred? – zapytała, spoglądając na mamę i babcie.

– Pieniądzy – odpowiedziała ta pierwsza, nie patrząc na mnie.

Wtedy zrozumiałem coś jeszcze. Dlaczego w domu się nie przelewało, odkąd rodzice wzięli rozwód. Ale od niedawna było trochę lepiej.

– Płaciłaś mu, żeby dał nam spokój, prawda? – wyszeptalem, a mama tylko skinęła nieznacznie głową. – Kiedy przestałaś?

Westchnęła ciężko i przysiadła na schodach. Nagle wydała się taka krucha, ale wiedziałem, że to nieprawda. Walczyła jak lwica, by nie stała mi się krzywda. Walczyła o mnie.

– Przed naszym wyjazdem do Harlow – odpowiedziała. – Dlatego chciałam się przeprowadzić, a wiedziałam, że Hayden nie odważy się tam pojawić. Nie pod nosem Vincenta, który już od dawna podejrzewał go o romans z Elle.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Podniosła na mnie wzrok, jakby nie rozumiała, o co ją pytam. Jakby było to oczywiste.

– Bo to był mój błąd, że dałam się tak szantażować, nie twój, Ry. Przez lata tak bardzo się o ciebie bałam, że godziłam się na wszystko. Aż w końcu zrozumiałam, że to bez sensu.

– Kiedy? Kiedy to zrozumiałaś?

– Gdy znalazłam to. – Wyciągnęła z tylnej kieszeni džinsów złożone zdjęcie, które poprzecierało się już na załamaniach, i podała mi je.

To było zdjęcie moje i Camryn. Pani Heart zrobiła je w moje urodziny po tym, jak dzień wcześniej posprzeczałam się z Cam o jakąś głupotę, ale i tak szedłem w zaparte, że ta śmiertelnie się na mnie obraziła. Na fotografii jednak oboje uśmiechaliśmy się do aparatu. Kilka dni później Cammie dała mi wydrukowaną fotografię, a na odwrocie napisała dwa słowa:

*Wybaczam ci.*

Atrament wyblakł, ale wciąż dało się je odczytać. Spojrzałem na mamę. Nic z tego nie rozumiałem.

– Uświadomiłam sobie wtedy, że aby cię chronić, odebrałam ci coś, co było dla ciebie najcenniejsze na świecie. Przyjaźń. Nigdy po wyjeździe z Harlow nie byłeś tak szczęśliwy jak właśnie tam. Dlatego postanowiłam zaryzykować. Byś znów był szczęśliwy, Ry.

Objąłem mamę, czując łzy pod powiekami.

– Jestem szczęśliwy, mamó – odpowiedziałem cicho. – Jestem.



## Epilog

### Riley

*Kilka miesięcy później...*

Obudził mnie uporczywie dzwoniący telefon. Otworzyłem jedno oko i zobaczyłem zdjęcie Camryn.

– Hej, Skrzacie – mruknąłem sennie. – Nie możesz spać?

– Po pierwsze, to za kwadrans powinienes być już u mnie, jeśli nie chcesz spóźnić się do szkoły, a po drugie... Przyszła poczta!

Zamrugąłem, próbując się rozbudzić.

– Poczta przychodzi codziennie... Czemu mnie budzisz?

Nagle wyrwany ze snu potrzebowałem chwili, żeby zacząć kojarzyć. Camryn natomiast była rannym ptaszkiem, więc budziła mnie zaskakująco często i za każdym razem oczekiwała, że będę równie rozbudzony co ona.

– Bo to list z MIT! Ale nie chcę otwierać bez ciebie – wyjaśniła.

– Dobra, już wstaję. Będę u ciebie za chwilę.

Rozłączyłem się i opadłem z powrotem na poduszkę. Ta dziewczyna z pewnością mnie kiedyś wykończy.

Wskoczyłem pod szybki prysznic, żeby się dobudzić, wrzuciłem do plecaka stos prac domowych, zgarnąłem pocztę ze skrzynki i z kanapką w ręku przespacerowałem się do domu Camryn. Byłem jeszcze zbyt rozespany, żeby stresować się zawartością kopert trzymanyh pod pachą.

Nie zdążyłem zadzwonić do drzwi, a już Cam otworzyła je z impetem, aż podskoczyłem. Teraz już zdecydowanie się rozbudziłem. Nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony, pociągnęła mnie za sobą do kuchni, gdzie na stole czekał stos kopert podobny do mojego.

– Mówiłaś tylko o MIT – zauważyłem.

– Oj, daj spokój. Czepiasz się szczegółów. Potrzymasz mnie za rękę? Albo nie, ja otworzę, a ty przeczytaj za mnie. – Twarz Camryn na zmianę robiła się blada i zielona, jakby dziewczyna miała zaraz puścić pawia. Otworzyła jednak kopertę i podała mi ją. Wyciągnąłem list ze środka. Nie musiałem czytać całości, by wyłapać to najważniejsze słowo.

– Dostałaś się, Skrzacie.

– Naprawdę? – Wyrwała mi kartkę z ręki i przebiegła po niej wzrokiem, po czym opadła ciężko na krzesło. – Dostałam się – powiedziała bardziej do siebie.

– Gratulacje. – Pocałowałem ją w czoło i wyłowiłem ze swojego stosu identyczną kopertę. To zwróciło uwagę Camryn.

– Nie mówiłeś mi, że składasz papiery na MIT – zauważyła z wyrzutem.

Wzruszyłem ramionami. Długo się wahałem, czy w ogóle wysyłać tam swoją aplikację. Liga Bluszczowa otwierała jednak wiele drzwi i jeśli udałoby mi się załapać do drużyny uniwersyteckiej, zdecydowanie łatwiej byłoby się później dostać do jakiejś porządnej ligi hokejowej.



– To było mocno spontaniczne – wyjaśniłem, po czym z mocno bijącym sercem otworzyłem kopertę. Jeśli mnie też by przyjęli, poszlibyśmy z Camryn na jedną uczelnię.

*Szanowny Panie Reed,*

*Niniejszym pragnę pogratulować przyjęcia do Massachusetts Institute of Technology...*

Dalej już nawet nie czytałem, tylko podałem swój list Camryn. Przebiegła wzrokiem po jego treści, po czym spojrzała na mnie, a jej mina wyrażała mieszankę euforii i niedowierzania.

– Idziemy razem na studia – powiedziała powoli, jakby smakowała każde słowo.

– Nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo, Skrzacie. – Uśmiechnąłem się do niej szeroko i pociągnąłem żartobliwie za końcówkę jej warkocza.

– A kto powiedział, że będę w ogóle próbować, Reed?

I fakt. Nie próbowała. Ani wtedy, ani nigdy potem.

[1] Ale (czyt. eil) – rodzaj piwa popularnego na Wyspach Brytyjskich od czasów średniowiecznych.

[2] Seafret, *Can't look away*.

[3] MIT – Massachusetts Institute of Technology. Amerykańska uczelnia techniczna o statusie uniwersyteckim.



# ANNA BELLON

Autorka romansów, young adult i new adult, specjalistka od muzyków, hokeistów i porywów serca. Debiutowała w 2016 roku powieścią „Uratuj mnie”, pierwszą częścią serii „The Last Regret”, którą wcześniej publikowała na Wattpadzie. Pochodzi z Ostrowca Świętokrzyskiego, od kilku lat mieszka w Warszawie. Po godzinach, jeśli nie pisze, ogląda programy cukiernicze, mecze hokeja lub słucha kryminałów.



Camryn Heart pierwszy raz spotkała Rileyę Reeda  
w swoim ogrodzie wśród dzikich petunii, gdy miała dwanaście lat.  
To był też dzień, w którym zostali najlepszymi przyjaciółmi.  
Razem patrzyli w gwiazdy, a potem malowali je na suficie w pokoju Camryn.

Riley był pewien, że Harlow, w którym zamieszkał  
z rodzicami jako nastolatek, będzie jego domem już na zawsze.  
Te plany popsuła niespodziewana wyprowadzka.  
Gdy powraca do Harlow dwa lata później, nic już nie jest takie samo.  
Nic, poza uczuciami do Camryn, które rozkwitają ze zdwojoną siłą.

Camryn i Rileyę rozdzieliła tajemnica,  
która może zniszczyć spokój ich rodzin.

**CZY POPEŁNIONE PRZED LATY BŁĘDY MOŻNA NAPRAWIĆ?**

**CZY SĄ WARTY WYBACZENIA?**



  
**ENDORFINA**

**Cena 44,90 zł**

ISBN 978-83-8231-302-4



9 788382 313024  
MT2309E

